Anna Kłodzińska

DWA WŁOSY BLOND

Zabielski odstawił pustą filiżankę na tacę, otarł usta chusteczką i spojrzał na zegarek. Dochodziło wpół do dziewiątej.

Zapalił giewonta i wyniósł tacę do kuchni. Potem zagapił się bezmyślnie na krzak białego bzu rozkwitający w dole pod oknem kuchennym, tuż obok furtki.

- Tadeusz! - doleciało go z pokoju ciche wołanie. Drgnął, zgasił pośpiesznie papierosa i zawrócił z powrotem.

- Nie śpisz? - zapytał stając obok tapczanu. Anna spojrzała na niego uważnie. Twarz miał bladą, jakby zmiętą, pod oczami głębokie cienie. Lewa powieka znowu opadała bezwładnie.

- Tadek, czy coś się stało? - głos jej brzmiał niepewnie. Zawsze była taka niepewna, nieśmiała, usuwająca się każdemu z drogi. I za to właśnie ją kochał.

Przysiadł z westchnieniem na brzegu tapczanu.

- Nie, skądże - mruknął. - A bo co?

- Źle wyglądasz. Nie spałeś w nocy.

- Ząb mnie bolał. Pójdę dziś do dentystki.

- Idź, koniecznie. Może tam się coś robi pod plombą. Pokaż, czy nie spuchłeś? Który to ząb?

- Górny. No, na mnie czas. Pa, kochanie! - ucałował żonę, włożył popielaty gabardynowy płaszcz i wyszedł na korytarz.

Przechodząc obok sąsiednich drzwi, mimo woli ściszył kroki. Ekspedientka Danuta Kretz, drugi lokator na piętrze willi, miała zwyczaj spać do dziewiątej. Znając jej ostry język, wolał nie narażać się na kłótnię od samego rana.

Schodził powoli ze schodów, które z piętra prowadziły do hallu. Dwa pokoje na parterze zajmował StanisławOkołowicz, kierownik 17 Wydziału Finansowego, sześćdziesięcioletni pan o twardym, surowym spojrzeniu bladoniebieskich oczu.

- W jaskini lwa... - szepnął Zabielski do siebie, cicho stąpając po wytartym, czerwonym dywanie. Przejrzał się w lustrze wiszącym w hallu na ścianie, poprawił kapelusz. W tej samej chwili usłyszał za sobą lekkie kroki żony. Anna schodziła po butelkę z mlekiem.

Nagle ręka, którą Zabielski przesuwał trochę w lewo rondo swego hueckla, zastygła w miejscu, a oczy jego rozszerzyły się zdumieniem. W błyszczącej tafli zwierciadła zobaczył uchylone drzwi, wiodące do pokoju na wprost frontowego wejścia.

Od trzech lat, to znaczy od chwili zamieszkania Zabielskich w willi, nie zdarzyło się, aby Okołowicz przed wyjściem do pracy - a wychodził na ósmą rano - nie zamknął starannie na klucz drzwi od swego gabinetu. Nie zdarzyło się również, aby choć raz zachorował, o czym skrycie marzyli niektórzy z jego podwładnych.

A teraz najwidoczniej był w domu.

- Popatrz - powiedział Zabielski do żony - nie poszedł dziś do pracy.

Anna, również zdziwiona, spojrzała na uchylone drzwi, a potem na wiszący w hallu kalendarz.

- Dzisiaj pierwszy czerwca - szepnęła. - Może go przenieśli na emeryturę?

- Myślisz?...

W głosie Zabielskiego było jakieś podniecenie. Postąpił parę kroków w kierunku gabinetu i zajrzał ostrożnie do środka. Potem odwrócił się do żony i rzekł ze zdumieniem:

- Śpi przy biurku. W ubraniu!

- Może zachorował? Podejdź bliżej.

Okno w pokoju było zasłonięte. Zabielski powoli poruszał się w mroku podchodząc do biurka. Nagle krzyknął, cofnął się, potem zawrócił i wybiegł szybko do hallu. Twarz jego była biała ze strachu, oczy wytrzeszczone.

Anna mimo woli przycisnęła dłoń do serca. Biło szybko, nierówno.

- Tadeusz, co się stało?

Zabielski zatrzasnął drzwi do gabinetu.

- On nie żyje - powiedział ochryple. - Zabity. Pełno krwi... Nie wchodź tam, słyszysz?

- Boże mój - szepnęła - nie żyje?

Nagle oboje drgnęli. W gabinecie zadźwięczał telefon. Nie wiadomo dlaczego Zabielski wyobraził sobie, że martwa, zimna dłoń podniesie teraz słuchawkę, a dobrze znany głos powie: - Słucham, Okołowicz...

Zacisnął zęby. Telefon nie przestawał dzwonić.

- Trzeba odebrać - mruknął, wiedząc dobrze, że za nic w świecie nie wejdzie drugi raz do tamtego pokoju.

- To pewnie z jego biura - Anna oparła się o poręcz schodów. Przejęły ją dreszcze.

Gdy dzwonek wreszcie umilkł, jakby zniechęcony, stali jeszcze przez długą chwilę, spoglądając na zamknięte drzwi, za którymi przyczaiła się śmierć. W kuchni na dole zegar wybił dziewiątą.

- Może zbudzić panią Kretz? - spytała Zabielska. Tadeusz spojrzał na nią na wpół przytomnie. Widząc, że nie odpowiada, weszła na górę. Chwilę czekała pod drzwiami pokoju sąsiadki, wreszcie zastukała nieśmiało.

Danuta Kretz nie spała. W jasnobłękitnym szlafroku, wysoka, smukła, czarnowłosa, spojrzała na Annę z lekkim zdziwieniem i Zabielska, po raz nie wiem już który, odczuła bolesny skurcz w sercu na widok jej niepokojąco pięknej twarzy.

- Chciała pani czegoś? - spytała ekspedientka. Poprawiła wysoko upięte włosy i ziewnęła.

- Trzeba... nie wiemy... pan Okołowicz nie żyje - wyjąkała Anna, wyłamując nerwowo swoje drobne, szczupłe palce. Bała się tej dużej, silnej kobiety, bała się właściwie wszystkiego i wszystkich, a w tej chwili przede wszystkim tego, co kryły za sobą zamknięte drzwi gabinetu.

- Co pani plecie? - zdziwiła się Danuta, wychodząc na korytarz. - Mąż już poszedł?

- Jest na dole. Może... chyba... proszę zejść, dobrze? Sprzedawczyni śmiało otworzyła drzwi, podeszła do biurka i z twarzą ściągniętą grymasem wstrętu przyjrzała się ciału skurczonemu w fotelu. Potem zdecydowanym ruchem sięgnęła po słuchawkę telefonu.

- Jaki numer ma milicja? - rzuciła przez ramię w stronę Zabielskiego.

Ten przełknął ślinę i cofnął się o krok.

- Nie wiem - mruknął. - Tam pewnie leży książka. Chce pani dzwonić na milicję?

- A co pan proponuje lepszego? - spojrzała na niego z zainteresowaniem. - Poćwiartować i spalić w piecu? To trzeba było zrobić od razu.

- Jezus Maria! - krzyknęła Anna. Zrobiło jej się słabo.

- Pani oszalała? - Zabielski rzucił się w stronę ekspedientki, ale rozdzielał ich fotel, na którym leżały zwłoki.

Danuta Kretz, nie czekając na odpowiedź, nakręciła numer Komendy Miasta MO. Zabielski patrzył na nią jak zahipnotyzowany, gdy spokojnie i rzeczowo rozmawiała z dyżurnym oficerem. Patrzył i coś rozważał w duchu.

Milicyjna warszawa z piskiem opon zahamowała przed willą.

- Tutaj - powiedział kierowca. - Numer szósty.

Z wozu wyskoczyło trzech funkcjonariuszy. Mieli ze sobą walizki śledcze, aparat fotograficzny i przyrządy pomiarowe. Ostatni wysiadł szczupły, niewysoki mężczyzna w szarym ubraniu. Miał jasne, prawie białe włosy i śniadą twarz. Jego czarne podłużne oczy obrzuciły szybkim spojrzeniem willę, niewielki ogródek i mężczyzna powiedział do milicjantów:

- Wejdźcie. Za chwilę przyjdę.

Gdy zniknęli w drzwiach, obejrzał bardzo dokładnie furtkę, kwitnący obok krzak białego bzu, a potem chodnik, ułożony z kamiennych płyt, wiodący od furtki do willi i zakończony przy drzwiach paru schodkami.

- Tak... - mruknął do siebie, wyjmując z kieszeni pincetkę. Przyklęknął i ostrożnie chwycił szczypczykami coś, co tkwiło na brzegu jednej, trochę wystającej płyty chodnika. Przyjrzał się temu z zaciekawieniem, a potem schował do maleńkiego pudełeczka, pomiędzy dwie szklane tafelki.W otwartych drzwiach stanął fotograf.

- No? - zapytał mężczyzna, nie patrząc na niego. Był w tej chwili zajęty oglądaniem krzaka niskopiennej róży rosnącej obok płyty. Krzak pokrywały drobne, bladoróżowe pączki.

- Czekamy na was, kapitanie.

- Wiem.

Z kolca jednej łodyżki zdjął brązową nitkę, zawieszoną tam niczym mikroskopijna chorągiewka. Fotograf wycelował aparat na chodnik. Jeżeli kapitan Szczęsny - Biały Kapitan, jak go w komendzie nazywano - zajął się wpierw tymi płytami zamiast iść do trupa, to znaczy, że trzeba zrobić to samo. Zresztą trup nie ucieknie.

- Chodnik, krzak bzu, krzak róży i schodki - powiedział jasnowłosy mężczyzna do fotografa. Podniósł się z klęczek, starannie otrzepał kolana i rozejrzawszy się raz jeszcze dokoła, wszedł do willi.

Sierżant Otoczko zaprowadził już całą trójkę lokatorów do hallu, usadowił na krzesełkach i rozpoczął spisywanie personaliów. Drugi milicjant stał w tej chwili nieruchomo na środku gabinetu, jakby zastanawiając się, od czego zacząć.

Kapitan Szczęsny rzucił krótkie spojrzenie na zebranych i zatrzymał trochę dłużej wzrok na ekspedientce. Bardzo ładna - stwierdził z niechęcią. Bardzo lubił ładne kobiety, ale nie w czasie śledztwa.

Zatrzymał się chwilę na progu gabinetu, potem podszedł do biurka. Jego ręce w cienkich rękawiczkach dotykały ostrożnie zwłok, nie zmieniając ich pozycji. Odchylił lekko głowę zmarłego. Okołowicz miał oczy na wpół przymknięte, a na czole, koło prawej skroni, mały siniec nabiegły krwią.

Kapitan rozejrzał się i ujął w rękę ciężki marmurowy przycisk, który leżał przewrócony na samym brzegu biurka. Stojący przy oficerze milicjant wyjął pudełko z argentoratorem i szybko, zręcznie opylił pędzelkiem marmurową powierzchnię. Pochylili głowy.

- Bardzo wyraźne - powiedział milicjant.- Mhm - mruknął Szczęsny, przyglądając się odciskom linii papilarnych, które ukazały się na przycisku. - Ale uderzenie było za lekkie, aby mogło być śmiertelne. Przycisk go tylko ogłuszył. A potem... - Z pewnym trudem ściągnął ze sztywnego ciała marynarkę, rozpiął i zsunął zakrwawioną koszulę. Mały otwór wlotowy pocisku znajdował się pod lewą łopatką.

- W samo serce - mruknął, szukając na piersiach zmarłego wylotu pocisku, ale go nie znalazł.

- Siedzi - rzekł milicjant. Podszedł w kierunku drzwi, schylił się i podniósł z dywanu łuskę. Dwie pary oczu obejrzały ją uważnie.

- Siódemka, kapitanie. Browning „FN". Szczęsny potrząsnął głową.

- Nie. SauerSohn. Ale ten sam kaliber - 7,65. Wyrzutnik obluzowany. Ciekawe, ten typ pistoletu rzadko się u nas spotyka.

- Strzelił, stojąc gdzieś koło drzwi.

- Tak. W plecy.

Popatrzyli na siebie. Kapitan skrzywił się.

- Najpierw ogłuszył, a potem strzelił z tyłu, pod łopatkę - powiedział.

- Może uderzony się poruszył, a tamten, już odchodząc, zauważył to i „poprawił" z pistoletu?

- Wątpię. Uderzenie było słabe, absolutnie nie mogło być śmiertelne. Zabójca wiedział chyba, co robi. Chociaż, jeżeli uderzyła kobieta... Weźcie zaraz tym trojgu odciski palców.

Milicjant wyszedł. Szczęsny przejrzał pobieżnie rozrzucone na biurku papiery, potem sięgnął do marynarki Okołowicza i wyjął z niej portfel z dokumentami. Odkładał powoli na bok: dowód osobisty, dwieście złotych, legitymację związkową, legitymację partyjną, bilet miesięczny, notes - ten odłożył oddzielnie. Z jakiejś przegródki wystawał rożek białej, twardej karty. Kapitan przeczytał jej treść i sięgnął znowu do kieszeni marynarki. Ale nie było w nich tego, czego szukał. Nie powinno było zresztą być, takich rzeczy w domu nie nosi się w kieszeni. Odsunął więc ostrożnie ciało wraz z fotelem od biurka i popatrzył na szuflady.Były otwarte. Przy środkowej wisiał pęk kluczyków z okrągłą, płaską dewizką czy brelokiem. Na metalu dewizki nie było wprawdzie widać żadnych odcisków linii papilarnych, ale nie znaczyło to jeszcze wcale, że ich tam nie było. Szczęsny umieścił klucze w oddzielnym pudełeczku z watą. Potem przeszukał wszystkie szuflady. Nigdzie nie znalazł jednak pistoletu.

- Sierżancie! - zawołał w stronę hallu. Otoczko wszedł do gabinetu.

- Słucham, kapitanie?

- Zabito go z pistoletu SauerSohn 7,65. Miał w kieszeni pozwolenie na broń. Właśnie na Sauera 7,65. Ale pistoletu nie ma w biurku ani w kieszeniach. Trzeba przeszukać cały dom.

- Wygląda na to, że rąbnięto go z jego własnej broni - powiedział sierżant, rozglądając się po pokoju. - Tam obok jest sypialnia. Ano, poszukamy.

- Jak przyjedzie doktor Stern, dajcie mi znać. Na razie porozmawiam sobie z tą trójką. Przysyłajcie po jednemu do - zawahał się - do tej sypialni.

- Kogo chcecie wpierw?

Szczęsny spojrzał przez otwarte drzwi do hallu.

- Tę małą, co siedzi pod lustrem. Wygląda, jakby miała zaraz zemdleć. Dajcie mi ich personalia i dowody.

Przeszedł do sąsiedniego pokoju. Tapczan, pościelony już, widać przygotowany wczoraj do snu, duża szafa ubraniowa, toaleta, jakieś drobiazgi ze szkła i porcelany poustawiane na półeczkach i potężnie zakurzone... w kącie na wpół uschnięta palma. Okołowicz owdowiał dwa lata temu i w mieszkaniu czuło się brak kobiecej ręki.

Na stoliku przy tapczanie stała szklanka do połowy napełniona wodą, obok niej leżało pudełeczko z luminalem. Kapitan zajrzał do środka. W otworach, powycinanych w tekturze, były już tylko dwie tabletki. Widocznie kierownik cierpiał na bezsenność.

Szczęsny otworzył szufladę stolika. Pigułki na wątrobę, pastylki przeciwko astmie, bellacorn, polopiryna, proszki od bólu głowy. - Istna apteka - mruknął. Poszukał wzrokiem krzesła, wyciągnął notes i pióro, zapalił papierosa. W tej samej chwili Anna Zabielska stanęła w progu pokoju.

- Proszę, niech pani siada - podsunął jej krzesło. Spojrzał na bladą, drobną twarz, okoloną ciemnymi włosami, na ręce zaciśnięte nerwowo i zapytał:

- Czy pani pali?

- Nie - odparła zdziwiona.

- Nazywa się pani Anna Zabielska, lat 32, z zawodu urzędniczka, obecnie nigdzie niepracująca, tak?

Potwierdziła ruchem głowy.

- Ciągle choruję - dodała, jakby w formie wyjaśnienia. - Prawie nie wychodzę z domu.

- Proszę mi opowiedzieć, kiedy i jak dowiedziała się pani o śmierci Stanisława Okołowicza.

Wolno, zacinając się i zatrzymując dla nabrania pełnego oddechu, zaczęła opowiadać, jak mąż rano wstał do pracy, jak zszedł ze schodów, a ona wyszła za nim, aby odebrać mleko,

które mleczarka codziennie rano stawia na schodkach pod drzwiami... jak potem mąż wszedł do gabinetu i zobaczył zwłoki.

- Czy pani też wchodziła?

- Nie. Och nie! - wstrząsnęła się ze strachu.

- Kiedy ostatni raz widziała pani Okołowicza?

- Wczoraj po południu, kiedy wracałam ze sprawunkami, spotkałam go w hallu.

- Rozmawialiście?

- Tak, parę słów... Pytał, jak się czuję.

- Czy był taki sam, jak zawsze? Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Okołowicz?

Błyskawiczny refleks i myśli kapitana zrobiły nagły skok.

- Nie, pytam przecież o pani męża.

Zobaczył, jak twarz jej pokrywa nagły rumieniec. Milczała, znów nerwowo wyłamując palce.

- Nie wiem... myślę, że... chyba... Każdy ma czasem jakieś kłopoty. W nocy bolał go ząb, nie mógł spać...

- Czytał w łóżku wieczorem i nie dał pani zasnąć, prawda?Blady uśmiech przemknął po jej nieumalowanych wargach.

- Ja nigdy nie zasypiam przed północą - odparła. - A wczoraj Tadeusz był u znajomych, wrócił o drugiej... - urwała przestraszona.

- Przecież wrócił, jak pani już spała, więc skąd pani wie, że była druga godzina?

- Zbudziłam się. Mam lekki sen.

- A sąsiadka państwa też późno wróciła?

- Och nie. Ona... ona była wieczorem w domu. Mamy na górze wspólną kuchnię i łazienkę. Słyszałam, jak chodziła.

- Kiedy widziała ją pani ostatni raz przed zaśnięciem?

- Gdzieś koło ósmej wieczór. Robiłam sobie w kuchni kolację, a pani Kretz weszła po wodę do maszynki.

- Jakiej maszynki?

- Do parzenia kawy.

- Czy nie słyszała pani późnym wieczorem albo w nocy odgłosu strzału?

Do drzwi ktoś zastukał i sierżant Otoczko stanął w progu.

- Kapitanie, przyjechał doktor Stern.

- Dobrze, zaraz tam przyjdę. A więc - odwrócił głowę w stronę Zabielskiej i zerwał się z krzesła.

- Masz babo placek - jęknął podoficer, pomagając Szczęsnemu dźwigać zemdloną Annę. - Gdzie ją położyć?

- Tymczasem tu, na tapczanie. I poproście Sterna.

Zemdlenie okazało się niegroźne, niemniej lekarz zabronił na dzisiaj dalszego przesłuchiwania. Po umieszczeniu Zabielskiej na jej własnym tapczanie, zaaplikowaniu zastrzyku i „kropelek" na nerwy, Stern wrócił na dół, do gabinetu.

- Kiedy to się mogło stać? - zapytał kapitan, podczas gdy lekarz oglądał otwór wlotowy pocisku.

- Przypuszczam, że gdzieś pomiędzy jedenastą a pierwszą w nocy. Czy on był głuchy?

- Nie, skądże. Kierownik wydziału finansowego i głuchy?

- Nic mnie nie obchodzą jego personalia - mruknął lekarz. - Stwierdzam tylko, że strzelono do niego w plecy, gdy siedział przy biurku, a koło drzwi nie ma dywanui podłoga skrzypi. Tylko, że... ach, no tak. Teraz rozumiem - przyjrzał się z zainteresowaniem sińcowi na czole. - Wpierw został ogłuszony uderzeniem, a potem zastrzelony.

- Prawdopodobnie z własnego pistoletu - uzupełnił Szczęsny.

- Co pan mówi? A to heca. Pistoletu, naturalnie, nigdzie nie ma, co? Pewnie leży na dnie Wisły albo w kanale.

Szczęsny uśmiechnął się.

- Znajdziemy ten pistolet - odparł lekkim tonem.

- Może macie już zabójcę?

- Nie. Ale myślę, że jest blondynem.

Kapitan wyjął z kieszeni pudełeczko i pokazał lekarzowi coś, co przylepiło się do szklanej tafelki. Był to maleńki skrzep krwi, zastygłej na dwóch włosach jasnego koloru.

- Znalazłem to na chodniku.

- Dobre - w głosie Sterna było uznanie. Przyjrzał się włosom. - Zdaje się, że ten blondyn cierpi na trichophytiasis, bo włos jest matowy i poułamywany.

- Grzybica strzygąca, tak?

- Widzę, kapitanie, że nie zapomniał pan swoich studiów medycznych. To bardzo chwalebne, ale proszę mi nie robić konkurencji.

Roześmieli się. Wszedł milicjant z grupy operacyjnej, a za nim dwóch pracowników z Zakładu Medycyny Sądowej. Szczęsny przyglądał się, jak układali zwłoki na noszach, ale gdy jeden z nich chciał zakryć twarz Okołowicza brezentem, przytrzymał jego rękę i potrząsnął

głową. Na pytające spojrzenie Sterna wymownym ruchem pokazał na hall. Lekarz był niezadowolony.

- Nie lubię tych historii... no, ale niech pan robi, jak chce.

Szczęsny wyprzedził nosze i stanął w hallu. Gdy wynosili zwłoki, Zabielski zakrył twarz rękami i odwrócił się. Danuta Kretz patrzała na ciało bez zmrużenia powiek. W jej ciemnobłękitnych oczach, ocienionych długimi rzęsami, widniało coś jakby zaciekawienie.

- Nie boi się pani śmierci? - spytał kapitan, stając tuż obok niej.Zwróciła na niego wzrok, potem z wolna opuściła powieki.

- Oswoiłam się z nią - odparła po chwili. - Widziałam przecież powstanie. Było tyle trupów... Niektóre wyglądały o wiele gorzej niż ten.

- Lubiła pani Okołowicza? Wzruszyła ramionami.

- Mało go znałam.

- Brała pani udział w powstaniu?

- Tak. Wszyscy brali. - Patrzyła, jak wynosili nosze. - Strzelałam, wynosiłam rannych.

Zawrócił do gabinetu i zajrzał do dowodu osobistego Danuty Kretz. Dwadzieścia dwa lata... siedmioletnie dziecko brało udział w powstaniu? Strzelało, wynosiło rannych?

Samochód ze zwłokami Okołowicza odjechał i kapitan poprosił panią Kretz do sypialni kierownika.

Usiadła, przyjęła papierosa, zaciągnęła się głęboko dymem.

- Pani jest ekspedientką w firmie „Zofia", prawda?

- W salonie mód „Zofia" - poprawiła z naciskiem. Uśmiechnął się.

- Przepraszam, nie znam się na tych rzeczach. Od jak dawna pani tutaj mieszka?

- Od przeszło roku.

- Czy kierownika Okołowicza znała pani już przedtem?

- Przed czym? - zapytała, patrząc mu prosto w oczy. Wytrzymał spojrzenie tak długo, aż odwróciła wzrok. - Nie. Tu go poznałam.

- Ile pani zarabia miesięcznie?

- Ma pan na myśli tylko moje uposażenie w „Zofii" czy wszystkie dodatkowe zarobki?

Ton jej głosu tak dalece nie pozostawiał wątpliwości, o jakie zarobki chodziło, że przyjrzał jej się zdziwiony. Rozpoczęła z nim jakąś grę; nie wiedział tylko jeszcze, jaką. Nie odpowiedział na pytanie i zamyślił się. Danuta obserwowała go spod na wpół spuszczonych powiek.- Gdyby pan nie był mężczyzną, myślałabym, że utlenił pan sobie włosy - powiedziała nagle.

Głos miała ciepły, wibrujący. Popatrzył na jej regularne rysy i miękkie, ślicznie wykrojone wargi. Uśmiechnęła się.

- Z taką twarzą trzeba było wstąpić do filmu, a nie do milicji - szepnęła. - Ładna byłaby z nas para...

Żachnął się niecierpliwie i sięgnął po papierosa. Ale atmosfera tej sypialni, ciepły czerwcowy wiatr wpadający przez uchylone okno i uroda siedzącej naprzeciw niego kobiety nie sprzyjały prowadzeniu śledztwa.

W sąsiednim pokoju usłyszał przesuwanie jakiegoś mebla. Sierżant Otoczko przeprowadzał oględziny miejsca zbrodni. I nagle Szczęsny wytrzeźwiał. Odłożył papierosa, wstał, jakby od niechcenia przeszedł się po pokoju, potem przystanął tuż za plecami pani Danuty. Owionął go subtelny zapach jakichś drogich perfum. Ale nie perfumy go teraz interesowały. Szybkim, ledwo dostrzegalnym ruchem zdjął z kołnierza jedwabnego szlafroka jasny włos i odwróciwszy się do drzwi, schował go do małego pudełeczka ze szklanymi tafelkami.

Pani Kretz, nie orientując się w jego czynnościach i rozumiejąc je zupełnie inaczej, przechyliła lekko głowę w tył. Natrafiła jednak na pustą przestrzeń i zdziwiona, odwróciła się. Szczęsny wracał już od drzwi. Wyraz twarzy miał spokojny, nieprzenikniony.

- Pytałem, ile pani zarabia miesięcznie w salonie mód „Zofia" - powiedział, siadając z powrotem naprzeciw niej. - Pani dochody natury bardziej osobistej nie dadzą się, prawdopodobnie, ująć w określone rubryki.

- Tysiąc osiemset złotych - odparła, wyczuwając instynktownie zmianę w jego zachowaniu.

- Wczoraj wieczorem była pani w domu, o ile się orientuję?

- Dobrze się pan orientuje. Wróciłam z kina o siódmej czy wpół do ósmej. Zjadłam kolację i czytałam, chyba do jedenastej. Może trochę dłużej.

Co pani czytała?

„Klaudynę w Paryżu" - odparła bez wahania.

- Ciekawe?

- Bardzo. Nie mogłam się oderwać.

- Długo pani czytała?

- Ze dwie godziny. - Usłyszał w jej głosie leciutkie wahanie i zapamiętał.

- Niedobrze pić tyle kawy przed snem - powiedział z naganą w głosie. - Ma pani niskie ciśnienie?

Spojrzała na niego, zaskoczona.

- Ja nie... - urwała. - Piję tyle kawy, ile chcę i kiedy chcę - rzuciła lekko.

- Czy nie słyszała pani w nocy jakiegoś hałasu, strzału, trzaśnięcia drzwi?

- Owszem, słyszałam. Spojrzał na nią uważnie.

- Co to było?

- Głosy... jakby kłótnia. Na dole, w pokoju pode mną.

- To znaczy w gabinecie Okołowicza. Tylko głosy?

- I jakiś stuk. Podobny do upadku czegoś ciężkiego. Albo...

- Albo?

- Bo ja wiem... może do strzału? Nie znam się na tym.

- To wszystko?

- Jeszcze potem trzaśniecie drzwi frontowych.

- Czy spojrzała pani wówczas na zegarek?

- Nie. Nie zapalałam światła. Ale zegar na dole w kuchni bił właśnie dwunastą.

- A potem, nic już pani nie słyszała?

- Nie.

Zamyślił się na chwilę.

- W pani pokoju nie słychać bicia zegara z kuchni na dole - zauważył.

- Nie. Ale ja wyszłam wtedy na schody. W połowie piętra jest okno.

- Widziała pani kogoś?

- Widziałam sylwetkę jakiegoś mężczyzny. Szedł szybko, prawie biegł. Oddalał się od furtki.

- Furtka była zamknięta? Zawahała się.

- Tak.- Na pewno?

- Tak, na pewno.

- Stała więc pani na schodach i widziała sylwetkę tego mężczyzny. Skąd pani wie, że to był mężczyzna?

- Miał męski, gabardynowy płaszcz, spodnie, był wysoki i dobrze zbudowany.

- Płaszcz ciemny czy jasny?

- Gładki, jasny.

- A co ten mężczyzna miał na głowie?

- Nic. Włosy, zdaje się, ciemne. Szczęsny zanotował coś.

- Czy sądzi pani, że poznałaby tego mężczyznę, widząc go w takich samych warunkach, z tego samego miejsca na schodach?

- Sądzę, że tak. Nie wiem zresztą.

- Czy nie przyszło pani na myśl zejść do hallu?

- Nie. Po co? Pomyślałam, że widocznie Okołowicz z kimś się pokłócił i ten ktoś wybiegł z willi obrażony.

- Czy podobne kłótnie zdarzały się u niego częściej? Zastanawiała się dość długo. Wreszcie odparła, ważąc każde słowo:

- Nie przypominam sobie. Często wieczorami wychodzę. Poza tym mam mocny sen.

Uśmiechnęła się znowu i Szczęsny z nagłym zainteresowaniem spojrzał na pożółkłą palmę, a potem utkwił wzrok w notesie. Danuta ziewnęła i przeciągnęła się na krzesełku.

- Chciałabym już pójść na górę - powiedziała. - Jeść mi się chce.

- Chwileczkę.

Szczęsny wstał i wyszedł do gabinetu, a dowiedziawszy się od sierżanta, że oba pokoje na górze są już „zrobione", pozwolił pani Kretz wrócić do siebie. Zastrzegł się tylko, że nie wolno jej na razie opuszczać willi.

- Wcale mi się nie śpieszy - odparła, pokazując dwa rzędy mocnych, białych zębów.

Gdy znikła za drzwiami swego pokoju, kapitan wszedł na półpiętro i wyjrzał przez okno w bocznej ścianie. Widaćbyło przez nie kawałek ogródka, chodnik, furtkę i ulicę. Wtedy zbiegł ze schodów i wyszedłszy przed dom, spojrzał w górę, na umieszczoną nad drzwiami lampę. Przekręcił wyłącznik, ale lampa się nie zapaliła. Wszedł więc z powrotem do hallu, w którym wisiał zakurzony pająk żyrandola i sięgnął ręką do kontaktu. Pająk rozbłysnął światłem, nikłym w blasku jasnego dnia. Przyjrzał się lampie nad drzwiami i, dostrzegł, że nie ma w niej żarówki. Rzucił okiem na ulicę. Najbliższe latarnie tkwiły w odległości pięćdziesięciu metrów.

- Hm... - mruknął. Wiedział już, że trzeba tu będzie jeszcze raz przyjechać pomiędzy jedenastą wieczór a północą.

Wrócił do hallu i zatrzymał się przy Zabielskim.

- Proszę, niech pan przejdzie do tamtego pokoju - pokazał na sypialnię. Idąc za nim, odwrócił się nagle do fotografa, który przystanął w drzwiach kuchennych i zapytał:

- Nie pamiętacie, czy wczorajszej nocy świecił księżyc?

- Jak mógł świecić, kiedy jest nów? - odparł fotograf pytaniem. I wszedł do kuchni.

Zabielski miał zmęczoną, bardzo bladą twarz i odpowiadając na pytania, odwracał wzrok gdzieś w kąt pokoju. Cichym głosem wyjaśnił, że ubiegłej nocy był na brydżu u znajomych, podał ich nazwisko i adres, dodał, że wrócił około drugiej w nocy. Nikogo nie widział, nic nie słyszał.

- O której wyszedł pan od znajomych?

- Kwadrans, może dwadzieścia minut po pierwszej. Szedłem pieszo. Noc była ciepła, chciałem się przejść.

- Noga jeszcze pana boli? - zagadnął Szczęsny przyjaznym tonem. - Bo zauważyłem, że trochę pan utyka.

Zabielski zmieszał się.

- Byłem trochę... wypiłem parę kieliszków. Ciemno było, przewróciłem się na schodach.

- Na tych przed drzwiami frontowymi?

- Nie. Na tych z hallu w górę.

- Czemu nie zapalił pan światła?

- Na górze zepsuł się wyłącznik i nie można potem zgasić.

- Czy jak pan wracał do willi, to lampa nad schodkami zewnętrznymi jeszcze się paliła?

- Ona w ogóle się nie pali od dawna. Okołowicz miał kupić żarówkę, ale ciągle zapominał.

- A furtka była otwarta czy zamknięta?

- Furtka? - Namyślał się chwilę, przetarł ręką czoło, na którym błyszczały krople potu. - Nie wiem. Nie pamiętam.

- Od kiedy ma pan własny sklep i warsztat zegarmistrzowski?

- Już parę lat. W lipcu będzie cztery.

- Czy to Okołowicz przeprowadzał u pana ostatnio kontrolę ksiąg?

- Nie - odparł. - Inspektor Sielnicki.

- Ale również z 17 Wydziału Finansowego?

- Ttak. Ja mam warsztat na Różanej i podlegam temu wydziałowi.

- Jaki był wynik kontroli?

- Wszystko w porządku. We własnym sklepie będę robił manko? - spróbował się uśmiechnąć.

- Manko? Och, na pewno nie - Szczęsny uśmiechnął się również, notując nazwisko inspektora. - Może pan teraz iść do żony, tylko proszę nie oddalać się z domu.

- To... ja chciałbym zadzwonić do mego pomocnika, żeby przyjechał tu po klucze. Albo - zastanowił się - nie, lepiej w ogóle nie otworzę dziś rano sklepu.

- Nie ma pan zaufania do swego pomocnika? Jak on się nazywa i gdzie mieszka?

- Kubicki. Fabryczna 25. Mam zaufanie, skądże... Otworzy się później, jak już będę mógł stąd wyjść - odparł niekonsekwentnie.

Kapitan patrzał za nim, gdy wchodził powoli po schodach, trochę utykając. Otoczko stanął obok oficera i patrzyli razem.

- Blondyn - mruknął Szczęsny do siebie. - Co to za warsztat?

- Tam coś śmierdzi - odparł sierżant krzywiąc nos, choć uwaga była symboliczna. - Dzielnicowy od dawna ma go na oku. Tylko ciężko coś udowodnić. Albo siuchta z przemytnikami zegarków, albo może... diabli go wiedzą. Ale czysty interes to nie jest.- A ta ekspedientka? Otoczko gwizdnął z uznaniem.

- Babka na medal. Biust, jak Lollobrygida.

- Ja nie pytam o jej biust. Sam widziałem.

- Bliższe szczegóły się rozpracuje. Mogę się tym zająć. Chyba, że obywatel kapitan woli sam...

Szare, trochę drwiące oko sierżanta spojrzało na Szczęsnego spod zmrużonej powieki.

- Obawiałbym się o waszą głowę. Otoczko nie zrozumiał.

- Można stracić głowę, mając ją na karku - wyjaśnił Szczęsny i wszedł do gabinetu. Stanął przy biurku i zamyślił się głęboko.

Pistoletu SauerSohn kaliber 7,65 numer 2819, nigdzie nie było. Sądząc ze wstępnych oględzin, była to jedyna rzecz, jaką przestępca zabrał; widocznie morderstwo nie miało podłoża rabunkowego. Dwieście złotych w portfelu, dobry szwajcarski zegarek i gruba złota obrączka na ręce zmarłego, płaszcz z futrzanym kołnierzem i garnitury wiszące w sypialni, porządnie ułożona bielizna - wszystko to wskazywało, że zabito Okołowicza z jakiejś innej przyczyny, nie dla prostej kradzieży. Być może jednak wśród papierów i dokumentów denata było coś, co dla zabójcy miało większą wartość niż futro czy zegarek.

- Spróbujmy odtworzyć sobie, co działo się tej nocy - powiedział Szczęsny, gdy do gabinetu weszli: komendant dzielnicowy kapitan Królikowski i jego zastępca, porucznik Białek. - Godzina, powiedzmy, ósma wieczorem. Według relacji tych trojga z góry Okołowicz wrócił do domu jak zwykle o piątej po południu. Co robił w swym pokoju, tego już się chyba nie dowiemy. Prawdopodobnie coś czytał, może się zdrzemnął z godzinkę, może słuchał radia albo jeszcze pracował. Ósma wieczór... Zabielski jest już u znajomych na brydżu. O ile to prawda.

- Sprawdzimy - wtrącił Otoczko.

- Jego żona, jak twierdzi, o tej porze wyszła do kuchni, aby przygotować sobie kolację. Tam spotkała się z Danutą Kretz, która weszła, aby napełnić wodą elektryczną

maszynkę do kawy. Tak... maszynkę do kawy - powtórzył kapitan i - zastanawiał się nad czymś przez chwilę. - Co robi o tej porze Okołowicz? Pewnie również je kolację, bo w kuchni znaleźliśmy nieumytą szklankę po herbacie, talerz z okrawkami wędliny i kawałek skórki od chleba. Czas upływa, nadchodzi godzina jedenasta. Zabielski jeszcze nie wrócił. Jego żona podobno nigdy nie zasypia przed północą, a więc i teraz nie śpi. Pokój ich mieści się nad sypialnią kierownika. Pani Kretz kończy czytanie książki... chwileczkę! - zerwał się z krzesła, pobiegł na górę i zastukał do drzwi pokoju sprzedawczyni.

- Proszę - usłyszał.

Wszedł do środka. Pani Danuta była już ubrana w prostą, szarą sukienkę jerseyową. Na szyi miała ładne różowe korale z Cepelii, na ręce dwie wąskie bransoletki. Siedziała przed toaletką i nakładała lakier na paznokcie.

- Niech pan usiądzie - uśmiechnęła się. - Może tu przy mnie, w fotelu?

Ale Szczęsny zignorował zaproszenie. Podszedł do tapczanu i sięgnął po książkę leżącą obok, na stoliku. Była to „Klaudyna w Paryżu" Colette. Szybko przerzucił kartki, po czym odłożył książkę. Na ustach miał lekki uśmieszek.

- O, to niełądnie, że pan lekceważy „Klaudynę" - powiedziała ekspedientka na wpół żartobliwie. - Nie jest to wprawdzie arcydzieło literatury, ale bardzo miła powieść. Dobrze się przy niej odpoczywa.

- Wcale nie lekceważę. Najlepszy dowód, że zacząłem ją kiedyś czytać i, jak pani widzi, musiałem teraz zajrzeć, jak się kończy.

Wrócił do gabinetu.

- Więc o godzinie jedenastej pani Kretz przerywa czytanie książki. Niektórzy ludzie mają obrzydliwy zwyczaj zaginania brzegu kartek... Po dwóch godzinach czytania pani Kretz znajduje się zaledwie na czwartej stronie, choć zapewniała mnie, że nie mogła się oderwać. No, ale mniejsza z tym. Co robi o jedenastej Okołowicz? Prawdopodobnie ma u siebie spóźnioną wizytę. Jego sąsiadka z górysłyszy podniesione głosy, dyskusję, może kłótnię, a w pewnej chwili - według jej słów - ciężki stuk, jak by coś upadło na ziemię. Nie wyklucza też w swej relacji, że to był strzał, bo nie zna się na strzałach... Hm. Ludzie czasem zapominają, co przed chwilą mówili. Pani Zabielska nic nie słyszy, mimo że nie śpi. Sierżancie - zwrócił się do Otoczki - wejdźcie na chwilę do pokoju Zabielskich. Niech się nie ruszają z miejsca, nie gadają. Dokładnie za dwie minuty wystrzelę. Sprawdźcie, czy słychać. Może kto z was ma ślepy nabój?

- Jaki macie kaliber? - spytał komendant. - Szóstka. Niewielka różnica w odgłosie. Sierżant ma parabellum, to za duże.

- Ja też mam szóstkę. Proszę - porucznik Białek podał mu nabój.

Otoczko wyszedł z pokoju. Słyszeli, jak wchodził po schodach, pukał do drzwi, a potem wszedł. Czekali w zupełnym milczeniu. Szczęsny, stojąc przy drzwiach zwrócony twarzą do biurka, patrzał na zegarek. Po upływie dwóch minut, w gabinecie rozległ się głuchy odgłos strzału.

- No? - Szczęsny spojrzał na Otoczkę, który stanął w progu.

- Słychać, kapitanie. Tu cienkie ściany. Kobita musiała zasnąć. Teraz oboje usłyszeli, bo się przelękli i pytali mnie, kto to strzelał.

- Doskonale. A więc strzał z pistoletu - nawet mniejszego kalibru i w dodatku „ślepym" nabojem - słychać jednak na górze. Przypuśćmy, że Zabielska istotnie zasnęła...

Komendant poruszył się na krześle.

- Kobiety często mówią: całą noc nie spałam, a spała jak suseł, nawet chrapała. Moja żona - urwał. Otoczko odwrócił głowę, kryjąc uśmiech. Cała komenda wiedziała, że kapitan Królikowski boi się własnej żony.

- Cóż się dzieje dalej? - kontynuował Szczęsny, chodząc po gabinecie. - Pani Kretz słyszy trzaśniecie drzwi frontowych, więc wychodzi na schody. Przez okno na półpiętrze widzi sylwetkę wysokiego, barczystego mężczyzny bez kapelusza, o ciemnych włosach, ubranego w gładki, jasny płaszcz gabardynowy. Ten mężczyzna biegnie ulicą, oddalając się od furtki. Pani Kretz rozróżnia szczegóły jego ubrania, kolor włosów - mimo iż lampa nad schodami nie pali się, bo od dawna nie ma żarówki, najbliższe latarnie znajdują się w odległości pięćdziesięciu metrów, a noc jest czarna, bezksiężycowa. Jaki stąd wniosek?

- Kłamie, chcąc kogoś wpakować - wyraził przypuszczenie komendant.

- Myślę raczej, że mężczyzna o opisanym przez nią wyglądzie rzeczywiście był tego wieczoru u Okołowicza, lecz pani Kretz widziała go nieco wcześniej, na przykład w hallu albo przez uchylone drzwi w gabinecie.

- Po cóż by więc kłamała, że widziała go na ulicy?

- Bo może istnieje jakiś powód, dla którego nie chce nam powiedzieć, że w ogóle schodziła tego wieczoru na dół. Przypuśćmy, że wie, kim jest ten człowiek... Że go zna i pamięta, jak w ostatnich dniach chodził ubrany. Dlatego opowiada szczegóły, o których wie, chociaż wówczas nocą nie mogła ich zauważyć. Być może też - rozważał dalej - że nasza urocza ekspedientka ma bujną fantazję i sylwetka przypadkowo przechodzącego ulicą mężczyzny przetworzyła się w jej wyobraźni na konkretny obraz takiego właśnie człowieka.

Zapalił papierosa, spojrzał na biurko.

- Co mogło się dziać w tym gabinecie pomiędzy jedenastą a pierwszą w nocy? Przypuśćmy, że do Okołowicza przyszedł ktoś, kto miał do niego o coś pretensje, i to poważne. Okołowicz był kierownikiem Wydziału Finansowego, człowiekiem szorstkim, surowym i sprawiedliwym. Tacy ludzie mają wielu wrogów w sferach gospodarczych i handlowych. Pomiędzy tymi dwoma wywiązał się spór czy nawet ostra kłótnia. W pewnej chwili przybysz chwycił z biurka ten oto marmurowy przycisk i uderzył nim Okołowicza w czoło. Uderzył lekko. Dlaczego? Jest kilka możliwości. Mógł to zrobić bez zastanowienia, w porywie gniewu. Albo, nie czując się pewnym czy też wzdragając się przed rozwaleniem czaszki z tak bliskiej odległości, chciał go tylko ogłuszyć. Okołowicz upadł na fotel, twarzą na rozłożone papiery. Wtedy tamten cofnął się o parę metrów, w stronę drzwi...

- Po co? - przerwał komendant.

- Właśnie z powodu, o którym mówię: bo nie chciał zabijać z bliskiej odległości, nie chciał widzieć zbyt wyraźnie twarzy człowieka, którego miał zabić. Więc odszedł parę kroków i strzelił mu w plecy. Tak robią tchórze, ludzie nerwowi, nie wprawieni. Inna wersja. Chciał zabić przyciskiem, co było o tyle bezpieczniejsze, że nie powodowało hałasu, ale źle wymierzył czy Okołowicz trochę się uchylił - może przycisk ześliznął się w ręku, dość, że cios wypadł o wiele słabiej, niż był zamierzony. Napastnik nie miał jednak widać odwagi bić dalej. Myślę, że kierownik chował swój pistolet w szufladzie biurka. Cóż prostszego, jak sięgnąć do niej i zabić Okołowicza z jego własnej broni.

- Cóż się dzieje dalej? - monologował Szczęsny, spacerując po gabinecie. - Morderca strzela, po czym, zostawiając drzwi uchylone, bo się śpieszy, wybiega z domu, lecz w ciemności potyka się na schodkach i upada, uderzając głową o wystającą płytę chodnika. Znalazłem na niej skrzep krwi z dwoma włosami blond. Możliwe, że przy tej okazji potłukł się trochę.

- Na przykład zbił kolano - wtrącił Otoczko - i kuleje, jak ten na górze - pokazał ruchem głowy. - Też jest blondynem. Wrócił do domu, jak twierdzi, o drugiej w nocy.

- Sprawdzimy, jak to było z tym brydżem. Kapralu, postarajcie się o parę. włosów z kołnierza jego marynarki.

- A jeżeli... - zaczął komendant. Ale Szczęsny machnął ręką niecierpliwie.

- Na razie dosyć gadania - przerwał. - Mamy aż za dużo roboty.Wysoki mężczyzna w jasnym gabardynowym płaszczu, bez kapelusza, szedł szybkim krokiem w stronę postoju taksówek. Gdy doszedł już do pierwszego samochodu i kierowca, znudzony drzemką, uprzejmie otworzył drzwiczki, mężczyzna ów nagle zawrócił w miejscu, postawił kołnierz od

płaszcza i zaczął spiesznie oddalać się od postoju. Po paru krokach w prawo, skręcił raptownie w lewo i znikł za zakrętem.

- Cholera, kręćka ma czy co? - mruknął zawiedziony kierowca.

- Spił się i tyle - rzucił jego kolega, oparty o maskę samochodu. - Ciesz się, że nie wsiadł, jeszcze by ci wóz zarzygał.

- Nie wyglądał na pijanego. Spać mi się chce... która godzina, Wacuś?

- Za dwadzieścia dwunasta. Daj papierosa.

O tej całej scenie opowiedział następnego dnia kapitanowi Szczęsnemu kapral Strączkowski z Komendy Dzielnicowej MO. Dowiedział się o niej od kierowców taksówek, na postoju niedaleko willi, w której zabito Okołowicza. Wyglądało więc na to, że Danuta Kretz nie kłamała.

- Dworce - powiedział Szczęsny do stojącego przy oknie kaprala Otoczko. - Jakieś bliższe szczegóły ubrania? Buty? - zwrócił się do Strączkowskiego. - Rysy twarzy?

Strączkowski potrząsnął głową. Kierowcy zapamiętali jedynie jasny płaszcz. Dalsze wypytywanie nie miało celu, mogliby zacząć koloryzować. Milicja zna wielu takich świadków, którzy za każdym przesłuchaniem dorzucają nowe, coraz bardziej fantastyczne szczegóły.

Natomiast przebadanie kasjerów dworcowych i kolejarzy dało pewne rezultaty. Kasjer w jednym z okienek naDworcu Głównym zapamiętał bardzo zdenerwowanego i śpieszącego się pana w jasnym płaszczu - ale, jak twierdził, na pewno w kapeluszu - który we wtorek wczesnym rankiem najpierw zażądał biletu do Szczecina, potem nagle przeprosił, że się pomylił i że nie do Szczecina, lecz do Gdańska. Zapomniał również reszty z pięciuset złotych i kasjer musiał wychylić się z okienka, wołając za nim, żeby zabrał pieniądze.

Kapitan Szczęsny rozkazał nadać telefonogram do Komendy Wojewódzkiej w Gdańsku, a po sekundzie namysłu i do wszystkich pozostałych Komend Wojewódzkich, prosząc o zaobserwowanie hoteli i lokali gastronomicznych.

- Oni tam na głowę upadli, w tej Warszawie - rzucił ze złością porucznik z komendy krakowskiej, otrzymawszy telefonogram. - „Wysoki mężczyzna w jasnym płaszczu gabardynowym”? Pięć tuzinów takich facetów znajdę mu na każdej ulicy.

- I to wszystko? - denerwował się major z milicji łódzkiej. - A może po prostu: „Szukajcie mężczyzny”, co? Szczęsny ma chyba źle w głowie, jeżeli myśli, że mu coś takiego odnajdziemy.

Komendant w Poznaniu, otrzymawszy dalekopis, wzruszył ramionami. - Może poślemy po jasnowidza? - mruknął do swego zastępcy.

Mimo to, wywiadowcy w Gdańsku, Łodzi, Poznaniu i innych miastach sprawdzali listę gości hotelowych, zaglądali do restauracji, kawiarni, włóczyli się po dworcach, baczną uwagę zwracając na wszystkich wysokich mężczyzn w jasnych płaszczach. Mężczyzn, którzy zdradzali niepokój i zdenerwowanie.

Późnym wieczorem w mieszkaniu kapitana Szczęsnego odezwał się telefon. Dzwonił oficer dyżurny Komendy Miasta. Już po dwóch zdaniach Szczęsny przerwał mu, mówiąc: - Przyślijcie po mnie wóz. Niech zaczekają.

W kwadrans później wchodził do swego gabinetu w komendzie. Czekał już tam porucznik Kręglewski, a z nim dwóch mężczyzn w roboczych kombinezonach, woniejących straszliwie. Byli to pracownicy kanalizacji miejskiej.- Proszę, siadajcie - Biały Kapitan wskazał im krzesła. Ale oni uśmiechnęli się tylko, a jeden powiedział, zaciągając śpiewnie: - Ta, kapitanie, ta gdyby my tu siedli, to byś pan przez miesiąc z pokoju smrodu nie wypędził. Taka już nasza robota... Postoim. Długo przecie nie potrwa. To my w kanale znaleźli - wyciągnął dłoń z na wpół zwiniętą gazetę, w której leżał pistolet typu SauerSohn, kaliber 7,65. Z boku miał numer: 2819.

Czarne oczy Szczęsnego zabłysły. Wziął ostrożnie broń do ręki. Kręglewski potrząsnął głową.

- Nic tam nie znajdziesz - rzekł niechętnie. - Wypucowany jak na Wielkanocne Święta.

Robotnicy spojrzeli na niego, a wyższy odezwał się z lekkim wyrzutem: - Pan porucznik czegoś zły. Jakżeśmy go mieli przynieść bez wycierania? Mokry był i w brudzie umazany. Żadnych odcisków już i tak nie było.

- Gdzieście go znaleźli? - spytał kapitan.

- W górnym kanale, przy Filtrowej. Rura tam pękła i roboty od paru dni prowadzimy. Właz był odkryty, tylko trochę przysłonięty kratą. Widać, ktoś tamtej nocy wyrzucił.

- Tak... Dziękuję, żeście broń przynieśli. Proszę mi jednak zostawić nazwiska i adresy. Na wszelki wypadek.

- A dlaczegóż nie? - uśmiechnął się niższy. - Jak człowiek nie nabroi, to się milicji nie boi. Proszę bardzo: Feliks Krążek, Otwock, Leśna 5.

- Ząbkowski Lucjan, Grochowska 147 - dodał drugi robotnik.

We środę rano Biały Kapitan siedział w komendzie przeglądając po raz dziesiąty chyba zdjęcia zwłok Okołowicza i całej willi. Na blacie biurka, na marmurowym przycisku i na poręczy jednego z krzeseł znaleziono identyczne odciski palców jakiegoś nieznanego mężczyzny. Odciski te nie były notowane w Centralnej Registraturze Daktyloskopijnej MO.

- No, cóż - pomyślał w pewnej chwili. - Prosta sprawa. Pokłócili się, zabił, potem przerażony uciekł. Prędzej czy później znajdziemy go albo sam się zgłosi w przystępie załamania nerwowego. Proste. Za proste...? Nie filozofuj! - skarcił sam siebie. Prostych, prymitywnych zabójstw jest znacznie więcej niż zawikłanych. O co chodzi w końcu? Alibi Zabielskiego było murowane: grał w brydża, co potwierdzili znajomi, wyszedł od nich mniej więcej kwadrans po pierwszej. Szedł pieszo.

Szczęsny sięgnął po plan miasta. Droga od mieszkania znajomych Zabielskiego do willi prowadziła przez Filtrową. Okołowicza zabito między jedenastą a pierwszą. A może jednak w ciągu tego czasu Zabielski wychodził - powiedzmy, na pół godziny?

- Kazik! - zawołał do porucznika Kręglewskiego, siedzącego w sąsiednim pokoju. - Kto przesłuchiwał tych Nowakowskich, znajomych Zabielskiego?

- Komenda Dzielnicowa. Przygadałem im, bo zrobili to bez porozumienia z nami. W dodatku obawiam się, że nam popsuli robotę.

- Dlaczego?

- Dlaczego? - powtórzył Kręglewski, wstając i podchodząc do biurka Szczęsnego. Przysiadł obok, zapalił papierosa. - Bo dali się nabrać, a tamtych przez to ostrzegli. Zabielski wcale nie był na brydżu do pierwszej, tylko do jedenastej. Potem wyszedł. Ktoś do niego zatelefonował, widocznie wiedząc, że go tam zastanie.

- Skąd wiesz o tym wszystkim?

- Od gospodyni Nowakowskich. Pogadałem sobie z nią o tym i owym, naturalnie na gruncie neutralnym. Wcale niczego dziewuszka.

- Widocznie Nowakowscy chcieli mu stworzyć jakieś alibi. A dokąd Zabielski poszedł?

- Ba. Tego, to już ona nie wiedziała. Podobno jednak był bardzo zdenerwowany.

- Przez cały wieczór, czy po owym tajemniczym telefonie?

- Przez cały wieczór. Powiem ci tylko jeszcze, że Zabielscy od dawna starają się w radzie narodowej o te dwa pokoje, które zajmował Okołowicz. Zabielski chce podobno sprowadzić z Wrocławia swoją matkę. Okołowiczowi mieli dać w zamian pokój na górze.- A on o tym wiedział? Zgadzał się?

- Nie. Mówili mi w wydziale kwaterunkowym dzielnicowej rady, że Okołowicza nie ruszą. On też miał rodzinę, siostrę zmarłej żony z dzieckiem i mężem inwalidą. Gnieżdżą się gdzieś pod Warszawą i w lipcu właśnie mieli się sprowadzić.

- Sądząc z tego, uczucia Zabielsikich w stosunku do Okołowicza nie były zbyt przyjazne. Ale to jeszcze nie powód do morderstwa. Ja bym raczej...

Przerwał, wyciągając rękę do telefonu, który zadzwonił.

- Słucham, kapitan Szczęsny... no co, poruczniku?... kto?... dyrektor Lewiecki? Nie znam żadnego dyrektora Lewieckiego i niech się odczepi... co?... Tak... tak... aha, rozumiem. Dobrze, skierujcie go do mego pokoju.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na Kręglewskiego z uśmiechem.

- Dyrektor Centralnego Zarządu Dostaw Materiałów Rolnych Brunon Lewiecki zgłasza milicji interesującą wiadomość: zaginął jeden z jego pracowników, który miał przy sobie ważne dokumenty. Wiesz co, Kazik? Dałbym głowę, że to ma jakieś powiązanie z... - urwał, bo zapukano do drzwi. - Proszę.

Do gabinetu wszedł wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna, w jasnym, świetnie skrojonym garniturze. Spojrzał bystro na obu oficerów i skłonił się lekko.

- Dyrektor Lewiecki? - spytał Szczęsny, podnosząc się z krzesła. Uścisnęli sobie dłonie, potem Lewiecki przywitał się z porucznikiem. - Proszę, niech pan siada. Tu są papierosy.

- Dziękuję. Nie zabierałbym panom czasu, gdyby nie to, że sprawa jest dla mnie trochę niepokojąca - zaczął dyrektor. Głos miał niski, metaliczny. Duże, szaroniebieskie oczy pod ciemnymi łukami brwi patrzyły na kapitana z widocznym zafrasowaniem.

Przystojniak - pomyślał Kręglewski. Na takiego to kobiety lecą.

- Słucham, dyrektorze. Co gnębi Centralny Zarząd Dostaw Materiałów Rolnych? Względnie, co niepokoi pana osobiście?- Wczoraj nie przyszedł do pracy jeden z moich wieloletnich pracowników, zastępca naczelnika działu organizacyjnego, magister inżynier Zbigniew Wolski. Myśleliśmy, że zachorował. Wolski miał w swoim biurku bardzo dla nas ważne dokumenty, umowy zagraniczne, rozliczenia, itede. Posłałem więc gońca do jego mieszkania, aby się dowiedział, co zaszło. Goniec wrócił z wiadomością, że „pana inżyniera nie ma". Pojechałem więc sam, bo zresztą było mi po drodze na konferencję w ministerstwie. Wolski mieszkał jako sublokator u pewnych państwa, właścicieli sklepu galanteryjnego w pawilonach handlowych na Marszałkowskiej. Zastałem tylko ją, bo on był właśnie w sklepie. Powiedziała mi, że Wolski w poniedziałek wrócił do domu późną nocą, a następnego ranka - gdzieś koło szóstej - wyszedł z mieszkania. Wspólnie z właścicielką otworzyliśmy drzwi jego pokoju zapasowym kluczem. Gospodyni od razu zauważyła brak walizki, która stała zawsze między szafą a tapczanem. W pokoju był nieład, jakby ktoś w wielkim pośpiechu pakował rzeczy. Wolski nie zostawił żadnego listu wyjaśniającego nagły wyjazd, nie dał znać do biura, znikł jak kamień w wodę. Dziś jest środa... chodzi już nie tylko o dokumenty, które być może

są w jego biurku, bo jeszcze nic nie ruszaliśmy, ale po prostu obawiamy się, czy coś mu się nie stało. Zwłaszcza że miał usposobienie dość gwałtowne, impulsywne. Poza tym chorował.

- Na co?

- Na... trochę trudno mi o tym mówić. On z czasów wojny wyniósł jakiś uraz psychiczny i czasami - jednym słowem, nie był taki jak my wszyscy. To znaczy, jak pan czy ja...

Lewiecki był wyraźnie zakłopotany; widać było, że niechętnie mówi o chorobie, niewątpliwie psychicznej, swego pracownika.

- Jak wygląda inżynier Wolski?

- Wysoki, postawny blondyn.

- Czy nie pamięta pan, jak był ostatnio ubrany? Jaki nosił płaszcz?

- Zdaje się, że jasny. Chodził zwykle bez kapelusza.- W Centralnym Zarządzie znajdzie się z pewnością jakaś jego fotografia, prawda?

- O tak. W kadrach i może w związku zawodowym. Chciałbym pana prosić, kapitanie, o możliwie szybkie zajęcie się tą sprawą, gdyż chcemy otworzyć biurko Wolskiego, a jeżeli papiery się nie znajdą, poszukać ich w domu.

Biały Kapitan myślał o czymś przez chwilę, patrząc uważnie na dyrektora.

- Proszę mi powiedzieć... czy w tych dokumentach było coś, co mogłoby się przydać - powiedzmy, obcemu wywiadowi?

Lewiecki zawahał się.

- Chyba nie - odparł. - Zresztą nie orientuję się, co mogłoby zainteresować agentów wywiadu. Materiały budowlane? Maszyny rolnicze? Owszem, były tam plany rozbudowy dwóch fabryk maszyn żniwnych i kilka dokumentacji technicznych nowych typów traktorów. Poza tym, jak już mówiłem, umowy importowoeksportowe, rozliczenia z dostaw.

- Czy inżynier Wolski się leczył?

- Zanim odpowiem na to pytanie, prosiłbym o dyskrecję wobec innych pracowników biura, Nie chcę, żeby to się rozeszło. Wolskiego znam od wielu lat i szkoda mi chłopa, co tu gadać.

- Pańskie informacje, dyrektorze, pozostaną między nami.

- Więc... tak, leczył się, ale w tajemnicy przed wszystkimi. Ja tylko wiedziałem o tym, bo sam go do lekarza zaprowadziłem, widząc, co się z nim dzieje. Leczył go doktor Badek, psychiatra. Wolski potrafił świetnie pracować przez kilka miesięcy, a potem nagle... wie pan, to było coś w rodzaju przejściowych stanów maniakalnych, połączonych z manią prześladowczą. Zdawało mu się, że ktoś czyha na jego życie. Był przy tym bardzo

opanowany, więc koledzy z biura mówili tylko, że jest nerwowy i czasami bez powodu wybucha gniewem. Ja jeden widziałem, ile wysiłku kosztował go wtedy normalny dzień pracy. Potem to przechodziło. Ale właśnie w ostatnich dniach powróciło znowu.- Tak - Szczęsny zamyślił się. Potem wstał. - Pojadę z panem, dyrektorze, do Centralnego Zarządu. Chciałbym zobaczyć fotografię inżyniera Wolskiego, a potem mieszkanie.

Z małej, legitymacyjnej fotografii spoglądała na kapitana twarz czterdziestoparoletniego blondyna, sucha, ściągła, pełna wyrazu. Na czole, na wpół ukryta pod gęstymi włosami, widniała duża szrama.

- To z wojny - objaśnił Szczęsnego dyrektor Lewiecki, gdy siedzieli w jego gabinecie, na drugim piętrze gmachu Zarządu. - Wolski służył w II Armii. Opowiadał mi czasami o generale Świerczewskim, którego śmierci nigdy nie mógł odżałować.

- Zatrzymam to zdjęcie. Chciałbym teraz przejść do pokoju, w którym inżynier pracował.

Zbigniew Wolski zajmował mały, oddzielny gabinet w dziale organizacyjnym. Wchodziło się do tego pokoju przez sekretariat naczelnika Surowiaka, który, od paru tygodni leczył się w sanatorium.

Na widok dyrektora, sekretarka zerwała się z krzesła, spiesznie wpychając do szuflady resztki śniadania. Jej drobna, dziewczęca twarz poczerwieniała. Obciągnęła bluzkę, poprawiła włosy, które ciemną falą opadały jej na czoło.

- Niech pani sobie nie przeszkadza, Irenko - uśmiechnął się Lewiecki. - Czy inżynier wrócił?

- Nie, panie dyrektorze - smutno potrząsnęła głową. - Już sama nie wiem, co mówić ludziom przez telefon. I tyle poczty nie podpisanej. Żeby choć był naczelnik Surowiak...

W tej chwili otworzyły się drzwi i do sekretariatu wszedł jeden z pracowników. Był wyraźnie podniecony. Nie zwracając uwagi na stojących, zawołał do sekretarki:

- Czytałaś, Irka? Umarł ten Okołowicz, kierownik 17 Wydziału Finansowego, który u nas... o, przepraszam, panie dyrektorze, nie zauważyłem. Pan dyrektor już wie?

- Tak, czytałem nekrolog w „Życiu Warszawy". Dziwna historia, napisane: „zmarł tragicznie". Pewnie wypadek. Nie zna pan jakichś szczegółów?- Podobno zamordowany.

- Co takiego? Okołowicza zamordowano? - Lewiecki złapał się za głowę. - Niemożliwe, skąd pan o tym wie?

- Całe miasto o niczym innym nie mówi - odparł urzędnik, rad z wrażenia, jakie wywołał. - Znaleziono go w mieszkaniu, ze sztyletem w plecach. Podobno broń była zatruta. Kurara czy coś w tym rodzaju.

- Co za bzdury - Lewiecki ochłonął i wzruszył ramionami. - Skąd kurara? Gdzie pan ją u nas dostanie!

- Ja tam nie szukam, panie dyrektorze - roześmiał się urzędnik - ale przysłowie mówi, że jak kto chce psa uderzyć, zawsze kij znajdzie. Może zresztą nie kurara, a co innego.

- A czy pan kapitan... - Lewiecki, widząc ostre spojrzenie Szczęsnego, zagryzł wargi i umilkł. Weszli do gabinetu Wolskiego.

- Czy 17 Wydział albo Najwyższa Izba Kontroli przeprowadzały u was ostatnio inspekcję? - spytał Szczęsny.

- Ostatnio? Co pan ma na myśli?

- Pytam, czy nie było jakiejś specjalnej akcji? Bo macie pewnie, tak jak wszystkie instytucje, stałego kontrolera.

- Zdaje się, że pan kapitan źle zrozumiał słowa mego pracownika. On powiedział: „Umarł Okołowicz, kierownik 17 Wydziału Finansowego, który u nas" - i przerwał, ale to nie chodziło o to, że sam Okołowicz przeprowadzał osobiście jakąś nadzwyczajną kontrolę. Słowo „który" odnosiło się nie do Okołowicza, lecz do wydziału. Kontrolerem jest Józef Nowak, bardzo dokładny pracownik, doskonały fachowiec. Nie ma zresztą z nami wielkiego kłopotu - uśmiechnął się. - Centralny Zarząd Dostaw Materiałów Rolnych ma czyste sumienie, kapitanie. Tak... Więc to jest właśnie gabinet Wolskiego. Chciałbym jak najprędzej otworzyć jego biurko. Trzeba będzie jednak zawołać ślusarza. No i jakąś małą komisję. Z księgowości, rady zakładowej i organizacji partyjnej.

- Naturalnie, niech pan ich poprosi.

Ślusarz nie miał trudności z otwarciem standartowego biurka z CHPD. Gdy wysunął szufladę, siedem par oczuspojrzało do wnętrza. Na samym wierzchu leżała duża, niebieska teczka, obok trochę czystego papieru, dwa ołówki, torebka cukru i kilka kopert. Lewiecki sięgnął po teczkę, ale główny księgowy go uprzedził i rozłożył na biurku wszystkie znajdujące się w niej papiery. W miarę zaś, jak rozkładał, twarze obecnych - z wyjątkiem Szczęsnego - wyrażały coraz większy niepokój.

- To nie ta teczka - szepnęła sekretarka. - Tamta była różowa. W tej trzymał tylko pocztę.

- Widocznie zabrał dokumenty do domu - rzekł dyrektor. - Musimy tam pojechać, i to zaraz.

- Czy do biurka miał jeszcze dostęp ktoś inny? - zwrócił się Szczęsny do sekretarki. - Chodzi mi o to, czy któryś z pracowników mógł zabrać stąd papiery?

- Nie - odparła stanowczo. - Inżynier Wolski zamykał biurko na klucz, który nosił przy sobie. Jeszcze w poniedziałek po południu, gdy skończyliśmy pracę, weszłam na chwilę do gabinetu i widziałam, jak zamykał szufladę, a potem chował klucz do kieszeni. Myślę... pewnie pan dyrektor ma rację, że wszystkie dokumenty są u inżyniera w mieszkaniu.

- To jedziemy tam. Po co tyle gadać - uciął szorstko sekretarz organizacji partyjnej. - Gdzie on mieszka? - zwrócił się do panny Ireny.

Wcisnęli się nieprzepisowo w piątkę do dyrektorskiej warszawy i na pierwszym rogu ulicy zatrzymał ich milicjant z Komendy Ruchu. Szczęsny z zakłopotaniem pokazał swoją legitymację, szepnął mu coś na ucho, milicjant ściągnął wargi z niezadowoleniem i puścił wóz.

Drzwi otworzył im właściciel sklepu, Owczarski, starszy schorowany pan o pożółkłej twarzy wątrobiarza. Na widok pięciu nieznanych mężczyzn cofnął się ze strachem i zatrzasnął je z powrotem.

- O co chodzi? - zawołał przez drzwi. Słychać było, jak mówi do kogoś: - Wpuściłaś tu rano jakiegoś łobuza i teraz przyszło pięciu.

Przewodniczący rady parsknął śmiechem na widok speszonej twarzy dyrektora.- Proszę się nie obawiać - powiedział głośno kapitan Szczęsny. - To przyszła komisja z biura, w którym pracuje inżynier Wolski.

Drzwi uchyliły się bardzo ostrożnie.

- Inżyniera nie ma w domu - odparł Owczarski, mierząc stojących podejrzliwym wzrokiem. - Nie ma od wczoraj. Gdzieś wyjechał. Nie wiem gdzie. Nic nie mówił.

- Proszę, oto moja legitymacja Centralnego Zarządu Dostaw Materiałów Rolnych - rzekł Lewiecki, wsuwając przez szparę w drzwiach swój dokument urzędowy. - Jestem dyrektorem naczelnym, nie żadnym łobuzem. A to panowie... towarzysze z komisji. Proszę nas wpuścić. Jest tutaj także oficer z Komendy Miasta Milicji Obywatelskiej.

Wreszcie Owczarski zdecydował się otworzyć drzwi i komisja weszła do mieszkania.

- Boi się pan złodziei? - spytał przewodniczący z uśmiechem. - Musi pan tu chować jakieś wielkie skarby-

- Co mam, to nikomu nic do tego - żachnął się staruszek. - Podatki płacę. Jestem w porządku. Złodziei wszędzie pełno. Panowie nie wiedzą? Z księżyca spadli... - zrzędził, otwierając drzwi do pokoju, w którym mieszkał inżynier. - Nikt nie ma na czole napisane, że złodziej. Mleko kipi! - zawołał do żony, która stała w progu kuchni, wielkimi wołowymi oczami spoglądając ospale na przybyszów.

Pokój inżyniera był długi jak kiszka, dziwnie nieprzytulny, zastawiony starymi meblami i zawieszony portretami, widać rodziny gospodarzy, bo podobieństwo rzucało się w oczy. Wszyscy mieli długie nosy z okrągłą kulką na końcu i wystraszony, niebieski wzrok, uciekający gdzieś na boki. Szczęsny mimo woli spojrzał na Owczarskiego. Na czubku kulki jego nosa wisiał mały sopelek; właściciel sklepu miał chroniczny katar.

W pokoju panował idealny porządek i kapitan mruknął z niezadowoleniem do Lewieckiego: - Nie mógł pan jej powiedzieć, żeby nie sprzątała? - Po czym wyszedł spiesznie do kuchni, skąd po małej utarczce słownej przyciągnął opierającą się panią Owczarską.- Ścierała pani kurze? - spytał, przypatrując jej się uważnie swymi wąskimi, czarnymi oczami.

Owczarska bez słowa zawróciła do kuchni i po chwili ukazała się znowu, z żółtą flanelową ściereczką. - Zaraz zetrę - powiedziała flegmatycznie.

- Mowy nie ma! - krzyknął Szczęsny. - Bóg panią skarżę, jeżeli ruszy pani jeszcze cokolwiek w tym pokoju.

Popatrzyła na niego oczami bez wyrazu w tłustej, nieruchomej twarzy.

- Nie ścierać?

- Nie.

- To nie.

I wyszła z powrotem do kuchni.

- Umarłbym przy takiej babie - jęknął cicho przewodniczący rady do sekretarza. - Sam tłuszcz.

- A moja... jak patyczek - odrzekł sekretarz. I westchnął.

Kapitan zapytał o telefon i połączywszy się z komendą, wezwał podoficera z walizką śledczą. Po czym wyjął z kieszeni cienkie, bawełniane rękawiczki i zbliżył się do biurka. Było otwarte. W szufladach leżały różne osobiste papiery inżyniera, listy, stare recepty, pełno szpargałów. Nie było tylko dokumentów z Centralnego Zarządu.

- Diabli wiedzą, gdzie on to mógł wsadzić! - Lewiecki bezradnie rozłożył ręce. - Może w tej szafie? Chociaż wątpię.

Biały Kapitan otworzył szafę. W przeciwieństwie do pokoju panował w niej niesłychany bałagan. Widocznie pani Owczarska do szafy nie zaglądała. Czyste koszule leżały zmięte obok paru brudnych skarpetek, na niebieskiej piżamie stały buty, krawaty żałośnie skręcone wystawały spod ręczników.

Główny księgowy podszedł bliżej i przyglądał się chwilę, po czym rzucił w stronę sekretarza: - Widzisz, a to szare ubranie z setki, co sobie szył u krawca, pewnie sprzedał, albo wziął na siebie, bo nie ma w szafie.

- Jakie to było ubranie? - spytał kapitan.

- Ciemnoszare, w taki drobniutki, trochę jaśniejszy wzorek. Bardzo ładny materiał. Chyba leszczkowski. Szyłmu je mój sąsiad, to się kiedyś przyjrzałem. Bo inżynier rzadko nosił ten garnitur, a do biura to nigdy. Widać, było mu szkoda. W pracy łatwo rzeczy się niszczą. O, tutaj chyba są resztki - schylił się i z jakiegoś kąta szafy wyciągnął mały zwitek skrawków materiału. - Tak, to od tego ubrania.

- Proszę mi je dać - kapitan schował skrawki. Do drzwi zadzwoniono i pan Owczarski, znów przestraszony, wybiegł do przedpokoju. Szczęsny wyszedł za nim. - To pracownik komendy - powiedział, otwierając szerzej drzwi mimo oporu gospodarza. - Wejdźcie, sierżancie.

Podoficer rozłożył na tapczanie walizkę śledczą i szybko, sprawnie zebrał odciski palców z biurka, szafy, lustra i skąd się tylko dało. Czterej pracownicy Centralnego Zarządu przyglądali się tej robocie z ogromnym zainteresowaniem, a przewodniczący rady mruknął w pewnym momencie: - Cholera, mnie by się przydał taki pędzelek! Wygląda na borsuczy.

- Bo jest - odparł sierżant. Przeniósł odciski na folię i schował do walizki, po czym spojrzał pytająco na kapitana. Przejrzeli każdy zakamarek pokoju, przetrząsnęli nawet materace, zajrzeli za rodzinne portrety i pod dywanik. Dokumentów nie było.

- No tak... - Biały Kapitan raz jeszcze porównał zdjęcia. - Te same.

Odciski linii papilarnych, znalezione w mieszkaniu inżyniera Wolskiego, zgadzały się z odciskami, pozostawionymi na biurku Okołowicza i na marmurowym przycisku.

- Zróbcie odbitki jego fotografii i roześlijcie natychmiast do wszystkich jednostek - powiedział do stojącego przed nim kaprala Otoczki. - I te zdjęcia daktyloskopijne.

Kapral wyszedł, a Szczęsny znużonym ruchem oparł głowę na rękach i zadumał się. Bardzo nie lubił, gdy przestępca był zdemobilizowanym wojskowym, a w dodatku wyższym oficerem.

Dyżurny z wydziału dochodzeniowego wszedł do gabinetu.- Przyszła wezwana obywatelka Danuta Kretz, kapitanie. Czy zaraz wprowadzić?

- Tak.

Ociężałym ruchem podniósł się z krzesła, wciągnął marynarkę i zgarnął do szuflady protokoły i zdjęcia. Pomyślał, że znów dziś pewnie nie zdąży do teatru. A tak bardzo chciał jeszcze raz zobaczyć sztukę Durrenmatta „Romulus Wielki”... Spojrzał na zegarek. Wpół do szóstej. Może jednak się uda? Przedstawienie rozpoczynało się za dwie godziny. Nabrał otuchy i przychylniejszym okiem spojrzał na wchodzącą.

- Dzień dobry pani. Proszę siadać, to długo nie potrwa - uśmiechnął się.

Odwzajemniła mu się uśmiechem. Było w nim tyle kobiecego ciepła, że przez chwilę milczał, przypatrując jej się z upodobaniem. Wreszcie wyjął z szuflady jedno zdjęcie i powiedział:

- Proszę się dobrze przyjrzeć tej fotografii. Czy zna pani tego człowieka?

Wzięła z jego rąk mały prostokącik, dotykając przy tym wyraźnie celowo palców Szczęsnego. Przyglądała się zdjęciu, trochę marszcząc wąskie, starannie zrobione brwi. Potrząsnęła głową.

- Ciekawa twarz, Ale wydaje mi się, że go nigdy nie widziałam.

- A może zna go pani z widzenia? Z kawiarni, parku... kina?

- W każdym razie nie znam go bliżej.

Niedbale odłożyła fotografię. Nagle spojrzała na nią raz jeszcze, a na twarzy jej było widać jakiś wysiłek, jakby pamięć pracowała nad przypomnieniem sobie czegoś. Bezwiednie podniosła rękę do skroni, w zadumie przesuwając palcami po włosach. Nie odrywając oczu od zdjęcia, szepnęła ze zdziwieniem:

- Wie pan co? Tak jak bym go jednak widziała kiedyś na ulicy. Ale gdzie?... I to bardzo niedawno. Zaraz, zaraz... Ten nos i wydłużony profil... jakby ptaka. Na pewno go niedawno widziałam! - powiedziała z nagłym ożywieniem.- Niech pani sobie przypomni całą sylwetkę. Czy nie był w białym kitlu lekarskim?

- W kitlu? Nie... ale miał na sobie coś jasnego. Płaszcz. To jest - to jest chyba ten człowiek, którego widziałam z okna przy schodach, gdy wybiegał z willi. Tak. Ja się nie mylę. To jest on.

Biały Kapitan milczał długą chwilę, rozważając coś w duchu. Potem wstał i wyciągając do pani Kretz rękę na pożegnanie, rzekł z uśmiechem: - Dziękuję i do widzenia. Mam nadzieję, że się jeszcze nieraz zobaczymy. W jakiej kawiarni pani bywa najczęściej, jeżeli nie jest to niedyskretne pytanie?

- Och, nie mam swojej stałej kawiarni. Chodzę i do „Telimeny" i do „Nowego Światu" i do wielu innych. Ale przecież zna pan już mój adres, telefon i miejsce pracy. Cóż prostszego niż zadzwonić i przyjść tam, gdzie się umówimy?

- Racja - roześmiał się. - A więc do zobaczenia, piękna pani. Zadzwonię na pewno.

Wyszedł na korytarz i odprowadził ją do schodów. Gdy wracał, z sąsiedniego pokoju wyszła smukła, ładnie ubrana kobieta i weszła za nim do gabinetu.

- Widziałaś ją, prawda? Przyjrzałaś jej się dobrze, Krystynko? - spytał, częstując ją papierosem.

- Widziałam ją w „Zofii". Szczęsny, wiesz, co myślę? To nie jest typ, który łatwo zaprzyjaźnia z kobietami.

- A co w naszej pracy jest łatwe? Milczeli chwilę.

- Bardzo ładna.

- Ty jesteś ładniejsza - obrzucił ją serdecznym spojrzeniem.

To była prawda. Krystyna, wywiadowczyni z Komendy Miasta MO, odznaczała się wyjątkową urodą. Nikt by też nie pomyślał, że ta wiotka, delikatna blondynka o szarozielonych oczach dziecka i regularnych rysach, zawsze elegancko ubrana - jest jedną z najlepszych pracowniczek milicji.

- Masz już skierowanie do firmy „Zofia"? - spytał Szczęsny, chowając fotografię.- Tak. Załatwili wszystko przez Grzeszczyka z Ministerstwa Handlu Wewnętrznego. Jutro idę do pracy.

- Będzie z ciebie śliczna ekspedientka. Wyobrażam sobie, ilu mężów zacznie teraz z żonami przychodzić po suknie.

- Nie zależy mi na tym - szepnęła. - Ty wiesz, że... - umilkła.

Zakłopotany, obracał w palcach pudełko zapałek. - Krystynko! - szepnął z lekkim wyrzutem. - Przecież rozmawialiśmy już na ten temat.

Ale napotkał jej wzrok, pełen tak głębokiego uczucia, że bezwiednie przyciągnął ją do siebie i otoczył silnymi ramionami. Całując jej przymknięte powieki, nieznacznie odwrócił przegub lewej ręki i spojrzał na zegarek. Dochodziła ósma.

- Idź, dziecko - odsunął ją od siebie z przepraszającym uśmiechem. - Kazik jest już z pewnością w domu. Ma dziś wolny wieczór. Nie każ mu na siebie czekać. On miał ostatnio bardzo wiele pracy. I... przecież bardzo cię kocha, Krystynko.

Wyprostowała się, sięgnęła po leżącą na biurku torebkę. Uśmiech jej był tak smutny, że Szczęsny odwrócił się do okna. Po chwili rzekł szorstko:

- Od jutra chcę mieć od ciebie stałe meldunki. Co robi, z kim się spotyka, do kogo chodzi i kto do niej przychodzi. W razie potrzeby dzwoń do mnie nawet w nocy, do domu. Do widzenia.

- Do widzenia, Szczęsny - odpowiedziała już spokojnym, opanowanym głosem. I wyszła.

Biały Kapitan zamknął biurko, oddał klucz od pokoju dyżurnemu milicjantowi, złapał przed gmachem komendy taksówkę i po paru minutach stał przy kasie Teatru Dramatycznego. Przedstawienie dawno już się zaczęło i kasjerka właśnie zamykała boks, gdy Szczęsny uśmiechnął się do niej najmilszym ze swoich uśmiechów.

- Przecież już drugi akt - powiedziała zakłopotana. - Jak ja mogę panu sprzedać... zaraz, tu mam jeszcze - zawróciła do kasy, wyjęła mały bloczek i podała Szczęsnemukarteczkę. - Rezerwowe. Pierwszy rząd - odpowiedziała mu z uśmiechem.

Wszedł na palcach na widownię i zagłębił się bezszelestnie w miękkim fotelu. Na scenie ostatni cesarz rzymski Romulus Wielki - genialnie odtwarzany przez ulubionego aktora Warszawy, Jana Świderskiego - mówił właśnie do córki Rei:

- Więc naucz się pokonywać strach. To jedyna sztuka, którą musimy posiąść w dzisiejszych czasach. Bez strachu przyglądać się biegowi rzeczy, bez strachu czynić, co należy. Całe życie w tym się ćwiczyłem. Ćwicz się i ty...

- Mądry człowiek - szepnął do siebie Biały Kapitan.- Czy to poważna strata dla Centralnego Zarządu? Dyrektor Lewiecki bezradnie wzruszył ramionami.

- Okropność! - powiedział. - Niech pan sobie wyobrazi, kapitanie, to poszukiwanie kopii umów po przedsiębiorstwach, to odtwarzanie planów, o ile w ogóle da się je odtworzyć... A rozliczenia? A projekty typów - ech, szkoda mówić. Będę miał naturalnie odpowiednie „rozmówki" w ministerstwie, bo właściwie niektóre z tych dokumentów powinny być zamykane na noc w kasie pancernej, w moim gabinecie. Poza tym wszystkim, naprawdę boję się o inżyniera Wolskiego. To jest człowiek nieobliczalny. Mówiąc między nami, po nim wszystkiego można się spodziewać.

Wstał z fotela, przeszedł się parę razy po pokoju i dodał ciszej: - A ja go mimo to bardzo lubię. Biały Kapitan wstał również.

- Niech się pan nie martwi - rzekł, patrząc na smutną twarz Lewieckiego. - Myślę, że... - urwał. Przez chwilę coś rozważał, patrząc w okno. Potem podszedł bliżej i położył dyrektorowi serdecznym ruchem rękę na ramieniu. - Znajdziemy inżyniera. Znajdziemy również i innych ludzi... których szukamy.

Wsunął ręce w kieszenie spodni i rozejrzał się po gabinecie. - Widzę, że gustuje pan w malarstwie abstrakcyjnym - uśmiechnął się, oglądając szkice, rozwieszone na ścianach. - Do mnie to nie przemawia. Lubię starą szkołę. Ale do rzeczy: jadę teraz do 17 Wydziału, a potem będę w komendzie. Gdyby zaszło coś nowego, proszę tam zatelefonować. Jeżeli mnie nie będzie, oficer dyżurny przyjmie wiadomość. Do widzenia.

Wyszedł przez sekretariat na korytarz i zbiegł po schodach do czekającego na dole samochodu. - Jedziemy, kolego. 17 Wydział Finansowy, na Świerczewskiego - rzucił do milicyjnego kierowcy. Po czym ostrożnie wyjął z kieszeni spodni czystą chusteczkę, rozłożył ją, wyjął coś i równie ostrożnie przełożył do koperty, którą miał w kieszeni, a kopertę wsunął do portfela.

W 17 Wydziale Finansowym był ruch. Mnóstwo interesantów o zakłopotanym wyglądzie krążyło po korytarzach, zaglądając do różnych drzwi, przytrzymując za rękaw przechodzących spiesznie urzędników i tłumacząc coś, czego tamci nie chcieli i nie mieli czasu słuchać.

Kapitan Szczęsny wszedł do sekretariatu zastępcy kierownika wydziału, starszego inspektora Różyczki. Mały, pulchny z czarnym wąsikiem Różyczka, wciąż nie mógł przyjść do siebie po wiadomości o zabójstwie szefa. Zdawało mu się, że z każdego kąta gmachu wyłania się i na każdym rogu ulicy czyha morderca - zaciekły wróg wszystkich inspektorów i urzędników wszystkich wydziałów finansowych - i naturalnie strzela do swej następnej ofiary, to jest właśnie do niego, Różyczki. Czuł, że jeżeli ten potwór w ludzkiej skórze nie zostanie złapany w ciągu najbliższych dni, to z zastępcy Okołowicza pozostanie tylko smutna, mała mogiłka na Powązkowskim Cmentarzu.

Na Białego Kapitana rzucił się omal nie płacząc, wciągnął go do swego gabinetu i opowiedział mu o tym wszystkim głosem łamiącym się ze strachu.

- No dobrze - rzekł Szczęsny, lekko zniecierpliwiony - ale czy rzeczywiście zauważył pan jakichś ludzi włóczących się za panem? Czy przychodził kto obcy do domu? I w ogóle, niech pan nie histeryzuje.

Różyczka wpierw się obraził, potem pomyślał, że jeżeli milicja go nie obroni, to zginie z rąk zabójców, i znów zaczął jęczeć.

- Mam wrogów! - krzyknął, przyciskając rękę do serca. - My wszyscy mamy tysiące wrogów. O, widzi pan? - otworzył drzwi gabinetu i tragicznym gestem wskazał na tłum interesantów. - To są moi potencjalni wrogowie, bo nie chcą płacić podatków i nienawidzą wszelkiej kontroli finansowej. Wrogowie z założenia, przyszli mordercy inspektorów. To są bandyci! Społeczne zakały!

„Społeczne zakały" przystanęły na korytarzu, przyglądając się z zainteresowaniem małemu Różyczce, po którego twarzy ciekły teraz obfite łzy. Szczęsny siłą wepchnął go z powrotem do pokoju, posadził w fotelu i zadzwonił po sekretarkę.

- Weźcie go do domu i niech parę dni poleży - powiedział do wystraszonej dziewczyny. - Albo wyślijcie go gdzieś do sanatorium, na odpoczynek. W tym stanie nerwów nie może przecież pracować.

- Do sanatorium? Boże drogi, nie ma kierownika, a teraz nie będzie i zastępcy... - szepnęła. - Jak my sobie damy radę?

- Nie ma ludzi niezastąpionych - odparł z uśmiechem.

- A przynajmniej, w urzędach. W miłości jest trochę inaczej. W którym pokoju siedzi inspektor Józef Nowak?

- W 215, na drugim piętrze. Naprzeciw klatki schodowej.

W pokoju nr 215 siedziało trzech urzędników, pijąc herbatę i opowiadając sobie coś z ożywieniem. Na widok Szczęsnego, jeden z nich, który był świadkiem wizyty milicji następnego dnia po morderstwie, podniósł się z krzesła i uprzejmie przywitał oficera, po czym zapoznał go z kolegami.

- Pan kapitan pewnie do Nowaka? Wyszedł na chwilę po papierosy, zaraz wróci. Proszę, niech pan usiądzie. Rozmawialiśmy właśnie o tej okropnej historii z kierownikiem. Nie możemy o niej zapomnieć.

- Tak, to bardzo przykra sprawa - przytwierdził Szczęsny, podsuwając mówiącemu paczkę mazurów. - Czy któryś z panów przeprowadzał kiedyś kontrolę w Centralnym Zarządzie Dostaw Materiałów Rolnych?

- Nie, tylko Nowak. Dlatego od razu pomyślałem, że pan pewnie do niego. Bo tam... - zaciął się i poczerwieniał. Któryś z siedzących spojrzał na niego z wyrzutem.

- Nie wiem zresztą, to tylko takie plotki - bąknął i zamilkł.- Chodzi panom o tego pracownika, który zaginął? - spytał Szczęsny z uśmiechem. - Jak pan widzi, nic się przed nami nie ukryje. Nie przypuszczałem tylko, że ta wiadomość tak szybko dotrze do innych instytucji.

- No cóż, ludzie znają się między sobą - powiedział starszy, siwy inspektor Krygier. - Mieszkam w tej samej kamienicy co inżynier Wolski. Znam go trochę.

- Co to za człowiek? - spytał kapitan bez ogródek.

- Wolski? - Krygier namyślał się chwilę. - Jak by to panu powiedzieć... Niegłupi człowiek, szczery, wybuchowy. Miał okresy, kiedy do niego ani przystąp, a potem można go było do rany przyłożyć. Nerwowy, że strach.

- Od dawna bywał u Okołowicza?

Inspektorzy zamienili między sobą zdumione spojrzenia.

- U kierownika naszego wydziału? - spytał tęgi, czerwonolicy Bolewski. - Tego, który...

- Tak. Właśnie u tego - potwierdził Szczęsny lekko. Przez chwilę panowało milczenie.

- Nigdy nie słyszałem, żeby u siebie bywali - powiedział wreszcie trzeci inspektor, Malinowski. - Chyba nie przypuszcza pan, że...

- To nonsens! - wybuchnął Krygier. - Po cóż miałby go zabijać? Wolski to nie bandyta ani żaden chuligan. Zdemobilizowany major z II Armii, panie, ja też byłem w wojsku, nigdy w świecie nie uwierzę, żeby Wolski... nie, wykluczone.

- Ja przecież nic nie powiedziałem - uśmiechnął się Biały Kapitan. - Dlaczego łączycie panowie zniknięcie inżyniera z zabójstwem waszego kierownika? Skąd te przypuszczenia?

Milczeli. Krygier, zawstydzony wybuchem, gryzł nerwowo wargi. W tej chwili do pokoju wszedł inspektor Nowak. Był młody, przystojny, nosił kraciastą koszulę i niebieskie dżinsy. Jego pełna twarz o miękkich, zmysłowych wargach była jakby trochę zaniepokojona. Spojrzał obojętnie na Szczęsnego i położył na biurku paczkę waweli.

- Józek, pan kapitan do ciebie - powiedział Malinowski. - Z Komendy Miasta.Ręka, którą inspektor Nowak podnosił do ust papierosa, drgnęła. Powoli odwrócił głowę w stronę Szczęsnego. Uśmiechnął się z widocznym wysiłkiem. W oczach miał wyraz lęku.

- Do mnie? - zapytał cicho. - Dlaczego?

- Pan przeprowadza kontrole w Materiałach Rolnych, prawda? - odparł kapitan pytaniem.

- W Centralnym Zarządzie? Tak, ja. - Oczy inspektora uspokoiły się. Zapalił papierosa i usiadł przy biurku. - Czym mogę służyć, kapitanie?

- Rozmową, inspektorze. Ale to trochę potrwa, więc nie chcę panom przeszkadzać. Czy znajdzie się jakiś pusty pokój?

Wyszli na korytarz. Na trzecim piętrze nie było nikogo w pokoju nr 324. Gdy usiedli, Szczęsny przyglądał się chwilę młodej twarzy Nowaka, a potem powiedział:

- Chciałbym, aby zorientował mnie pan pokrótce w rezultatach kontroli w CZDMR. Może za ostatnie dwa lata.

- Tylko za ubiegły rok. Poprzednio przeprowadzał tam kontrole kto inny.

- Dobrze, niech będzie na razie za rok.

Nowak poprawił się na krześle, myślał przez chwilę, a potem zaczął mówić, starannie dobierając słowa. Szczęsny nie był dobrym finansistą i orientował się tylko pobieżnie w pracy takich instytucji, jak centralne zarządy. Niemniej, po paru minutach powiedział sobie, że młody inspektor widać zna się na rzeczy i należy chyba do lepszych pracowników wydziału. Kiedy tamten skończył i zapytał, czy ma przynieść protokoły kontrolne, kapitan potrząsnął przecząco głową i nagle rzucił:

- Jak pan myśli, kto zabił Okołowicza?

Nowak osłupiał i utkwił w oficerze zdumione oczy.

- Skądże ja mogę wiedzieć? - mruknął po chwili. - Może po prostu jakiś bandyta, dla rabunku. To nie moja sprawa - rzucił nagle szorstko. Chciał wstać, ale kapitan powstrzymał go ruchem ręki.

- Z tego, co usłyszałem - zaczął, nie patrząc na inspektora - w Centralnym Zarządzie nie natrafił pan na żadnenadużycia gospodarczofinansowe. Bardzo chwalebny wyjątek w tej powodzi przestępstw gospodarczych, z jaką się ciągle stykamy. Czy kontrolował pan również ostatnie transakcje, które przeprowadzał inżynier Wolski?

Nowak zawahał się na chwilę. Kątem oka Szczęsny widział jego twarz, skupioną i zamyśloną, jakby rozwiązywał krzyżówkę.

- To znaczy, jakie transakcje? - spytał inspektor nerwowo.

Kapitan skrzywił się. Zwlekanie z odpowiedzią zaliczał do bardzo prymitywnych tricków.

- Kupił pan już wreszcie tę simkęaronde, czy zdecydował pan się jednak na fiata 600? - rzucił, podnosząc się z krzesła.

- Nie, czekam na simkę, obiecano... - inspektor urwał. Jego pełne policzki zbladły. Wpatrzył się w oficera oczami pełnymi naprężenia. Szczęsny roześmiał się.

- Czegóż pan tak pobladł, u diabła? Słowo daję, niektórym ludziom nie można zadać najprostszego pytania, żeby zaraz nie wietrzyli w nim jakiegoś podstępu. Dziwi się pan, skąd wiem, że kupuje pan samochód? Przecież spotykaliśmy się na kursie nauki jazdy. No, nie pamięta pan?

- Rzeczywiście... tak, być może... chociaż jakoś - bąkał Nowak, odpinając górny guzik u koszuli.

- Może zresztą pan nie pamięta, bo ja po paru lekcjach przerzuciłem się na kurs milicyjny. Ja mam, widzi pan, takie wyostrzone oko i pamięć... kiedyś mówił pan do wykładowcy, że trafia się panu fiat 600, ale wolałby pan jednak simkęaronde. Teraz mi się to po prostu przypomniało. No, ale mniejsza z tym. Życzę równie pocieszających wyników podczas dalszej pracy w „Cezecie".

- Dziękuję, kapitanie. Tylko że ja już od tygodnia tam nie jestem. Zostałem przesunięty do Zakładów Garbarskich nr 2. Na moje miejsce wyznaczono inspektora Bieleckiego. Pokój 223.

- Tak? - zdziwił się Szczęsny, stojąc już z ręką na klamce. - Co, sprzykrzyło się panu?

Nowak wzruszył ramionami.- W gruncie rzeczy, wszystkie kontrole są do siebie podobne. Kierownik Okołowicz mnie dosyć cenił... no, a w Centralnym Zarządzie właściwie nie było nic do roboty. Dostałem więc trudniejszą, bardziej odpowiedzialną robotę.

- To jeszcze on pana przesunął do Zakładów Garbarskich?

- Tak. Na dwa czy trzy dni przed śmiercią.

Pożegnali się i Nowak odszedł. Szczęsny zbiegł ze schodów na niższe piętro, odszukał drzwi oznaczone numerem 223 i zapukał, a gdy nikt nie odpowiedział, nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte. Przechodzący korytarzem urzędnik poinformował kapitana, że inspektora Bieleckiego zastanie najprędzej w Centralnym Zarządzie Dostaw Materiałów Rolnych, gdzie od paru dni przeprowadza kontrolę.

Nowakowska podniosła się z fotela i mrucząc coś z niezadowoleniem, wyszła do przedpokoju.

- Znowu kogoś diabli niosą - bąknął jej mąż, rozparty na kanapie, z książką w ręku. - Najlepiej nie otwieraj.

- Światło widać w oknie - odparła - może to ktoś z sąsiadów.

Otworzyła drzwi. W pierwszej chwili nie poznała drobnego, wesołego porucznika z Komendy Miasta MO, który już raz ich odwiedził, na drugi dzień po zabójstwie Okołowicza. Więc Kręglewski wymienił swoje nazwisko i przypomniał wizytę. Potem przeprosił za powtórne „najście", jak się wyraził, rzucił Nowakowskiej mimochodem jakiś komplement i doprowadził do tego, że uśmiechając się, wprowadziła go do pokoju. Nowakowski niechętnie odłożył książkę, ale wstał i przywitał oficera względnie uprzejmie.

- Nie zabiorę państwu wiele czasu - rzekł porucznik, zajmując wskazane mu krzesło. - Chciałbym tylko zapytać, o której godzinie wyszedł stąd po brydżu znajomy państwa, Tadeusz Zabielski, w poniedziałek, ściślej - w nocy z poniedziałku na wtorek.

Nowakowski, mężczyzna około pięćdziesiątki, o włosach ciemnych, lekko posiwiałych i oczach człowieka,którego nic już w życiu nie zadziwi, westchnął niecierpliwie.

- Mówiliśmy panu wtedy, że kwadrans, no, może dwadzieścia po pierwszej - powiedział niedbale. - Zresztą, czy to ma jakieś znaczenie? Nie posądza pan go chyba o zastrzelenie tego Okołowicza? To po prostu śmieszne - wzruszył ramionami. - Tadeusz i zbrodnia.

- Dlaczego pan mówi, że Okołowicz został zastrzelony?

- spytał porucznik, bawiąc się frędzlami serwety na stole.

- Przecież jego zasztyletowano.

Nowakowska spojrzała na niego ze zdumieniem. Ton głosu oficera był jednak tak poważny, że trudno było go posądzić o jakiś niemądry żart.

- Zasztyletowano? - powtórzyła. - A Tadeusz mówił, że go zabito z rewolweru.

- Z pistoletu - poprawił ją mąż.

- Co za różnica... - mruknęła - pistolet czy rewolwer. Żachnął się niecierpliwie.

- Zasadnicza - odparł z naciskiem. - Ale ty się nigdy nie nauczysz. Mniejsza z tym. Czy ma pan jeszcze jakieś pytania, poruczniku?

- Tak - odparł Kręglewski. - Mam jedno jedyne pytanie, które zresztą już postawiłem.

- A na które myśmy dwukrotnie odpowiedzieli...

-... nieprawdę - wtrącił szybko porucznik. Nowakowski siedział przez chwilę nieruchomo, ze zmarszczonymi brwiami. Nagle wstał, wyszedł do przedpokoju i zawołał w stronę kuchni: - Marysiu! Proszę tutaj przyjść.

Nie czekając na pojawienie się gosposi, wrócił do pokoju i siadając powiedział do Kręglewskiego z ironicznym uśmiechem: - Jak pan mógł zauważyć, nie próbowałem nawet porozumieć się z naszą pomocnicą domową, aby nauczyć ją, co ma mówić...

- O ile ktoś z państwa nie zrobił już tego przedtem - odparł oficer.

Nowakowska spojrzała na niego z oburzeniem i chciała coś powiedzieć, ale Marysia stanęła właśnie na progupokoju, więc ostentacyjnie odwróciła od niej oczy. Kręglewski przyjrzał się niedawno poznanej „dziewuszce". Stała przed nim blada, wyraźnie zakłopotana, patrząc gdzieś w bok.

- No, proszę, niech pan ją pyta - Nowakowski wymownym gestem pokazał na dziewczynę. - Ja wolę milczeć.

Porucznik wstał, przeszedł się parę razy po pokoju, potem zatrzymał na wprost stojącej i starając się napotkać jej wzrok, powiedział: - Proszę pani, o której godzinie Tadeusz Zabielski wyszedł stąd w poniedziałek po brydżu, to my i tak wiemy. Chciałbym jednak usłyszeć od pani prawdę. Kłamstwo naprawdę się nie opłaca i ma krótkie nogi. A więc powtarzam znany mi fakt, ale w formie pytania: o której godzinie pan Zabielski wyszedł z tego domu, po brydżu?

- O pierwszej w nocy - odparła cicho. - Albo trochę później.

Milczał chwilę, patrząc na nią badawczo. Potem zwrócił się do Nowakowskiej z ostrym wyrzutem w głosie: - Jak państwo mogą tak się obchodzić z tą młodą dziewczyną. To naprawdę skandal. Będę musiał interweniować u inspektora pracy. Zupełnie niedopuszczalne, żeby kobieta po całodziennej robocie nie mogła nawet w nocy odpocząć. Złożę w tej sprawie doniesienie do rady narodowej i do Ministerstwa Pracy.

W miarę, jak mówił, oczy Nowakowskiej stawały się coraz okrąglejsze ze zdziwienia i przerażenia. Marysia mrugała szybko powiekami, nie wiedząc, o co chodzi i patrząc to na swoją „panią", to na Kręglewskiego. A ten nie dawał im chwili do namysłu.

- Czy pani jest ubezpieczona? - zwrócił się do dziewczyny i nie czekając na odpowiedź, mówił dalej ze wzrastającym oburzeniem: - Wprowadzacie tu jakieś przedwojenne stosunki, odnosicie się do niej jak do wołu roboczego! O, dobrze, że ja się o tym dowiedziałem. Inaczej dziewczyna cierpiałaby jeszcze długo...

- Ależ - usiłowała wtrącić Nowakowska - ależ, panie, ona jest...- Pan pracuje w spółdzielni „Kosmos"? - to odnosiło się do Nowakowskiego, który również słuchał ze zdumieniem. - Znamy trochę stosuneczki, jakie u was panują. Zajmiemy się i tym.

- O co chodzi, u diabła ciężkiego?! - wybuchnął Nowakowski, wstając z krzesła. - Kto ją krzywdzi, jaki wyzysk?

- Tak, wyzysk - krzyczał niemal Kręglewski - żeby dziewczynie nie dać zasnąć, żeby sterczała nocami w przedpokoju, podczas gdy wy sobie gracie w karty, chlejecie wódę...

- Kto sterczy w przedpokoju?! - krzyknęła również Nowakowska. - Marysia nigdy nie pracuje po godzinie dziesiątej! Jak pozmywa po kolacji, idzie spać do swego oddzielnego pokoju za kuchnią, o północy chrapie od dwóch godzin, a my wcale nie chlejemy wódy, jak to pan pięknie określił, tylko... co? Co chcesz? - umilkła nagle. Mąż patrząc na nią uśmiechnął się drwiąco, i pokiwał głową.

- Ach ty głupku... - rzekł ze spokojnym wyrzutem. - No i dałaś się nabrać. Przecież temu panu o nic więcej nie chodziło, tylko o to, czy Marysia poszła spać przed jedenastą, czy też siedziała do końca brydża. Bo jeżeli po dziesiątej idzie zwykle do swego pokoju, to skąd mogła wiedzieć, o której Tadeusz wyszedł... prawda, poruczniku?

- Prawda - odrzekł równie spokojnie Kręglewski. - Tylko że panna Marysia sama mi powiedziała dwa dni temu, o której Zabielski wyszedł. Przypadkowo jeszcze nie spała, lecz siedziała w kuchni. Co prawda, nie było tak późno - jedenasta godzina. Zaraz potem poszła do siebie i wkrótce zasnęła. Była więc świadkiem wyjścia waszego znajomego o jedenastej, natomiast o tym, że Zabielski wyszedł o pierwszej, dowiedziała się od pana wczoraj. Względnie dzisiaj, to zresztą nie ma znaczenia. Powiedział jej pan: gdyby milicja pytała, o której wyszedł pan Zabielski, proszę powiedzieć, że po pierwszej w nocy. Tak, panno Marysiu? - zwrócił się nagle do dziewczyny.

- Tak - odparła cicho. - Ale skąd pan wie?Zignorował pytanie. Czekał teraz na to, co według jego koncepcji powinien był powiedzieć Nowakowski, i doczekał się.

- Tadeusz wychodził rzeczywiście o jedenastej. Pamiętasz, prawda? - rzucił w stronę żony, nie patrząc na nią. Przytwierdziła skinieniem głowy. - Miał się spotkać na dworcu z jednym ze swoich znajomych, który przyjeżdżał nocnym pociągiem. Zależało mu na tym, aby odebrać... aby, jednym słowem, załatwić jakąś sprawę jeszcze w poniedziałek. Potem jednak

wrócił tutaj i graliśmy jeszcze do kwadrans po pierwszej. O tym Marysia nie mogła wiedzieć, bo już spała. Dlatego powiedziałem jej, o której Zabielski wyszedł po brydżu. Po brydżu, poruczniku, a nie w trakcie gry. Ja jestem ścisły w sformułowaniach. Zwłaszcza, gdy pyta milicja.

Biały Kapitan skręcił w lewo i przystanął niedaleko kiosku z gazetami zapalając papierosa. Było ciemno, choć nie minęła jeszcze dziewiąta wieczór. Wiatr pospędzał w ciągu dnia gęste, szare chmury i w powietrzu wisiał deszcz.

- Pan pozwoli ognia - powiedział do Szczęsnego jakiś młodzieniec o długich włosach i w ciemnych okularach mimo zmroku.

- Proszę bardzo - odparł kapitan. Przybliżył zapaloną zapałkę do twarzy tamtego. Młodzieniec mruknął przez zęby: - Nic. Nie wrócił. Listu też nie było.

- Do Owczarskich ktoś przychodził?

- Baba z cielęciną. Teraz oboje w domu. Kiedy przyjdzie zmiana, kapitanie?

- O dziesiątej. Panie, odczep się pan - podniósł nagle głos, bo z bramy wyszedł jakiś mężczyzna. - Ja na wódę nie chodzę z obcymi.

- Ech ty frajerze ciężko kopany, mam cię w dupie, rozumiesz? - rzucił młodzieniec. Wzruszywszy ramionami, splunął i powlókł się na drugą stronę ulicy.

Kapitan wskoczył do przejeżdżającego tramwaju, pokazał konduktorowi bilet miesięczny i wsunął się w sam koniec platformy. Postawił kołnierz marynarki, bo od rozwartych drzwi tramwaju wiało przeddeszczowym chłodem. Był zmęczony. Musiał jednak wstąpić jeszcze do komendy. Mogły nadejść jakieś meldunki z województw.

Dyżurny wydziału wyjaśnił, że meldunków nie było, ale przed chwilą zgłosił się nocny woźny z Centralnego Zarządu Dostaw Materiałów Rolnych.

- Teraz? - zdziwił się Szczęsny, spojrzawszy na zegarek. - Czego chce?

- Nie chciał powiedzieć. Mówi, że tylko temu z nas powie, kto był dziś w Zarządzie. Wiem, że to wyście byli, kapitanie, więc kazałem mu zaczekać. Siedzi na górze u porucznika Metelskiego.

Szczęsny wszedł do pokoju porucznika i spojrzał z zaciekawieniem na siwego, zgarbionego staruszka siedzącego nieruchomo na krześle pod oknem. Metelski wstał i bezradnie rozłożył ręce, na znak, że nie udało mu się uzyskać żadnych wyjaśnień tej późnej wizyty.

- Słucham. Przyszedł pan z jakąś wiadomością, tak? - spytał kapitan siadając na miejscu Metelskiego, który wysunął się z pokoju. Stary człowiek utkwił wzrok w mówiącym i wtedy oficer zauważył, że jedno oko ma zasnute bielmem.

- Przyszedłem do tego pana, który dzisiaj był u nas w biurze - powiedział woźny. - Dziękuję, nie palę. To pan?

- Ja.

- Na pewno?

Szczęsny pohamował zniecierpliwienie. Wiadomość mogła być zupełnie błaha, ale mogła też stanowić klucz do zagadki zniknięcia Wolskiego.

- Na pewno - odparł. Postanowił na razie odpowiadać tylko na pytania. Taktyka tego rodzaju dobrze czasem działała w odniesieniu do starych ludzi.

- Ja się nazywam Wincenty Sarski. Jestem nocnym woźnym, czy jak pan woli - dozorcą, w Centralnym Zarządzie. Dzisiaj zgadało się z... tam, z innymi woźnymi, że pan inżynier Wolski z organizacyjnego nie przyszedł do pracy, tylko wyjechał, a podobnież nawet zaginął. Czy to prawda?- Prawda.

- Podobnież zginęły także jakieś ważne papiery, które on miał w biurku. Więc pomyślałem sobie, że może trzeba panu powiedzieć to, co ja wiem. Dlatego przyszedłem.

- Czemu tak późno? - wyrwało się Szczęsnemu, który mimo woli spojrzał na zegarek.

- Późno? - zdziwił się Sarski. - Dlaczego?

Biały Kapitan pomyślał, że dla tego człowieka czas pracy zaczynał się wieczorem - a „późno", to było o trzeciej czy piątej rano. Ale Sarski inaczej zrozumiał pytanie.

- Chyba nie późno - odparł. - Bo to było we wtorek, a dzisiaj mamy dopiero czwartek. Zresztą ja się dziś dowiedziałem o tym wszystkim. - Przerwał i zamyślił się. Potem powiedział: - A chodzi o to, że pan Wolski jeszcze przez cały wtorek był w Warszawie. Bo ja go widziałem. Zaś w biurze mówią, że już o szóstej rano wyjechał, nie wiadomo dokąd.

- Gdzie pan go widział?

- W biurze. Przyszedł, wziął swój klucz i poszedł na górę. Był tam może z kwadrans, potem wrócił, powiesił klucz na tablicy i... no, i to wszystko. Może wtedy zabrał papiery?

- O której godzinie to było?

- Na krótko przed północą. Zapamiętałem, bo w parę minut później biła dwunasta na kościele.

- Czy rozmawiał z panem?

- Trochę. Zapytałem go, co mu się stało, bo miał głowę i kawałek policzka obandażowany. Powiedział, że upadł i się trochę potłukł. Nic więcej nie mówiliśmy. Bardzo się śpieszył.

Milczeli chwilę, kapitan w zamyśleniu obracał w ręku niezapalonego papierosa. Nagle zapytał:

- Jakiego koloru włosy miał inżynier Wolski?

- Włosy? - stery zastanawiał się parę sekund. - Nie bardzo jasne, ale i nie czarne.

- Takie, jak ja?

- Gdzież tam! - uśmiechnął się Sarski. - Pan, za przeproszeniem, jasny jak pszenica. O, takie jak ten porucznik, co siedział tu przed chwilą. W paszporcie miał napisane: ciemno blond.

- A skąd pan wie, co miał napisane w paszporcie?

- No... tego. Skąd wiem? Nosiłem raz jego paszport do biura paszportowego, to widziałem.

- Co pan robił w nocy z poniedziałku na wtorek? Gdzie pan był? No? Szybciej...

Sarski zamrugał nerwowo powiekami.

- Byłem w domu. Zwolniłem się z dyżuru, bo mnie zęby bolały. Zastępował mnie dzienny woźny. Pietraszek.

- Gdzie pan mieszka?

- Na Grochowskiej, pod siedemdziesiątym trzecim.

- W takim razie co pan robił w nocy na Mokotowie? Stary dozorca głośno przełknął ślinę. Ręce jego zaczęły drżeć. Milczał. Szczęsny wstał, uśmiechnął się i poklepał go po ramieniu.

- W porządku, panie Sarski. Przecież pana o nic nie posądzam, czegóż pan się nagle zląkł. Zwyczajnie zapytałem, co pan robił na Mokotowie, bo pana tam widziano owej nocy... - zawiesił głos. - A jak pan wie, w tę noc na Mokotowie popełniono morderstwo. Dlatego lepiej byłoby jednak powiedzieć i przekonać mnie, że nie miał pan z tym nic wspólnego.

- To ja już powiem - odezwał się woźny, trzęsącym się głosem. - Wolę to, niż żeby pan mnie o morderstwo... Jezusie, taką rzecz! Ja tam byłem u jednego, co chciał papierek na kafle do pieca. Takie kafle trudno dostać, a zdun bardzo drogo liczy. My to mamy w magazynach, na Mokotowie. Niedaleko od domu, gdzie ten mój znajomy mieszka. No to ja... ja mu przyniosłem papierek i... - zaciął się.

- Poszliście do magazynów? - podpowiedział Szczęsny omal ze znudzeniem. Podobne sprawy były na porządku dziennym. - Wartownik to też dobry znajomy, prawda?

- Prawda. Panie, to tylko trochę kafelków! Na jeden piec.

- Więc na co był potrzebny „papierek", jeżeli po prostu ukradliście kafle z magazynu?- A jakże, panie, bez papierka? - oburzył się stary. - Magazynierowi musi się zgadzać, nie? Miałby potem nieprzyjemności.

- Skąd pan wziął ten przekaz do magazynu?

- Panie złoty - złożył ręce, jak do modlitwy - skusiło mnie. Toż leży tego pełno wszędzie, prawie w każdym pokoju. I pieczątki na wierzchu, tylko bierz i stempluj. Człowiek nie kamień, panie! W nocy chodzę czasem po pokojach.

Umilkł i patrzał na Szczęsnego błagalnie. Ten odwrócił się, podszedł do okna i przez kilka minut obserwował szary prostokąt podwórza, na którym stały milicyjne samochody. W końcu usiadł za biurkiem i patrząc Sarskiemu prosto w oczy, powiedział:

- Przyniósł mi pan, z własnej woli, ważną dla śledztwa wiadomość o zaginionym. Dlatego ja zapomnę o tych... kafelkach. Diabli wiedzą, czy robię słusznie, ale to już moja sprawa. Proszę jednak pamiętać, że widzieliśmy pana na Mokotowie i niewiele brakowało, abyśmy dowiedzieli się o tej kradzieży od kogo innego. Następnym razem nie ujdzie to panu na sucho.

- Ja już nigdy...! - Sarski ciężko podniósł się z krzesła. - Dziękuję z całego serca. Aż mi jakoś lżej teraz, jak po spowiedzi. Dziękuję.

Cicho wyszedł na korytarz. Kapitan polecił dyżurnemu odprowadzić go do wyjścia i wrócił do siebie. Z sąsiedniego pokoju wyszedł Metelski. Uśmiechnęli się do siebie, porucznik pokręcił głową.

- Stary złodziej! - mruknął. - Kto go widział na Mokotowie?

- Nikt - odparł Szczęsny ze znużeniem. - Ile razy zajrzysz na takie podwórko, tyle razy wleziesz w jakieś gówno... A swoją drogą, tego ich dyrektora administracyjnego zamknąłbym z rozkoszą na parę lat. Za niechlujstwo, bałagan, ordynarne lekceważenie przepisów itede. Słyszeliście: pieczątki na biurkach, przekazy magazynowe „wszędzie", pewnie szafy pootwierane, a dozorca śpi. Poruczniku, zróbcie tam dziś jeszcze nalot w nocy. Przetrzepiemy trochę Lewieckiemu skórę. Niech się pomartwi. Albo wiecie co? - ożywił się. - Wstąpcie do niego i zabierzcie go ze sobą. Niech się na własne oczy przekona, jak wygląda biuro po jego wyjściu.

- Nic dziwnego, że z pokoju Wolskiego zginęły dokumenty.

Szczęsny potrząsnął głową w zamyśleniu.

- Nie, to nie to. Tu jest jakaś inna historia, której jeszcze nie mogę rozgryźć. Żadnej wiadomości z terenu?

- Nie, nic. Idźcie spać, kapitanie. Późno już.

Drzwi otworzyły się i do gabinetu wszedł jeden ze starszych podoficerów, sierżant Witecki. Służył w milicji od 1945 roku i cieszył się ogólną sympatią zarówno wśród młodszych kolegów, jak i przełożonych. Chętnie podejmował się najniewdzięczniejszych

dyżurów, chętnie zastępował chorego kolegę, miał przy tym pogodne usposobienie i... często udzielał pożyczek.

- Kapitanie - powiedział, bez pytania biorąc z biurka papierosa. - Znacie tego starego, co tu był przed chwilą?

- Znam go od godziny. A wy?

- Ja trochę dłużej. Ten gość w czterdziestym siódmym siedział za morderstwo.

- Sarski? Co to było?

- Zadźgał faceta wojskowym bagnetem, który znalazł gdzieś w ruinach. Porachunki osobiste. Proces był wybitnie poszlakowy, więc dostał tylko dziesięć lat, potem przyszła jedna, druga amnestia i wyszedł. Nie wiem, co robił, ale nam już w ręce nie właził. Gdzie on teraz pracuje?

- W Centralnym Zarządzie Dostaw Materiałów Rolnych, jako nocny woźny. Ostatnio zwędził im kafle piecowe.

- Dobrze pilnuje! - roześmiał się Witecki. - Wiecie co, kapitanie? Ja bym nie miał do niego zaufania.

Szczęsny zaczął krążyć po gabinecie.

- Trzeba to sprawdzić - mruknął w pewnej chwili do siebie. - Poruczniku, na Mokotowie są magazyny cezetowskie. Chciałbym dowiedzieć się, czy we wtorek magazynier znalazł kwit, który wydał mu się trochę podejrzany, względnie kwit, którego odbioru sobie nie przypomina. Magazyniermoże zresztą też być w tę aferę wmieszany. Z 17 Wydziału Finansowego kontroluje teraz Centralny Zarząd inspektor Bielecki. On tam podobno ciągle przesiaduje. Porozumcie się z nim, niech przejrzy kwity z tego tygodnia. Zwłaszcza na kafle piecowe. A z Sarskim... - zamyślił się. Wzruszył ramionami. - Brak mi motywu. Chyba że znali się z Okołowiczem i w jakiś sposób byli ze sobą powiązani.

- Okołowicz to był wyjątkowo porządny człowiek - rzekł Witecki. - Ale ostry. Nikomu nie dał się nabrać. I sprawiedliwy.

- Obawiam się jednak - odparł Szczęsny - że w ostatnim roku czy miesiącach dosyć mocno go nabrano. Miał do kogoś zbyt wiele zaufania. Cała sprawa zresztą jest bardzo niejasna. Jeszcze jedno, poruczniku. Dowiedzcie się jutro, czy w poniedziałek w nocy któraś dyżurna apteka udzielała pomocy mężczyźnie podobnemu z rysopisu do Wolskiego. Potłuczenie głowy, twarzy, może kolana. Obandażowali mu głowę albo sprzedali bandaż. Apteki, Pogotowie i dyżurne szpitale. Macie jego zdjęcie?

Metelski potrząsnął głową. Szczęsny wyjął z biurka fotografię inżyniera i wręczył porucznikowi. Witecki zerknął przez ramię.

- Ja gdzieś widziałem tę gębę - mruknął. - Tylko gdzie? Cholera, może sobie przypomnę. Pracował w tym samym „Cezecie" co Sarski, tak? Ale ja go pamiętam skądinąd. Zaraz... czy on nie służył w wojsku?

- Tak. W II Armii.

Twarz Witeckiego rozjaśniła się.

- No, naturalnie. Widziałem go w mundurze. I to wyższego oficera. Majora albo podpułkownika. Pełno baretek na piersi. Ciemny blondyn, wysoki. I to ma być morderca Okołowicza?

W tonie sierżanta było tyle wzgardliwej ironii i zdziwienia, połączonego z oburzeniem, że Szczęsny spojrzał na niego z sympatią.

- Kapitanie - zapytał nagle Metelski. - Czy zastępca Okołowicza ma alibi na tamtą noc?- Różyczka? To histeryk. Był podobno w domu. Trzeba będzie sprawdzić. Ale w takim razie trzeba by również ustalić, co robili wszyscy pracownicy 17 Wydziału Finansowego i wszyscy pracownicy Zarządu. Podejmujecie się to zrobić? Przecież nie możemy iść na ślepo. Trzeba przede wszystkim znaleźć Wolskiego. Jego odciski palców były w mieszkaniu denata, on uciekł w niewiadomym kierunku, bez słowa wyjaśnienia, a w dodatku zabierając ze sobą ważne dokumenty. Trudno, mój drogi - zwrócił się do sierżanta. - Zdarza się w życiu, że i były major staje się mordercą. Zwłaszcza, jeżeli jest człowiekiem niezupełnie zdrowym psychicznie. Mógł go zabić w ataku jakiegoś szału, a potem ochłonął, przeraził się swego czynu i uciekł, pogarszając całą sprawę.

- A dokumenty?

- Przy tym bałaganie, jaki mają w Centralnym Zarządzie, dokumenty mogły po prostu gdzieś się zawieruszyć. Może Wolski oddał je poprzedniego dnia któremuś z urzędników, ten zgubił i teraz, boi się przyznać. Wolski mógł je też zabrać przez pomyłkę, razem z teczką, którą włożył do walizki.

Metelski skrzywił się sceptycznie. Schował do portfela fotografię inżyniera i wyciągnął do Szczęsnego rękę na pożegnanie. - Wezmę dwóch ludzi i pojedziemy do Centralnego Zarządu.

- Wolski nie zabił - powiedział nagle sierżant stanowczym tonem. - Zobaczycie, kapitanie, że ja mam rację!

Odwrócił się na pięcie i wyszedł.Parę minut po jedenastej nie było jeszcze w sklepie żadnego ruchu. Zabielski przejrzał przygotowane na ten dzień zegarki do naprawy, zwrócił uwagę swemu pomocnikowi Kubickiemu, że w doxie doktora z sąsiedniej ulicy jest pęknięte

szkiełko, po czym zabrał się do rachunków. Dwóm znajomym zreperował zegarki na kredyt i teraz tego żałował. Nie płacili od trzech miesięcy. - Łobuzy... - mruknął.

- Kto? - spytał od niechcenia garbaty Kubicki. Był świetnym fachowcem, a prócz tego nieźle znosił częste humory swego szefa. Zbyt częste w ostatnim tygodniu - jak w duchu uważał.

- Borkiewicz i Malinowski winni są za naprawy od marca. Dwieście czterdzieści złotych wisi mi w kasie. Nie lubię tego.

- Pan Borkiewicz był wczoraj. Powiedział, że w tych dniach zapłaci. Miał jakieś wydatki ekstra.

- Oni wszyscy mają ekstra wydatki, a długów nie płacą. Łobuzy - powtórzył Zabielski i spojrzał na drzwi. Niewysoki, szczupły mężczyzna w brązowym ubraniu wszedł do sklepu. Zabielski przyjrzał mu się i nagle wstał, odkładając przeglądane papiery. Twarz jego z lekka pobladła.

- Poznaje mnie pan, prawda? - spytał porucznik Kręglerwski, raczej dla formalności. Przeprowadzał już z właścicielem sklepu jedną rozmowę i przypuszczał, że tamten go pamięta.

- Tak - odparł Zabielski.

- Chciałbym chwilę porozmawiać. Ale nie tu. Może wyjdziemy obok, do kawiarni? O tej porze na pewno będzie miejsce.Zabielski pomyślał, że rozmowa w kawiarni w gruncie rzeczy nie jest niczym strasznym. Nawet z oficerem milicji. W końcu, jest to teren „neutralny".

- Dobrze - odparł. Zgarnął rachunki do szafy, zamknął ją na klucz i wyszli. Gdy zajęli boczny stolik i przyniesiono im już zamówioną kawę, porucznik patrzał przez chwilę bystro Zabielskiemu w oczy i nagle zapytał:

- Jak się nazywa ten znajomy, z którym widział się pan na dworcu, w poniedziałek wieczorem? Pytam nie z prostej ciekawości, ale dlatego, że pan nas okłamał.

- Nie rozumiem - odparł Zabielski. Zaczął wolno pić kawę, sącząc łyk za łykiem.

- A w domu pije pan słodką - stwierdził raczej, niż zapytał, mały porucznik. Zabielski zmieszał się lekko i wsypał cukier do filiżanki, już prawie pustej.

- Zdawało mi się, że słodziłem - mruknął obojętnie.

- Proszę o odpowiedź na moje pytanie. Niechże pan zrozumie, że to jest naprawdę bardzo ważne. Dla nas, ale i dla pana.

- Nie rozumiem - powtórzył właściciel sklepu. - I nie widzę związku pomiędzy śledztwem, które milicja prowadzi, a moim znajomym. Nie chcę go mieszać w te sprawy.

Kręglewski poprawił się na krześle i machinalnie zamieszał cukier.

- Widzi pan - powiedział prawie ze smutkiem - cała rzecz w tym, że trudno mi jakoś uwierzyć w istnienie pańskiego znajomego. Bo przypuśćmy - nie, ja pana broń Boże nie posądzam! Ale przypuśćmy, że o godzinie jedenastej wieczorem poszedł pan w ten poniedziałek nie na dworzec, ale do willi, w której pan mieszka. No i w której mieszkał również Okołowicz. O ile wiem, nie cieszył się on pańską sympatią... - Kręglewski zawiesił głos. - Porachunki osobiste kończą się czasami dość tragicznie dla jednej ze stron, a dla drugiej - prawie zawsze na ławie oskarżonych. No, a kwestia oddania strzału z pistoletu, wyrzucenia go gdzieś w zakamarki uliczne i powrotu do nieukończonej partii brydża - to przecież w rezultacie nic tak trudnego. Jak pan uważa?- Ja nie zabiłem Okołowicza - powiedział Zabielski, obracając w palcach wypaloną zapałkę. - To potworne, co pan mówi. Ja nawet nie umiem strzelać. Wyszedłem na dworzec w zupełnie osobistej sprawie, porozmawiałem chwilę ze znajomym, który właśnie przyjechał do...

- Dlaczego nie zrobił pan tego na drugi dzień rano? - przerwał mu Kręglewski.

- Bo się śpieszyłem. Właściwie, on się śpieszył. Ja...

- Jednym słowem, śpieszyliście się obaj. Cóż, zdarza się. A on został w Warszawie?

- Przez kilka godzin. Wcześnie rano miał wyjechać dalej. Dlatego właśnie poszedłem na dworzec.

- Jak się nazywa ten znajomy? U kogo zatrzymał się na noc? Dokąd pojechał we wtorek rano?

Zabielski milczał parę minut. Na twarz wystąpiły mu silne wypieki. Nagle wyjął z kieszeni portfel, rzucił na stół należność za kawę i wstał.

- Gówno was to obchodzi! - rzucił grubiańsko i wyszedł.

Biały Kapitan był już na schodach, gdy nagle zawrócił do swego gabinetu i ujął słuchawkę telefoniczną.

- Połączcie mnie z biurem paszportowym... Mówi kapitan Szczęsny, z towarzyszem Kowalskim proszę... Przy telefonie? No i co, nie znaleźliście? To znaczy, że wcale nie starał się o paszport?... Nie, naturalnie, że nie ten, mnie chodzi o inżyniera Zbigniewa Wolskiego z Centralnego... Właśnie. Więc nie?... A do przedłużenia? Rozumiecie, mnie chodzi o to, że podobno woźny z tego Zarządu zanosił do was jego paszport... Nie wiem kiedy, już wam mówiłem... Więc w każdym razie, w ciągu ostatnich dwóch lat - nie. Dziękuję, do widzenia.

Rzucił słuchawkę na widełki. Sarski skłamał. Ale dlaczego? Przetarł czoło, mokre od potu. Dzień był upalny, duszny, miało się na burzę. Zdjął marynarkę, porzucając chwilowo zamiar wyjścia do Centralnego Zarządu. Zajrzał do drugiego pokoju. Kręglewskiego nie było.

Porucznik Metelski, również rozebrany do koszuli, męczył się nadjakimś protokołem. Szczęsny przysiadł swoim zwyczajem na brzegu jednego z biurek i mrużąc oczy, wpatrywał się w czubek sportowego sandała.

- Stary zełgał? - mruknął pytająco Metelski.

- Mhm. Albo to było bardzo dawno. Diabli wiedzą, po co on właściwie do nas przylazł. Nie mam zaufania do takich informatorów.

Zadzwonił telefon. Metelski odebrał meldunek od jednego z wywiadowców, że w nocy z poniedziałku na wtorek żadna apteka nie opatrywała mężczyzny o podobnym wyglądzie co Wolski. Krótko po tym zgłosił się inny wywiadowca, który przyniósł taką samą wiadomość ze szpitali i Pogotowia Ratunkowego.

- W takim razie opatrzył się sam, w domu - stwierdził Szczęsny. - Ale coś mi się tu nie zgadza. Przecież na dworcu był bez bandaża. Więc wyjeżdża z pokiereszowaną twarzą, którą dopiero po zaschnięciu rany obwiązuje? Na drugi dzień? Wyjeżdża wcześnie rano, z zamiarem, jak można się domyślić, ukrycia się po dokonaniu przestępstwa - rozumował głośno, krążąc po pokoju. - Nagle wieczorem wraca, aby zabrać ze swego biurka w Zarządzie jakieś ważne dokumenty... Czemu ich nie zabrał po prostu wychodząc w poniedziałek z biura? Normalnie, w teczce? Z tego, co mówił mi Lewiecki, i z bałaganu, jaki u nich panuje, można śmiało sądzić, że nie było to nic trudnego. I że nawet by się specjalnie nikt nie zdziwił, gdyby na przykład Wolski wziął te papierzyska do domu, aby nad nimi popracować.

- Może... - zaczął Metelski, ale Szczęsny machnął ręką.

- Zaraz, poczekajcie... Więc jeżeli nie zabrał po południu, widocznie potrzeba zabrania ich - zaakcentował słowa - rozumiecie, poruczniku, potrzeba zabrania tych dokumentów wyszła na jaw dopiero po rozmowie z Okołowiczem. Po kłótni. Albo - po zabójstwie, bo to mogą być trzy oddzielne elementy. Jeżeli Wolski, korzystając ze złej organizacji w „Cezecie", zrobił tam jakieś nadużycia i w ten poniedziałkowy wieczór dowiedział się, że Okołowicz w jakiś sposób ma go już na oku... co? Jak myślicie?Metelski nie zdążył odpowiedzieć, bo do pokoju wpadł zziajany Kręglewski. Miał wygląd człowieka smażonego przez parę godzin na piekielnym ogniu, jak zauważył Biały Kapitan.

- Piekielne słońce! - odparł mały porucznik, zdzierając z mokrych pleców marynarkę. - Piekielny dzień. Chciałbym porcji lodów i na biegun. Po cholerę ja wstąpiłem do milicji? Piekielne gorąco!

- Co ci powiedział Zabielski? - spytał Szczęsny.

- Gówno. Ja się nie wyrażam brzydko, to on tak. Inaczej mówiąc: milicję to nic nie obchodzi, z kim był na dworcu, jak się tamten nazywa i dokąd pojechał następnego dnia rano.

Czyja to kawa? - spytał dla przyzwoitości i nie czekając na odpowiedź wychylił jednym haustem pół kubka zimnej, mocnej cieczy.

- Więc wynika z tego - Szczęsny powrócił do swoich myśli - że mógł to być motyw zabójstwa.

- Jaki? - spytał Kręglewski, sięgając po papierosa.

- Że Wolski zabił, bo kierownik wydziału wykrył jakieś jego machlojki w biurze - wyjaśnił Metelski, nalewając sobie nową porcję kawy.

- Wrócił do domu, rano upozorował wyjazd. W rzeczywistości zaszył się gdzieś w Warszawie, aby wieczorem zabrać papiery, może nie tylko ważne dla Zarządu, ale i kompromitujące dla niego. A potem naprawdę wyjechał.

- Uciekając, ściągnął na siebie wszystkie podejrzenia - powiedział w zamyśleniu Kręglewski. - A gdyby został i na drugi dzień spokojnie poszedł do biura? Któż by go posądził o zbrodnię?

- Nie zapominaj, że Danuta Kretz, ta ekspedientka, widziała przez okno kogoś bardzo podobnego do niego.

- No dobrze, ale cóż to w gruncie rzeczy za rysopis?! - wykrzyknął mały porucznik zrywając się z krzesła, aby zaraz usiąść na sąsiednim. - „Wysoki mężczyzna w jasnym płaszczu gabardynowym". Ty sam tak wyglądasz - zwrócił się do Metelskiego z uśmiechem. - Przyznaj się, Lucek, to nam oszczędzi tyle roboty!- Nie wygłupiaj się. Inna rzecz, że masz rację, to nie jest żaden rysopis.

- Trzeba pamiętać o usposobieniu Wolskiego i o jego chorobie nerwowej - rzucił Szczęsny, niecierpliwie łamiąc zapałki, jedną po drugiej. - Trochę psychologii. Według mnie to człowiek z kompleksami, ale w gruncie rzeczy uczciwy, tylko impetyk. Poza tym kontuzjowany w czasie wojny. To też zostawia ślady. Uderzył w wybuchu złości, zabił w jakimś porywie szału...

- No cóż, dostanie parę lat, które przesiedzi w zakładzie psychiatrycznym. Stąd wniosek, że na wyczerpujących nerwowo, odpowiedzialnych stanowiskach nie można zatrudniać ludzi z kompleksami. Uważaj, Lucek, żebyś nie awansował.

- Odczep się. Kapitanie, od chwili kiedy dyrektor „Cezetu" powiedział nam o zniknięciu Wolskiego, mamy obstawione wszystkie dworce i lotnisko. Nasi ludzie mają jego fotografię. Bardzo wątpię, żeby udało mu się wymknąć z Warszawy. Od wczorajszego wieczoru zwracają również uwagę na zabandażowane głowy. Przecież to nie jest rutynowany przestępca, więc...

- Skąd wiecie? - przerwał mu Szczęsny. - Właściwie, co my o nim wiemy? Niezmiernie mało. Męczę wszystkich moich znajomych z II Armii, ale jak dotąd żaden o naszym Wolskim nie słyszał.

- Prócz Witeckiego - mruknął Metelski i parsknął śmiechem. Szczęsny uśmiechnął się również. Pasja sierżanta Witeckiego do mundurów i odznak była znana. Gdy kogoś poznawał, pierwsze jego pytanie brzmiało: - Służył pan w wojsku? - a kiedy tamten przeczył, Witecki oglądał go z ironicznym przymrużeniem oczu, po czym kiwał głową z wyraźną pogardą.

- Witecki mógł go naprawdę widzieć kiedyś w mundurze, a wiecie, że ma wyjątkową pamięć do twarzy. Nie mamy wprawdzie książeczki wojskowej Wolskiego, ale w spisie oficerów taki człowiek figuruje, a rysopis i wiek się zgadza.

- Nie mają fotografii? - zdziwił się Metelski.- Mieli i gdzieś tam zapodziali. Obiecali mi, że poszukają.

- Witecki był w II Armii? - spytał Kręglewski ze zdziwieniem. - Nie wiedziałem. Ja też mam paru znajomych stamtąd, to popytam.

Inspektor Antoni Bielecki, tęgawy mężczyzna o chmurnej, wielkiej twarzy z małymi oczkami słonia, przyjął Białego Kapitana z widocznym przymusem. Bez słowa wskazał mu krzesło, sam zajął miejsce za biurkiem, splótł ręce na rozłożonych papierach i czekał na pytania. Na ustach miał grymas zniecierpliwienia.

- Czy badając magazyn, natrafił pan na jakieś nadużycia? - spytał Szczęsny, wahając się, czy zdjąć marynarkę, bo inspektor mimo okropnego upału miał na sobie wełniane ubranie i krawat.

Bielecki wzruszył ramionami.

- Pewnie! - parsknął niemal gniewnie. - Dziecko by natrafiło, gdyby się tym zajęło. Czterdzieści sześć fałszywych kwitów plus czterdziesty siódmy z ubiegłego poniedziałku, wystawiony przez jakiegoś faceta, który miał dostęp do druków i pieczątek.

- Na kafle piecowe, tak?

- Na kafle. Skąd pan wie? - spytał podejrzliwie.

- Mniejsza o to. A w samym Centralnym Zarządzie?

- Nie wiem jeszcze - odparł inspektor wymijająco. - Jestem tam zbyt krótko.

- Dlaczego właściwie przerzucono inspektora Nowaka do Zakładów Garbarskich?

- Niech pan spyta Okołowicza - mruknął Bielecki opryskliwie. Dłubał w zębach wypaloną zapałką i od czasu do czasu spluwał. Szczęsny pohamował raptowny przypływ irytacji.

- Do rzeczy, inspektorze! - rzekł ostro. - Nie rozmawiamy prywatnie.

W oczach tamtego uchwycił błysk złości.

- Dlaczego go przerzucono? - powtórzył, pochylając się w stronę kapitana i nieomal leżąc tłustym brzuchem na dokumentach. - Co panu Nowak powiedział na ten temat?

- A jak pan przypuszcza? Inspektorze, nie bawmy się w ciuciubabkę. Okołowicz, kierując pana do Centralnego Zarządu, musiał mieć w tym jakąś istotną rację. To był mądry człowiek i spostrzegawczy.

Bielecki wzruszył ramionami.

- Przecież pan go nie znał, więc skąd to przekonanie o mądrości i spostrzegawczości?

- Ach, jak pan nie znosi Nowaka! - uśmiechnął się Biały Kapitan. - Czy na dnie tego uczucia nie leży przypadkiem zazdrość o powodzenie młodszego kolegi?

Bielecki poczerwieniał gwałtownie. Przez dłuższą chwilę nie odzywał się, dłubiąc zaciekle w zębach. Szczęsny zrozumiał, że trafił w sedno.

- Gówniarz - mruknął inspektor. - Nie mogę na niego patrzeć. Powiedział panu z pewnością, że w Zakładach Garbarskich czeka go trudniejsza, odpowiedzialna robota. Taki „wybitny" inspektor jak on może zrobić karierę. Teraz.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

Ale Bielecki, jak by nie słysząc pytania, mruczał dalej, utkwiwszy nieruchomy wzrok gdzieś w rogu szafy.

- Różyczka to wariat. Nowak był drugim zastępcą Okołowicza. Ale stary coś zwąchał przed śmiercią. W zeszłym tygodniu przyszedł do mnie - ech, u diabła, nic mnie to wszystko już nie obchodzi.

- Niech pan mówi dalej. Co powiedział Okołowicz, gdy przyszedł do pana?

- Nic.

- Na pewno nic?

- Mógłbym panu dać mniej przyzwoitą odpowiedź, ale już mi pan zwrócił uwagę, że nie rozmawiamy prywatnie.

Szczęsny roześmiał się.

- Jest pan mimo wszystko sympatyczny, inspektorze - rzekł z rozbawieniem. - Szkoda, że nie chce pan mi ułatwić pracy.

Twarz Bieleckiego ściągnął jakiś grymas.

A pan chce mnie jej pozbawić - powiedział cicho. - Gdybym ja był sam, może bym z panem inaczej, szczerzej. Ale ja mam dwoje dzieciaków... no, idźże pan już! - wstał nagle. Miał teraz bardzo zmęczone oczy starszego, zmordowanego życiem człowieka. - To jest jedna wielka sitwa - mruknął, przecierając czoło. - Zresztą ja jeszcze nic nie wiem. Może potem. To

bardzo prosta rzecz, unieszkodliwić niewygodnego człowieka. Prosta i nieodwracalna, kapitanie! Wyjdę z panem, bo... - urwał. Do drzwi ktoś mocno zapukał. - Proszę! - wykrzyknął z niezadowoleniem.

We drzwiach ukazał się dyrektor Lewiecki. Już sam widok jego zdenerwowanej, wzburzonej twarzy wskazywał, że zaszło coś niespodziewanego.

- Wrócił? - mimo woli zapytał Szczęsny.

- Kto? - Lewiecki spojrzał na oficera ze zdziwieniem - ach, pan pewnie myśli o Wolskim? Nie, o ile wiem, to nie. Inspektorze, dowiedziałem się dziś rano o tych skandalicznych historiach w magazynie!

- Szkoda, że dopiero dziś - mruknął zgryźliwie starszy pan.

- Mój Boże... - Lewiecki opadł na krzesło i wyciągnął papierośnicę. - Przecież ja nie mogę być wszędzie i o wszystkim wiedzieć. Od takich spraw jest mój zastępca, dyrektor administracyjny, od tego są jego pracownicy, komendant straży, szef magazynów i kto tam jeszcze. Miałem telefon od sekretarki w czasie konferencji w ministerstwie, wyrwałem się jakoś i zaraz pojechałem do biura. Wywaliłem gościa z miejsca, no i nie mam magazyniera. Cholera z tym wszystkim!

Zapalił papierosa i głęboko wciągnął dym w płuca.

- Niedobrze być dyrektorem - uśmiechnął się do Szczęsnego. - Ciągle jakieś potworne kłopoty. Dziś przyjechali czescy przemysłowcy, a ja nie mam tych zaginionych umów i musiałem się wykręcać jak piskorz. Kapitanie, co z Wolskim? - spytał niespokojnie. - Nie macie żadnej wiadomości?

- Na razie nie.

- Co się z tym chłopem stało!... - przerwał, powściągając z wysiłkiem ziewanie. - Przepraszam, nie wyspałem się. Z winy pańskich kolegów, kapitanie. Wyciągnęli mnie w nocy z łóżka. Zresztą mieli rację. No, co mam teraz zrobić? Wyrzucić połowę urzędników? Jutro z sekretarzemzwołujemy masówkę. Przejedziemy im się tak po głowach, że się długo nie pozbierają. Czy pan wie - zwrócił się do Szczęsnego - że mój gabinet i lokal organizacji partyjnej to były jedyne dwa pokoje w biurze, gdzie panował porządek, pieczątki były schowane i szafy zamknięte?

- Nic dziwnego, że znalazłem czterdzieści siedem fałszywych kwitów w magazynie - rzekł Bielecki z ironicznym uśmiechem. - Kto pilnuje w nocy biura?

- Stary woźny, Sarski. Wyrzuciłem go na zbity pysk. Założymy nowe zamki, nikt nie będzie pilnował w nocy, tylko się po prostu zamknie interes, i spokój. A klucze będę miał tylko ja i mój zastępca.

- A jak coś się stanie, pan będzie, powiedzmy, na urlopie, a zastępca wypuści się wieczorem na zieloną trawkę do Leśnej Podkowy? Może na przykład wybuchnąć pożar.

- To się chałupa spali, i tyle. Ach mój Boże, nie wiem... Głowa mi pęka z tego strasznego upału. Inspektorze, pański protokół mam w swoim biurku. Zapewniam pana, że to się już nie powtórzy. Będziemy sami kontrolować magazyny co dwa tygodnie.

Wstał, poprawił mokre od potu, jasne włosy i obciągnął marynarkę. Wyszli we trójkę na korytarz. Gdy podchodzili do schodów, zza zakrętu wyszedł właśnie inspektor Nowak. Przywitali się, po czym drugi zastępca chciał odejść, gdy Szczęsny przytrzymał go za ramię.

- Dobrze, że pana widzę. Inspektorze, proszę przyjść jutro do Komendy Miasta, między ósmą a wpół do dziewiątej rano.

- Po co? - spytał Nowak zaskoczony. I odparł szorstko: - Ja nie mam czasu.

Bielecki uśmiechnął się ironicznie.

- Proszę traktować moje słowa jako oficjalne zawiadomienie - rzekł kapitan. Głos jego brzmiał ostro i sucho. - Jutro czekam na pana w Komendzie Miasta, pomiędzy ósmą a wpół do dziewiątej. Proszę zgłosić się do biura przepustek.

- Kapitanie, odmawiam przyjścia! - wybuchnął nagle młody in.spektor.- Przecież pan wie, co robi milicja w takim przypadku. Mam kazać pana doprowadzić? Tu nie chodzi o jakieś głupstwa. Zamordowano waszego zwierzchnika, musimy znaleźć sprawcę, a właśnie pan - tak, pan obowiązany jest udzielić pewnych wyjaśnień. To wszystko. Do widzenia. Idziemy, dyrektorze?

- Tak - odparł Lewiecki. Gdy schodzili po schodach, zapytał z wahaniem: - Chyba nie posądza go pan o morderstwo?

Szczęsny spojrzał na niego mrużąc czarne oczy.

- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. Może wstąpimy na kawę, zanim wróci pan do swoich kłopotów?

- Bardzo chętnie. Mam przed domem wóz, to nas podwiezie. - Machnął ręką. - Konferencja i tak się już skończyła.

Dochodziła dziewiąta rano. Biały Kapitan krążył po swoim gabinecie, wymieniając od czasu do czasu krótkie uwagi z siedzącym w drugim pokoju Kręglewskim. Ani jedna Komenda Wojewódzka nie odnalazła dotąd Wolskiego i Szczęsny zaczął już przypuszczać, że inżynier nie żyje. Straż graniczna nie natrafiła w tym tygodniu na żaden ślad usiłowania ucieczki, wywiadowcy na dworcach warszawskich i na Okęciu nudzili się bezczynnie.

- Jakiś łańcuszek zbrodni - snuł przypuszczenia mały porucznik. - „A” zabija „B” i z kolei sam zostaje zabity przez „C”. Ale nie chce mi się wierzyć, żeby maszyny rolnicze, a

nawet projekt budowy fabryki żniwiarek były motywem aż takich przestępstw. Chyba że to wcale nie miały być żniwiarki, co? Jak myślisz?

- Nie tyle myślę, co wiem - odparł Szczęsny. - Na pewno żniwiarki, bądź spokojny. Gdyby chodziło o obiekty wojskowe, nie my byśmy się tym zajmowali. - Spojrzał na zegarek. - No, dosyć tego. Darowałem mu już pół godziny na spóźnienie.

Podszedł do telefonu i nakręcił numer centrali 17 Wydziału Finansowego.

- Proszę z inspektorem Nowakiem... Nie ma? Tu Komenda Miasta, z kim mówię?... Dzień dobry, inspektorze.Czy mógłby pan go jakoś odszukać w biurze?... Ach, w ogóle nie przyszedł! O której zaczynacie pracę? O ósmej, więc... Czy on ma w domu telefon?... Szkoda. Poproszę w takim razie o adres... Tak, może po prostu zachorował.

- Ze strachu - mruknął Kręglewski. - Twoi przestępcy nie mają poczucia humoru.

Szczęsny czekał na adres ze słuchawką przy uchu. Zatknął ręką otwór i powiedział: - Dlaczego uważasz Nowaka za przestępcę? To przecież... - urwał - tak, słucham inspektorze... Dobrze, już notuję: Przemysłowa jedenaście, mieszkania sześć. Dziękuję. Do widzenia, inspektorze Krygier.

Odłożył słuchawkę, znów ją podniósł i nakręcił numer wewnętrzny. - Z sierżantem Otoczko, mówi Szczęsny... Słuchajcie, pojedziemy zaraz na Przemysłową... Nie, bez fotografa, tylko tak... No to weźmiemy taksówkę... Dobrze.

- Myślisz, że bryknął gdzieś w teren? - Kręglewski przeciągnął się, aż kości zachrzęściły. - Pewnie ma coś brzydkiego na sumieniu. A może po prostu urżnął się wczoraj i zabrali go do Izby Wytrzeźwień? Zadzwoń tam.

- Z Izby wypuszczają o ósmej rano.

- Strasznie wcześnie! - westchnął mały porucznik. - Pijacy powinni spać całą dobę, inaczej mają kaca. Oj, pograłbym dziś w szachy. Tylko nie mam z kim.

- Skąd znowu szachy? - mruknął Szczęsny, wkładając mundur i wiążąc starannie krawat. - Zawsze wolałeś brydża.

- Latem szachy są wygodniejsze. Pionków nie trzeba tasować.

We drzwiach ukazał się sierżant Otoczko.

- Jest samochód, kapitanie. Porucznik Metelski właśnie wrócił z miasta.

- Dobra, jedziemy. Po drodze wstąpimy do 17 Wydziału i zabierzemy stamtąd któregoś z inspektorów. Może Krygiera.

Krygier chętnie zgodził się towarzyszyć funkcjonariuszom milicji do mieszkania Nowaka. Sam był ciekaw, dlaczego tamten nie stawił się do pracy ani do komendy.W trakcie jazdy samochodem, na pytanie Szczęsnego, czy drugi zastępca lubi wypić, przyznał z lekką

niechęcią, że rzeczywiście zdarzało mu się to dość często. Na drugi dzień spóźniał się potem do wydziału - niemniej jednak zawsze w końcu przyszedł. Może i teraz po prostu śpi albo zastaną go przy goleniu.

Zjechali Myśliwiecką w dół, skręcili w Rozbrat, a potem w Przemysłową. Kierowca zatrzymał się przed bramą z numerem jedenaście i zapytał, czy będzie jeszcze potrzebny. Kapitan nie pozwolił mu odjechać, bo jeżeli Nowak naprawdę tylko zaspał po pijaństwie, zabierze go się od razu do komendy.

Mieszkanie numer 6 znajdowało się na trzecim piętrze. Wiódł do niego ciemny, nieoświetlony korytarz, po którego obu stronach widniały zarysy kilku drzwi. Mieszkała tu widocznie niejedna rodzina.

- Czy on jest żonaty? - spytał Szczęsny, gdy sierżant świecił latarką szukając numeru. Krygier potrząsnął przecząco głową.

- O ile wiem, to mieszka sam. Czasami w miłym towarzystwie, ale nie na długo - dodał z uśmiechem.

- Tutaj - powiedział Otoczko i mocno zastukał. Raz, drugi - trzeci. Nikt nie odpowiedział. Sierżant załomotał pięścią, również bez skutku. Z sąsiednich drzwi wyjrzała przestraszona kobieta.

- Panowie do inspektora? Na pewno wyszedł do pracy, przecież już dziesiąta. On chodzi na ósmą.

Nagle kapitan wziął z ręki podoficera latarkę, powiódł blaskiem światła po drzwiach, z góry na dół i schylił się, po czym powiedział półgłosem: - Sierżancie, spójrzcie tutaj.

- Zatkane watą - mruknął Otoczko, przytykając nos do drzwi i wciągając powietrze.

- Ta wata - to jeszcze z zimy - kobieta wciąż stała w progu ze ścierką w ręce. - Zatykaliśmy wszyscy, bo z korytarza straszny cug idzie.

- Trudno, trzeba otworzyć drzwi. Pani będzie świadkiem - zwrócił się kapitan do kobiety. - Może inspektor jest w mieszkaniu, tylko coś mu się stało. Czekajcie! - wstrzymał sierżanta ruchem dłoni i raz jeszcze, bardzo dokładnie, obejrzał watę, którą pozatykane były szczeliny. Potem wyprostował się i pokazał głową na zamek w drzwiach. Otoczko wyjął z teczki wytrych, spróbował, czy nie zamknięte od wewnątrz na sztabę albo łańcuch i pchnął. Drzwi ustąpiły. Na korytarz buchnął słodkawy odór.

- Gaz! - krzyknęła kobieta, zatykając nos fartuchem.

- Proszę się odsunąć! - Szczęsny dwoma dużymi krokami przeskoczył mroczny pokój, rzucił się do okna, zerwał zasłonę i kaszląc, otworzył je szeroko. Sierżant wpadł za nim, rozejrzał się. Na lewo był pokój, na prawo kuchnia. Stamtąd szedł gaz. Uważając, aby nie

dotknąć niczego po drodze, skoczył w prawo, omal nie przewracając się o coś, co leżało na podłodze. Z trzaskiem otworzył małe, brudne okienko, odwrócił się i spojrzał w dół. Skrzywił się, dopadł kuchenki i krztusząc się i parskając, zakręcił oba kurki, a na wszelki wypadek i główny przewód.

- No tak... - powiedział Szczęsny, patrząc na leżące obok kuchenki ciało inspektora Nowaka. - Zdaje się, że przyszliśmy o wiele godzin za późno. Sierżancie, jedźcie po grupę techniczną i po doktora Sterna. Ja tu zostanę.

Krygier, przytykając chustkę do nosa, wszedł ostrożnie do kuchni. Na widok leżącego pobladł i odwrócił się. Zrobiło mu się niedobrze. Kobieta została w korytarzu, za nią tłoczyło się już kilka osób, zwabionych krzykiem. Bali się jednak wejść do środka, bo zapach gazu, mimo otwartych okien, wciąż był jeszcze silny.

- Inspektorze - zwrócił się Szczęsny do Krygiera - niech pan stanie w progu i nie wpuszcza nikogo do środka. Zadepczą ślady.

- No to co? Przecież to samobójstwo - bąknął Krygier przez chusteczkę. Zbierało mu się na wymioty.

Biały Kapitan niecierpliwię potrząsnął głową.

- Niech pan nie dyskutuje, tylko zrobi to, co powiedziałem - rzucił szorstko. - Proszę tam pozostać aż do przyjazdu lekarza. Żeby mi tu nikt nie właził!

Schylił się nad leżącym, dotknął zimnego, zesztywniałego, ciała. Nowak miał na wpół uchylone powieki i rozwarte usta. Szczęsny przyglądał się w skupieniu pozycji zwłok. Rzeczywiście, wyglądało to na samobójstwo. Rozejrzał się po kuchni. Panował w niej porządek, jakby młody inspektor chciał przed śmiercią uregulować nawet takie drobne sprawy. Kapitan przeszedł do pokoju. Tapczan równo zaścielony, pod oknem radio, obok telewizor - na lewej ścianie duża, trzydrzwiowa szafa. Włożył rękawiczki i otworzył jedną połowę, potem drugą. Garderoba przedstawiała się imponująco. Nylonowe koszule z komisu, kilka ubrań z najlepszej „setki", zagraniczne krawaty, drogie obuwie.

Szczęsny ściągnął brwi w zadumie. Pensja inspektora na pewno na to nie wystarczała. Prezenty od kobiet? Zbyt kosztowne. Łapówki? Jakieś dochody uboczne, wygrana w TotoLotka, bogata rodzina? Należało to zbadać.

Na okrągłym stole, zarzuconym serwetą, stała butelka likieru i kieliszek. Na jego dnie zastygła resztka słodkiego, gęstego płynu.

Kieliszek. Widocznie od kompletu, bo ładny, kryształowy. Kapitan podszedł do małej orzechowej szafki stojącej przy drzwiach. Nie była zamknięta. Na górnej półce w równym szeregu stało pięć takich samych kieliszków, lekko zakurzonych. Szczęsny brał je po kolei do

ręki i oglądał dokładnie. Na dnie czwartego znalazł odrobinę wilgoci. Uniósł rękę i popatrzał pod światło. Czwarty kieliszek nie był zakurzony. Miał natomiast ledwie wyraźne ślady, jak by go ktoś używał, potem wypłukał i... - Dlaczego nie wytarł? - mruknął Szczęsny do siebie. Poszedł do kuchni. Nie znalazł tam ścierki ani ręcznika. Zajrzał przez drzwi, za którymi powinna być łazienka. Stanął w progu. W łazience odbywał się remont, widocznie Nowak zamierzał ją przerobić czy odnowić. W takim razie, gdzie się mył w ostatnich dniach? Pewnie w kuchni, nad zlewem. Tak, leżało tam mydło w plastykowej miseczce i przybory do golenia. Nie było jednak ręcznika.

Usłyszał jakiś ruch w przedpokoju. Wyjrzał i zobaczył sierżanta Otoczkę wraz z fotografem i technikiem dochodzeniowym. Krygier rozchorował się i zielony na twarzy pośpieszył z ponurą wieścią do 17 Wydziału. Otoczkow ciągu paru sekund wymiótł z korytarza gapiów, wyłowił spośród nich starszego, rozsądnie wyglądającego mężczyznę i poprosił go do wnętrza, po czym ostentacyjnie zamknął drzwi.

- Pan będzie świadkiem - wypowiedział stereotypową formułę. - Mieszka pan na tym piętrze? Jak się pan nazywa?

- Dobrze, tak, Jan Małecki - odparł mężczyzna od razu na wszystkie trzy pytania. - Co mam robić?

- Nic. Nie przeszkadzać.

- On nie żyje?

Ale Otoczko był już w kuchni i nie słyszał.

- Jesteśmy, kapitanie. Samobójstwo?

- Znajdźcie mi ręcznik - rzucił Szczęsny przez ramię, grzebiąc w wiadrze na odpadki. - Jego ręcznik, którym się wycierał po myciu. Chyba nie - odparł na pytanie. - Co za facet stoi w korytarzu?

- Świadek.

- Dajcie mu krzesło. Przecież to potrwa. Sterna jeszcze nie ma? Panie Minkowski! - zawołał w stronę fotografa. - Drzwi zewnętrzne. I z bliska, uszczelnienie watą. Słyszy pan?

- Tak - odkrzyknął fotograf. - Już idę.

Sierżant nachylił się nad zmarłym i poruszył nosem.

- Śmierdzi alkoholem - stwierdził na wpół do siebie. - Upił się i przeniósł na tamten świat. Co myślicie, kapitanie?

- Kieliszki - odburknął Szczęsny. - W szafce jeden mokry.

- Aha! - teraz Otoczko zrozumiał, dlaczego kapitan tak natarczywie poszukuje ręcznika. Trzeba było jednak pisać protokół oględzin. Wyciągnął duży notes i pióro, westchnął. Nie lubił papierkowej roboty.

Technik dochodzeniowy tropił odciski linii papilarnych na każdym meblu i przyrządzie, który te odciski mógł zachować. W powietrzu wirował szary pył, błyskał flesz, skrzypiały odsuwane sprzęty.

- Jest - powiedział nagle Otoczko, odkładając pióro. Dojrzał w kącie za kredensem kuchennym zwiniętą brudną szmatę. Szczęsny poszedł za jego wzrokiem i wyciągnął łach kijem od szczotki. Był to rzeczywiście ręcznik, zasmarowany w nieludzki sposób, jak by nim ktoś buty wycierał.- Co on z tym robił? - zamyślił się Biały Kapitan. Przyjrzał się plamom, potem zajrzał jeszcze raz do łazienki, powąchał ręcznik i poczuł zapach terpentyny. Plamy na płótnie były tego samego, bladozielonkawego koloru, co jedna, wymalowana już ściana w łazience.

- Tak... - mruknął. Zrozumiał, dlaczego kieliszek nie został wytarty. Po prostu, albo Nowak sam malował łazienkę, albo też wynajęty malarz posłużył się jego ręcznikiem, który po wytarciu rąk zamienił się w brudną szmatę. Trudno było jeszcze nią kieliszek wycierać.

- Przyjechał doktor Stern - powiedział technik, wsuwając głowę do kuchni.

- Tutaj, doktorze. Nie żyje.

Stern zbadał ciało, przyjrzał się jego położeniu, stwierdził, że zgon nastąpił pomiędzy dwunastą a pierwszą w nocy i jak zwykle zakończył, że resztę powie po sekcji.

- Wygląda mi na samobójstwo - dodał. - Musiał jednak przedtem sporo wypić. Widziałem na stole w pokoju jakiś likier, ale ręczę, że poprzedziło go z pół litra zwykłej wódki. Widocznie upił się dla kurażu. Potem przywlókł się tutaj i otworzył kurek. - Wciągnął nosem powietrze i skrzywił się. Mimo wciąż na przestrzał otwartych okien, ckliwy zapach gazu wisiał jeszcze w mieszkaniu.

Szczęsny wyszedł na korytarz. Świadek Małecki siedział na krześle przyglądając się wszystkim czynnościom milicji spokojnym, trochę znużonym wzrokiem.

- Czy pan mieszka obok? - spytał kapitan, częstując go papierosem. Małecki delikatnie wyjął mazura z paczki, przyjął podsunięty mu ogień, zaciągnął się i wtedy dopiero odpowiedział: - Naprzeciwko.

- Kiedy widział pan ostatni raz inspektora Nowaka?

- Wczoraj, pod wieczór. Była może piąta, może wpół do szóstej. Ja o tej porze wychodzę zwykle do sklepu po sprawunki. Jestem wdowcem - dodał w formie wyjaśnienia - żona mi zmarła trzy lata temu. Widziałem inspektora, jak wchodził właśnie do mieszkania.

- Sam?- Tak, sam. Niósł jakieś paczki. Nieduże, tak jakby z „Delikatesów", bo ładnie opakowane. I butelkę.

- Wódki?

- Chyba nie, bo była taka krótka, pękata. Może to ta? - wskazał ruchem ręki na stojącą na stole flaszkę.

- Chciałbym, żeby mi pan trochę pomógł - powiedział Szczęsny, opierając się łokciem o drzwi i pochylając lekko w stronę Małeckiego. - Zależy nam bardzo na stwierdzeniu, czy to rzeczywiście samobójstwo. Proszę mi powiedzieć, tak jak sąsiad, który od czasu do czasu coś słyszy i widzi, czy do inspektora przychodziły jakieś kobiety?

Małecki uśmiechnął się lekko.

- Oj, panie! - machnął ręką pobłażliwie. - Niejedna. Młody był człowiek, dosyć przystojny, gotówki też mu widać nie brakowało, bo miał zamiar kupić samochód - no, a kobiety to wszystko lubią. Przychodziły tu, przychodziły.

- A wczoraj?

- Wczoraj to nie słyszałem. Bo na dziewiątą poszedłem do kina „Jutrzenka", wie pan, tam w parku, na wolnym powietrzu. Było nas trzech kolegów z rozdzielni - bo ja pracuję w Elektrowni Warszawskiej - tośmy potem wstąpili jeszcze na piwo, no i tak zeszło do... chyba do wpół do pierwszej albo i dłużej. Jak wracałem, to w oknie pokoju pana inspektora już było ciemno.

- Sierżancie, poproście tutaj tę kobietę, co mieszka obok - zawołał Szczęsny do Otoczki. - A w nocy - zwrócił się znowu do Małeckiego - nic pan nie słyszał?

- Nie. Ale ja, proszę pana, mocno śpię. Mnie można strzelać nad uchem i nie zbudzę się - uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Kapitanie, trzeba będzie daktyloskopować trupa? - spytał technik dochodzeniowy, wychylając się z kuchni.

- Tak. Zróbcie to zaraz, zanim przyjadą z „Autotransu". Weszła ta sama kobieta, którą wpierw proszono na świadka, a która uciekła, poczuwszy zapach gazu. Rzuciła zalęknione spojrzenie w stronę kuchni, zobaczyła leżące na podłodze ciało, przykryte prześcieradłem, i wzdrygnęła się.- Proszę pani - powiedział do niej Biały Kapitan - czy nie słyszała pani wieczorem albo w nocy jakiejś kłótni, bójki czy w ogóle głosów w tym mieszkaniu?

Kobieta milczała chwilę starając się nie patrzeć na zmarłego.

- Wczoraj... - powtórzyła, widocznie zbierając myśli. - Mój Boże, żebym ja coś podobnego przypuszczała, to bym mu się przyjrzała bliżej. Tyle wiem, że był wysoki, w jasnym płaszczu i z obandażowaną głową.

- Przyszedł razem z inspektorem?

- Nie, gdzież tam. Dużo później. Pan Nowak... - zawahała się.

- No? Śmiało, niech pani mówi o wszystkim, co pani wie.

- Nieładnie tak mówić o nieboszczyku, ale pan Nowak miał trochę za dużo kobiet. Czasem to upijali się, śpiewali późno w nocy, hałasowali, aż musiałam stukać w ścianę. Pan inspektor potem przepraszał, ale za parę dni było to samo. A u mnie dzieci chorowite i przebudzały się. Więc... co to ja mówiłam? Aha, więc jak miała do niego przyjść kobieta, to przynosił takie tam różne dobre rzeczy z „Delikatesów"; sardynki, pomarańcze, wino. No to zawsze, jak go zobaczyłam z tymi sprawunkami, wiedziałam już, że tej nocy będzie bal. A wczoraj właśnie przyniósł ciastka, jakąś butelkę i truskawki, wiem, bo prosił mnie o szklaneczkę na śmietanę, pewnie do tych truskawek, żebym mu pożyczyła. No to dałam słoik po musztardzie. Pytam jeszcze tak żartem: - Panie Nowak, co, kobity się pan spodziewa? - A on się śmieje, że tak. No, a potem... późno już było, pewnie koło jedenastej, jak do niego ktoś zapukał. Myślę sobie: wyjrzę, zobaczę, która to go tak długo przetrzymała, bo chodził po tym mieszkaniu i chodził, czekał na nią, a ona nie przychodziła. Wyjrzałam cichutko, taką małą szparką, patrzę, ale widzę - chłop. Znaczy, mężczyzna. Pan jakiś. Wysoki, jasny płaszcz, taki prochowiec i głowa obandażowana. Twarzy nie dojrzałam, zresztą jak zobaczyłam, że nie kobieta, to już nie byłam ciekawa.- Czy on już kiedyś tu przychodził?

- Po wzroście jakby sądząc, to tak. Ale rzadko.

- Też z zawiązaną głową?

- Nie. Ale w korytarzu ciemno, twarzy bym nie poznała. Szczęsny wyjął z portfelu fotografię inżyniera Wolskiego i podsunął mówiącej.

- Czy to nie był ten?

Kobieta przyglądała się zdjęciu z zafrasowaniem. Wreszcie potrząsnęła głową przecząco.

- Nie poznam, proszę pana. Żebym go żywego zobaczyła, a jeszcze w tym jasnym płaszczu, to może... Nie chcę, proszę pana, niewinnego posądzić, żebym potem na sumieniu jego krzywdy nie miała.

- Słusznie - przytwierdził Biały Kapitan. Pokazał fotografię Małeckiemu. Ten ujął ją ostrożnie w palce, przyjrzał się mrużąc oczy, oddalił zdjęcie od twarzy, potem znów przybliżył i również zaprzeczył. Nie znał takiego człowieka.

- Jeżeli przychodził tu o późnej porze, to mogłem go nigdy nie zauważyć - rzekł z namysłem. - Przeważnie kładę się spać przed dziesiątą. Ja myślę, kapitanie - zawahał się -

może by spytać którejś z jego dziewczyn, co tu przychodziły. Ja przepraszam, że doradzam... panowie sami wiedzą, co robić.

- Czy pan nie wie, kto mu remontował łazienkę?

- On sam! - ożywiła się kobieta, rada, że coś wie na pewno. - Miał tam założyć białe kafelki i ściany wymalować na taki kolor - rozejrzała się dokoła - no, jasnozielony. Pan Nowak umiał te rzeczy robić, bo jego ojciec miał warsztat malarski na Pradze. Teraz już ten ojciec nie żyje - dodała. - Oboje rodzice nie żyją.

Sierżant ukazał się na progu, trzymając pod pachą owinięte w gazetę dwie półlitrowe butelki po wódce. Szczęsny spojrzał na niego pytająco.

W koszu odparł Otoczko. - Kapitanie, chodźcie na chwile.

Gdy weszli do pokoju, pokazał mu małą kartkę papieru, było na niej napisane:”IDĘ DO OJCA J.N.”

- Gdzie to było? - spytał Szczęsny, trzymając kartkę za sam brzeżek.

- Tam - pokazał sierżant na tapczan. - Pod poduszką. Spojrzeli na siebie w milczeniu.

- Jego ojciec nie żyje - mruknął kapitan, gryząc wargi. Położył kartkę na rozłożonej czystej chusteczce. Przyjrzał się pismu. Było równe, prowadzone widać pewną ręką, bez wahań i namysłu. Kapitan pokręcił głową.

- Chyba jednak się zabił - rzekł Otoczko, ostrożnie przekładając kartkę do tekturowego pudełka.

- Chyba jednak nie - odparł spokojnie Szczęsny. - Dajcie to, rzecz jasna, do zbadania. Przede wszystkim na czas, kiedy kartka była pisana.

Zawrócił do przedpokoju.

- Nie wie pani, kiedy umarł ojciec inspektora? Kobieta wzruszyła ramionami.

- Skądże! Tyle wiem, że umarł.

- A gdzie był ten warsztat?

- Na Pradze. Gdzieś na Mińskiej, zdaje się. Czy ja jeszcze jestem potrzebna? Bo tam kartofle na ogniu i do sklepu muszę skoczyć...

- Nie, dziękuję pani. To wszystko, co chciałem wiedzieć. A gdyby się pani jeszcze coś przypomniało z wczorajszego wieczoru albo panu - zwrócił się do Małeckiego - proszę zadzwonić pod ten numer telefonu. To jest Komenda Miasta. - Wyrwał z notesu dwie karteczki, napisał na każdej numer i dał obojgu. - Pan niech jeszcze chwilę zostanie, zaraz przyjadą po zwłoki.

Usłyszawszy to kobieta spiesznie wyszła na korytarz i po chwili dobiegło ich trzaśniecie drzwi. Małecki uśmiechnął się wyrozumiale.

- Kobieta, to i bojąca - powiedział. - A ja mogę z umarłym całą noc sam przesiedzieć, bez różnicy. Umarły nie straszny, krzywdy nie zrobi.

Na korytarzu rozległo się szuranie i kroki, ktoś zaklął potknąwszy się w ciemnościach. Szczęsny otworzył drzwi.Byli to pracownicy Zakładu Medycyny Sądowej, z noszami. Wprawnym, obojętnym ruchem położyli ciało, nakryli brezentem, wynieśli.

- Ot i po człowieku - westchnął Małecki. - Tyle wszystkiego. A wczoraj jeszcze... ech, mój Boże. Dajcie, kapitanie, papierosa!Od zamordowania kierownika 17 Wydziału Finansowego upłynął tydzień. W poniedziałek, późnym popołudniem w gabinecie majora Daniłowicza, szefa wydziału dochodzeniowego, zebrało się kilku oficerów na naradę. Poprzedniego dnia major wrócił z urlopu, opalony i wypoczęty. Zdążył już zapoznać się z aktami sprawy noszącej trochę dziwny kryptonim: „Dwa włosy blond". Zresztą wszystkie sprawy prowadzone przez kapitana Szczęsnego miały oryginalne kryptonimy, wprawiające w zdenerwowanie oficerów, pozbawionych wyobraźni.

- Co wiemy? - mówił Biały Kapitan, chodząc po gabinecie. - Wiemy, że w ubiegły poniedziałek, między jedenastą a pierwszą w nocy zamordowano z pistoletu typu SauerSohn, kaliber 7,65 numer 2819, kierownika 17 Wydziału Finansowego Stanisława Okołowicza. Kropka. Co dalej wiemy? W willi, oprócz zamordowanego, mieszkają Zabielscy, on właściciel warsztatu zegarmistrzowskiego, ona chorowita, niepracująca, na oko - trusia domowa. Jako trzeci lokator w willi znajduje się ekspedientka z firmy... - uśmiechnął się i poprawił z powagą - z salonu mód „Zofia", Danuta Kretz, bardzo ładna brunetka. Kretz widziała w nocy wychodzącego z willi spiesznym krokiem wysokiego mężczyznę w jasnym, gabardynowym płaszczu, dobrze zbudowanego, bez nakrycia głowy. To wszystko widziała, mimo iż lampa nad zewnętrznymi schodkami willi nie paliła się, a uliczne latarnie oddalone są o dobre pięćdziesiąt metrów. Myślę, że sprawa przedstawia się nieco inaczej. Pani Kretz widziała owego mężczyznę już wcześniej, wchodzącego do willi, a nie - wychodzącego z niej, i zdążyła mu się trochę przyjrzeć. Z powodu, którego jeszcze nie znam, ukrywa ten fakt. Ale wyobraźmy sobie,że... Ach, psiakrew! - zatrzymał się nagle na środku gabinetu, zaskoczony jakąś myślą.

- No? - major spojrzał na niego zachęcająco. - I co dalej? Ale Szczęsny stał bez ruchu, rozważając coś w sobie.

Potem machnął ręką niecierpliwie, odwrócił się do okna i zaczął cichutko gwizdać. Daniłowicz znał bardzo dobrze swego zastępcę; wiedział, że gdy Szczęsny „wpadnie w trans", znaczy to, że rozwiązał już albo też jest na najlepszej drodze do rozwiązania zagadki.

Spojrzał więc na Kręglewskiego. - A co z tym zegarmistrzem? - spytał.

- Zabielski - zaczął mały porucznik - jest na brydżu, z którego nagle wychodzi na dworzec po to, aby zamienić parę słów z tajemniczym znajomym, potem wraca i gra dalej... Przecież to wyjście przerywało im partię, bo grali w czwórkę, a nie w piątkę. Znam trochę brydżystów i wiem, że taka niespodziewana przerwa, podczas której nie wiadomo co robić, piekielnie denerwuje.

- Czy przesłuchiwaliście tego czwartego? Jak się nazywa... - major spojrzał do akt - Trześniak. To sąsiad Nowakowskich, tak?

- Tak. Byłem u niego jeszcze przed powtórną u Nowakowskich. Od razu powiedział, że Zabielski rzeczywiście na trzy kwadranse opuścił brydża, mówiąc, że ma jakąś ważną sprawę do załatwienia na dworcu. Wrócił bardzo zdenerwowany, mylił się w grze, karty wypadały mu z ręki. Kiedy później pytałem Zabielskiego o tego znajomego, odmówił odpowiedzi. Nie udało nam się dotąd ustalić, kto by to mógł być.

Daniłowicz spojrzał na mówiącego z odrobiną ironii.

- A na jakiej podstawie chcieliście w ogóle to ustalić, poruczniku? Nie macie przecież żadnych danych. Nie wiecie ani jak się gość nazywa, ani jak wygląda, skąd przyjechał i dokąd pojechał. Cudów nie ma. - Wzruszył ramionami, sięgając po papierosa. - Co mamy dalej? - podjął resume Szczęsnego. - Podejrzany jest więc Zabielski, niewyraźnie wygląda sprawa Kretz, chociaż tutaj nie mamy żadnych dowodów. Następnego ranka wyjeżdża nagle, bezżadnego zawiadomienia czy uprzedzenia, odpowiedzialny pracownik Centralnego Zarządu tych tam dostaw - inżynier Wolski. Wraz z nim giną ważne, potrzebne Zarządowi dokumenty. Rysopis Wolskiego przypomina rysopis owego mężczyzny, widzianego przez ekspedientkę w nocy, przed willą. Sprawa morderstwa rozszerza się, zaczepiając teraz o - diabli wiedzą, szpiegostwo czy tym podobne. Zgłasza się do nas woźny z Zarządu, widział inżyniera Wolskiego we wtorek w nocy, jak przyszedł po coś do biura. Miał obandażowaną głowę, a jak wiemy, morderca Okołowicza zostawił na płycie chodnika ślad w postaci skrzepu krwi z włosami.

- Trichophytiasis - mruknął Szczęsny przez ramię. Metelski poruszył się niespokojnie. Nie lubił słów, których nie rozumiał.

- Według słów gospodarzy, u których mieszkał Wolski - ciągnął dalej major - wyjechał on, a raczej wyszedł z domu z walizką, co wskazywałoby na to, że wyjechał. Wieczorem do domu nie wraca, następnego dnia też nie. Nasi ludzie nie znajdują go w żadnym hotelu, lokalu ani na ulicy. Nagle, w piątek późnym wieczorem, znów o tej samej chyba porze co w przypadku Okołowicza, jakiś mężczyzna o rysopisie Wolskiego przychodzi do mieszkania inspektora Nowaka z 17 Wydziału. Znowu z tym bandażem na głowie i w tym

samym płaszczu... swoją drogą, to właśnie wzbudza we mnie podejrzenie. Przecież orientuje się chyba, że go szukamy, bo wie, co zrobił.

- Może nie przypuszcza, że go widziano przed willą.

- Nonsens. Jeżeli ktoś się ukrywa, to przede wszystkim zmienia ubranie, płaszcz, wygląd. Wolski może natomiast nie przypuszczać, że wiemy o jego skaleczeniu i dlatego bandażuje głowę, chociaż ta ranka nie mogła znowu być aż tak straszna, sądząc ze skrzepu. Ale bandaż utrudnia rozpoznanie.

- W 17 Wydziale - zaczął nagle Szczęsny, rozpoczynając na nowo spacer po gabinecie - kierownikiem był Okołowicz. Miał dwóch zastępców: Różyczkę i Nowaka. Nowak to młody, zdolny inspektor, wysuwany i popierany przezkierownictwo. Różyczka to człowiek schorowany, histeryk, wykończony długoletnią pracą w swym zawodzie. Prócz nich w 17 Wydziale jest naturalnie wielu innych inspektorów, ludzi niejednokrotnie starszych, doświadczonych, którzy byliby może lepszymi zastępcami niż Różyczka, a może i Nowak - w każdym razie, w swoim mniemaniu. Ludzie ci są jednak pomijani w awansie. Żre ich zazdrość. Przedstawicielem tego typu pracowników jest inspektor Bielecki. A teraz, popatrzcie - zamordowano Okołowicza. Automatycznie na pierwszy plan wysuwa się Różyczka. Ale Różyczka jest chory, chory nerwowo, trzeba go na dłuższy czas umieścić w sanatorium. Cóż - pełne szanse dla Nowaka. Nie tylko na pierwszego zastępcę, ale być może, w niedalekiej perspektywie i na kierownika wydziału.

- Mhm - przytwierdził major, ssąc w zamyśleniu niezapalanego papierosa. - A więc?

- A więc, szanse dla Nowaka, a nowy wielki zawód dla Bieleckiego et consortes.

Metelski spojrzał na kapitana z rozgoryczeniem. Znowu?

- I nagle - Szczęsny zatrzymał się, przysiadając na brzegu biurka. - W piątek w nocy Nowak zostaje zamordowany. Ściślej mówiąc: zagazowany, w swoim własnym mieszkaniu.

- Samobójstwo definitywnie odpada, tak? - mruknął major. - A ta kartka: „Idę do ojca”?

- Bzdura! Fikcja. Jego ojciec umarł dwa miesiące temu, a kartka - jak wskazała ekspertyza, pisana była co najmniej przed rokiem. Była to pewnie po prostu wiadomość dla kogoś, kto miał przyjść w owym czasie. Ponieważ Nowak musiał nagle wyjść z domu, może właśnie ojciec jego zaczął wtedy chorować, napisał zwykłą kartkę, że idzie do ojca, który mieszkał na Pradze. Kartkę umieścił w drzwiach albo położył na stole, jeżeli ten ktoś miał drugi klucz... myślę, że była to jedna z jego licznych kobiet. A potem, jak to czasem bywa, machinalnie schował kartkę do szuflady. Tam znalazł ją przestępca, który przyszedł do niego w ubiegły piątek. Znalazł i znakomicie wykorzystał - wiedząc widocznie, że ojciec Nowaka

nie żyje. Widziałem, jaki efekt wywarły te makabryczne słowa nawet na naszym sierżancie - uśmiechnął się Szczęsny. - „Idę do ojca", który dawno leży w grobie... Zbrodniarz chciał upozorować samobójstwo. Zapomniał jednak wytrzeć kieliszek - swój kieliszek, którym pił z Nowakiem likier. Wypłukał go starannie, ale nie wytarł, bo nie znalazł w tym kawalerskim gospodarstwie ścierki, a ręcznik był brudny.

- Czemu nie użył własnej chustki? - spytał Kręglewski.

- Nie wiem. Może bał się, że to właśnie zostawi jakieś ślady. Zapomniał następnie, że niewątpliwie zwróci naszą uwagę wata poutykana w drzwiach zewnętrznych. Watę założył Nowak, jak inni lokatorzy, zeszłej jesieni. Zauważyłem jednak, że podczas gdy inni albo ją dawno zdjęli - przecież czerwiec - albo zwisa ona w strzępach, to drzwi inspektora były tak starannie z zewnątrz pozatykane, że musiał być w tym tylko jeden cel: aby gaz nie wydobył się przez szczeliny i nie zaalarmował zbyt wcześnie sąsiadów. Przestępca nie wiedział dokładnie, jak wyglądają drzwi Nowaka, bo przyszedł do niego z pasmami nowej, białej waty - podczas gdy tamta była szara.

- Kiedyż on miał czas na zatykanie drzwi? Przecież to zabiera sporo czasu - mruknął Daniłowicz.

- Nie. Jeżeli wata jest odpowiednio zwinięta w długie pasma i jeżeli ma się trochę kleju, to - ja ci to zrobię w trzy minuty.

- Jak drzwi były zamknięte? Z zewnątrz?

- Na „Yale". Równie dobrze z zewnątrz, jak i od środka. Ale w ubraniu Nowaka ani nigdzie w mieszkaniu nie znaleźliśmy klucza. Stąd wniosek, że przestępca zamknął drzwi wychodząc, a następnie klucz gdzieś wyrzucił. Wątpię, żeby go do tej pory nosił przy sobie. No i jak teraz wygląda cała sprawa? Okołowicza już nie ma, Różyczka chory, a najmocniejszy kandydat na kierownicze stanowisko - nie żyje. Któż posądzi inspektora Bieleckiego o tak ciemną aferę?

Przez chwilę panowało milczenie.

- Nowak, według informacji jego sąsiadki, czekał na jakąś kobietę - wtrącił Kręglewski. - Przyniósł słodycze, butelkę likieru, owoce. Czekał bardzo długo.- I pił - rzucił Szczęsny. - Wypił sam pół litra wódki, widocznie był zły, że dziewczyna nie przychodzi. Zamiast niej zapukał późną porą mężczyzna. Nowak musiał go znać, bo by chyba obcego nie wpuścił, wciąż czekając na kobietę. Był już zresztą pijany. Razem wypili jeszcze pół litra, a potem likier... brr! co za mieszanina. Albo Nowak zasnął i tamten przytaszczył go śpiącego do kuchni, albo też był już tak pijany, że nie orientował się, co z nim robią. Zabójca ułożył go obok kuchenki, pozamykał starannie okna, umył kieliszek, przerzucił papiery w szufladach

biurka i stołu, widocznie czegoś szukając. Znalazł kartkę ze słowami: „Idę do ojca” i pomyślał, że się bardzo przyda. Wiedział, że prędzej czy później przyjdzie milicja i zacznie badać powód śmierci, więc włożył kartkę pod poduszkę. Potem wyjął z kieszeni Nowaka klucze, otworzył kurki gazowe, wyszedł, uszczelnił szybko drzwi i uciekł. Ryzykował, że ktoś go zobaczy podczas manipulacji watą, ale w każdym przestępstwie jest sporo ryzyka. W tym, w gruncie rzeczy, było go bardzo niewiele. O tej porze sąsiedzi inspektora dawno już spali.

- Zastanawia mnie, dlaczego Nowak nie chciał przyjść do komendy - powiedział Kręglewski. - Czy bał się, że wyjdą na jaw jakieś jego sprawki, nie bardzo czyste?

- Badaliśmy jego dochody - rzekł Szczęsny, przerzucając notatki. - Nowak niewątpliwie żył, jak to się mówi, ponad stan. To znaczy, wydawał co najmniej trzy razy więcej, niż zarabiał jako inspektor i zastępca. Studiowałem przez dwa dni wszystkie papiery, jakie u niego znaleźliśmy, notatki, kalendarze, zapiski itede. Jak dotąd, tylko jedna z tych rzeczy nasuwa mi pewne przypuszczenia, ale jeszcze jej nie rozgryzłem. Zresztą... - urwał, bo zadzwonił telefon. Daniłowicz podniósł słuchawkę.

- Słucham... Tak, to ja... Co?... Gdzie?... - ożywił się nagle i rzucił w stronę siedzących: - Jest Wolski! - po czym powiedział do telefonu: - Naturalnie, sierżancie. Przyprowadźcie go do mojego pokoju... Tak? Aha. Przygotujcie więc mocnej kawy i parę kanapek... Co?... Rozumiem. Zawiadomcie lekarza.Odłożył słuchawkę i wstał.

- Znaleziono Wolskiego. Był w Nidzicy, na Mazurach. Rozpoznał go jeden z naszych ludzi, pomimo brody i okularów. Zaraz go przyprowadzą.

Metelski i Kręglewski wstali również, nie wiedząc, czy mają zostać podczas przesłuchania. Metelski ukradkiem spojrzał na zegarek. Miał jeszcze sporo pracy w związku z zupełnie inną sprawą. Szepnął coś Kręglewskiemu i wyszedł.

- Nareszcie historia się wyjaśni - rzekł major z ulgą, zamykając teczkę z aktami i chowając ją do szuflady. Rozejrzał się dokoła i napotkał wzrok Szczęsnego. Czarne oczy kapitana jarzyły się jakimś ogniem wewnętrznym. Jego śniada, szczupła twarz była pełna napięcia. Major westchnął. Zrozumiał nagle, że jego zastępca wcale tak nie uważa.

Włożył ręce do kieszeni i odwrócił się do drzwi, za którymi usłyszał kroki. Zapukano ostro. - Wejść! - rzucił. Na progu ukazał się wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna w jasnym, ale brudnym i zmiętym płaszczu, zarośnięty, z pochyloną głową. Za nim stał podoficer milicji. Zasalutował sprężyście.

- Obywatelu majorze, melduje się chorąży Skierski z Komendy Wojewódzkiej w Olsztynie. Przywieźliśmy poszukiwanego, obywatela inżyniera Wolskiego Zbigniewa z Warszawy. Odnaleziono go na terenie Nidzicy, w prywatnym mieszkaniu jednego z

tamtejszych lekarzy. - Wyciągnął rękę podając Daniłowiczowi urzędową kopertę, w której był opis sprawy, dokumenty Wolskiego i protokół przesłuchania. Major otworzył list, pobieżnie rzucił okiem na dokumenty, spojrzał na protokół i zmarszczył brwi. Chorąży poczuł się nieswojo, chociaż nie on przesłuchiwał podejrzanego.

- No dobrze - mruknął major, odkładając na bok kopertę. - Nie trzeba było... ale mniejsza z tym. Dziękuję, chorąży. Jesteście wolni, delegację podstemplują wam w sekretariacie, jeżeli chcecie jeszcze dzisiaj wracać. Macie samochód?- Tak jest, obywatelu majorze. Mam rozkaz wracać jak najprędzej. Do widzenia.

Zasalutował i wyszedł.

- Niech pan siądzie - powiedział major do stojącego wciąż nieruchomo mężczyzny. Wskazał mu krzesło, sam zajął miejsce za biurkiem i w zamyśleniu przyglądał się Wolskiemu, który usiadł bez słowa. Do gabinetu wszedł milicjant, niosąc ostrożnie filiżankę kawy i talerzyk z kanapkami. Major ruchem głowy pokazał, że ma to postawić na biurku.

- Proszę wypić kawę i zjeść coś - powiedział do Wolskiego. Położył obok filiżanki paczkę giewontów i zapałki, wstał, spojrzał w okno i wyszedł.

Siedzący przy biurku mężczyzna uniósł głowę, wciągnął w nozdrza zapach kawy i jakimś drewnianym, automatycznym ruchem wyciągnął rękę. W miarę jak pił, twarz jego ożywiała się. Była jednak wciąż bardzo blada, a pod oczami widniały duże, ciemne sińce. Zjadł jedną kanapkę, odsunął talerz i sięgnął po papierosa. Wtedy zobaczył czyjąś dłoń podającą mu ogień. Drgnął i odsunął się. Nie dostrzegł dotąd Szczęsnego, który obserwował go bardzo uważnie.

- Niech pan zapali - powiedział Biały Kapitan, wciąż trzymając w palcach zapaloną zapałkę. Tamten machinalnie przyjął ogień i zaciągnął się. Nie powiedział nic. Spojrzenie, którym obrzucił kapitana, było puste i nieruchome.

Daniłowicz wrócił do gabinetu i usiadł za biurkiem.

- Wiedziałem, że mnie w końcu znajdą - odezwał się nagle Wolski. Głos miał zachrypnięty. Odchrząknął i zakaszlał.

- To pan zabił Okołowicza? - spytał major, bawiąc się sznurem od telefonu.

- Ja.

Przez chwilę panowała cisza. Na twarzy Daniłowicza widać było wyraźne odprężenie. Szczęsny chodził po gabinecie miarowym krokiem, nie patrząc teraz na inżyniera.- No cóż... - powiedział wreszcie szef wydziału - jeżeli tak sprawa wygląda, to - wyjął z szuflady teczkę z aktami i wyciągnął pióro.

Nagle Wolski zgarbił się nad biurkiem, oparł głowę o szklany blat i wybuchnął płaczem. Widok ten był nawet dla przyzwyczajonych do różnych tragedii i wybuchów obu oficerów tak przykry, że nie bardzo wiedzieli, co w tej chwili zrobić. Trudno było pocieszać zabójcę... Daniłowicz sięgnął po słuchawkę i powiedział do niej parę słów, po czym zaczął bębnić palcami po biurku, patrząc gdzieś w bok. Szczęsny nie przerwał swego marszu po pokoju, tylko kroki jego stały się szybsze, jakby umysł zaczął intensywniej pracować.

Po chwili do gabinetu wszedł lekarz z milicjantem. Przyjrzał się Wolskiemu, pokiwał głową i nie bawiąc się w żadne pytania, wprawnym ruchem odsunął mu lewy rękaw marynarki i koszuli, po czym błyskawicznie wykonał zastrzyk uspokajający. Położył na biurku, obok niedopitej kawy, dwie pastylki bromuralu i wyszedł.

- Nie będziemy pana teraz przesłuchiwać - powiedział Daniłowicz. - Zresztą, skoro pan i tak się przyznał...

- Zabiłem - szepnął inżynier. Był już spokojny, obojętny.

- No dobra. Prześpi się pan, a jutro porozmawiamy. Kapralu, proszę odprowadzić do aresztu.

Wolski wstał. Powłócząc nogami, skierował się posłusznie w stronę drzwi. Milicjant podtrzymywał go za ramię, aby nie upadł. Szczęsny poszedł za nimi. Gdy dochodzili do schodów, z któregoś pokoju wychodził właśnie, już w płaszczu i czapce, sierżant Witecki. Spojrzał na aresztowanego, drgnął. Podszedł bliżej. Wolski bezwiednie zatrzymał się.

- Obywatelu majorze! - powiedział sierżant nieswoim głosem. Usta mu zadrgały.

Wolski patrzał na niego, jakby nie wiedząc, do kogo to było powiedziane. Raptem Witecki przyłożył palce do czapki i zasalutował. Wzrok inżyniera dojrzał ten salut. Wtedy zrozumiał. Wargi skrzywiły mu się w ironicznym uśmiechu. Pokiwał głową i odwrócił się szorstkim ruchem w stronę schodów.Witecki pozostał na korytarzu, ręka opadła mu w dół. Chwilę patrzał za oddalającymi się postaciami. Potem zaczął długo i brzydko kląć.

Czarne oczy Szczęsnego bacznie obserwowały tę scenę.

Kilka minut po ósmej w gabinecie szefa wydziału dochodzeniowego wszystko było już przygotowane. Prokurator dzielnicy Żelecki, młody, o ostrej twarzy i rozumnych oczach, pierwsze przesłuchanie chciał przeprowadzić w Komendzie Miasta, przy współudziale Daniłowicza i Szczęsnego.

Usiadł za biurkiem, raz jeszcze przerzucił niektóre notatki, podkreślił coś czerwonym ołówkiem i położył obok lampy zawinięty w gazetę pistolet SauerSohn, znaleziony w kanale. Ekspertyza, wykonana w Zakładzie Kryminalistyki, wykazała, że Okołowicza zabito z tego pistoletu.

Przy bocznym stole zajął miejsce protokołujący chorąży Cieślik. Major siadł z boku, Szczęsny zajął swe ulubione miejsce pod oknem. Prokurator spojrzał na zegarek, potem na majora i powiedział: - No, to zaczniemy.

Nacisnął guzik na biurku. W chwilę potem milicjant wprowadził inżyniera Wolskiego. Prokurator wskazał mu miejsce i rozpoczął od urzędowych pytań o nazwisko, adres, wiek i tak dalej. Wolski odpowiadał spokojnie, dokładnie. Tylko lewa ręka drgała mu co chwila nerwowo.

- Tak... - Żelecki zakończył wypytywanie o personalia i od razu przeszedł do sedna sprawy. - Wczoraj przyznał się pan do zabójstwa, dokonanego na osobie kierownika 17 Wydziału Finansowego, Stanisława Okołowicza. Czy pan to potwierdza?

- Potwierdzam - odparł inżynier. Lewa ręka drgnęła mu mocniej, przytrzymał ją nieznacznie prawą.

- Dlaczego pan go zabił?

- Myślę - rzekł Wolski bardzo spokojnie - że zrobiłem to pod wpływem ataku nerwowego, którym ulegam od czasu wojny. Nie przyszedłem do Okołowicza, aby go zabić. Miałem do niego pewną sprawę... osobistą. W pewnej chwili zaczęliśmy się sprzeczać. Uniosłem się i... - urwał, odetchnął mocniej i powtórzył: - Nie chciałem go zabić.

- No dobrze - powiedział prokurator z pewnym zniecierpliwieniem. - A kiedy pan już ochłonął i zobaczył, co się stało, dlaczego nie próbował go pan ratować? Może Okołowicz żył jeszcze?

- Nie wiem. Ja wybiegłem od razu z willi do...

- Chwileczkę! - przerwał mu nagle Szczęsny. - Czy wybiegając, zostawił pan za sobą otwartą furtkę czy zamkniętą?

Wolski zawahał się, przymknął oczy, jak by usiłując sobie przypomnieć tamten wieczór.

- Nie jestem pewien, ale myślę, że otwartą. W stanie, w jakim się wówczas znajdowałem, nie myślałem na pewno o zamykaniu drzwi czy furtek. Pobiegłem do postoju taksówek, ale nie pojechałem... nie wiem, dlaczego. Wróciłem pieszo do domu. Zapakowałem rzeczy do walizki. Wczesnym rankiem wyszedłem na dworzec. Chciałem wyjechać, aby odgrodzić się choć na jeden dzień od tamtej chwili. Myślałem... miałem nadzieję, że on żyje. Wyjechałem do Nidzicy, mam tam znajomego lekarza. W dwa dni później zobaczyłem w gazecie warszawskiej nekrolog. Wtedy zrozumiałem, że go jednak zabiłem. Wiedziałem, że prędzej czy później zostanę aresztowany, ale chciałem to odwlec. Teraz mi już właściwie wszystko jedno.

Umilkł. Patrzył gdzieś w bok, twarz jego była trupio blada. Protokolant kończył spiesznie ostatnie zdanie, po czym złamał ołówek, zaklął cicho i sięgnął po inny.

- A kiedy zabrał pan z biurka dokumenty? - spytał Daniłowicz, kreśląc coś na kawałku papieru.

- Miałem je przy sobie - odparł Wolski. W głosie jego było lekkie zdziwienie.

- Ja nie pytam o dowód osobisty czy książeczkę wojskową, ale o dokumenty urzędowe należące do Centralnego Zarządu, w którym pan pracował. Umowy, rozliczenia, projekty fabryki.- Nie zabierałem ze sobą nic urzędowego. Po co? Nie trzymam nigdy tych rzeczy w domu, tylko w biurku, w Zarządzie.

- I w poniedziałek, wychodząc z Zarządu, zostawił pan w swoim biurku te wszystkie dokumenty, o których mówiłem?

- Naturalnie. Biurko zamknąłem jak zwykle na klucz, który - pomacał się mimowolnym ruchem po kieszeni i opuścił rękę. - Wszystkie rzeczy odebrano mi podczas aresztowania. Tam powinien być i klucz od biurka.

Daniłowicz rzucił przelotne spojrzenie na Szczęsnego, który przytwierdził ruchem powiek.

- Więc mówi pan - podjął przesłuchanie prokurator - że wyjeżdżał bez tych dokumentów. W jaki sposób wytłumaczy pan wobec tego fakt, że komisja otwierając pańskie biurko nie znalazła żadnych, tak ważnych dla Zarządu, papierów?

Wolski wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Nie rozumiem tego. Na co mi te papiery? I kiedy bym je zabierał? Wtedy, w nocy? Nonsens.

- Dobrze. Zostawmy na razie sprawę dokumentów. Co pan zrobił z pistoletem?

- Z czym?

- Mówię wyraźnie: z pistoletem, z którego zastrzelił pan Okołowicza.

Wolski zamrugał powiekami, jak człowiek, który budzi się ze snu. Przez dłuższą chwilę patrzał na prokuratora nieprzytomnym wzrokiem. Szczęsny podszedł bliżej, wpatrując się natarczywie w inżyniera.

- Przecież ja go nie zastrzeliłem! - powiedział wreszcie Wolski ochrypłym głosem. - Uderzyłem przyciskiem.

Zapadła cisza. Żelecki zmarszczył brwi. - Proszę opowiedzieć, jak to się odbyło. Po kolei, dokładnie.

- Rozmawialiśmy. Wybuchła kłótnia. W pewnej chwili poczułem, jak wzbiera we mnie po prostu wściekłość. Prawdę mówiąc, nie było o co... stare sprawy, jeszcze sprzed

wojny. Ale czasami to we mnie nagle narasta... nie wiem, lekarz mówił, że...- Jak się nazywa ten lekarz? - przerwał znowu Biały Kapitan.

- Badek. Psychiatra.

- Kto go panu polecił?

- Dyrektor Lewiecki, mój szef. Mój były szef - poprawił się bez uśmiechu. - Zwierzyłem mu się kiedyś z ataków nerwowych, więc zaprosił mnie właśnie do doktora Badka. Lekarz mówił, że to jest uleczalne, ale wymaga długotrwałej kuracji. Dostałem jakieś zastrzyki, trochę przeszło. Potem znowu...

- Więc gdy poczuł pan wtedy ten gniew, to co pan zrobił dalej? - spytał prokurator.

- Chwyciłem pierwszy z brzegu przedmiot. Był to marmurowy ciężki przycisk. Uderzyłem Okołowicza w głowę.

- Staliście wtedy obaj czy tylko on stał?

- Staliśmy, on przy biurku. Uderzyłem. Upadł na fotel, a potem... głowa mu opadła na biurko. Nie ruszał się. Wtedy wybiegłem z willi na ulicę.

- Jak pan był ubrany?

- Byłem w płaszczu, w którym mnie tu przywieźli. Szare ubranie. Nie miałem kapelusza.

- Siedział pan w płaszczu w pokoju? - mimo woli zdziwił się major.

- Przyszedłem tylko na chwilę i... właściwie od pierwszych zdań zaczęliśmy się spierać.

- Czy lampa nad zewnętrznymi schodkami do willi była zapalona? - spytał Szczęsny. - Niech pan się postara przypomnieć to sobie. Czy wybiegał pan w ciemność, czy w oświetloną przestrzeń?

- Było ciemno.

- Dlatego pan się przewrócił, prawda?

- Nie przewróciłem się.

Kapitan podszedł bliżej i lekkim ruchem odgarnął Wolskiemu włosy z czoła. Ten żachnął się i odsunął.

- Nie przewrócił się pan na schodkach? Ani na płycie chodnika?

- Nie. Zresztą, nie pamiętam.

- I był pan w szarym ubraniu? A może w brązowym?- Nie mam w ogóle brązo... - Wolski urwał.

- Wisi w pańskiej szafie - powiedział kapitan tonem wyrzutu. - Niech pan mówi tylko prawdę. Wiemy o tej całej sprawie więcej, niż się panu zdaje.

- Więc pan twierdzi - zaczął prokurator z namysłem - że po uderzeniu Okołowicza wybiegł pan z willi. Chyba było nieco inaczej. Rzeczywiście pan go uderzył, ale tylko ogłuszył. Nie chcąc zabijać przyciskiem - narzędzie mordu, jak dla byłego wojskowego, niezbyt szlachetne - chwycił pan pistolet, który Okołowicz miał w otwartej szufladzie biurka i strzelił, a potem uciekł.

Wolski zerwał się tak gwałtownie, że krzesło upadło na podłogę. Prokurator cofnął się w fotelu. Chorąży Cieślak rzucił ołówek i sięgnął do prawego boku. Major i Szczęsny nie drgnęli.

- Jak? - wyszeptał inżynier rozdygotanymi wargami. - Jak pan powiedział?

- Powiedziałem, że chwycił pan z biurka pistolet i strzelił, a potem uciekł - powtórzył Żelecki wolno i wyraźnie.

- Jezus Maria! - inżynier chwycił się za głowę. - Ludzie, ja... ludzie, ludzie!! - zaczął powtarzać coraz głośniej, aż głos przeszedł w krzyk. Nagle rzucił się w stronę okna, ale mocny chwyt ręki Białego Kapitana unieruchomił go. Krzyk zmienił się w wycie. Do gabinetu wpadł wystraszony Kręglewski i jeszcze któryś z oficerów. Na środku pokoju Szczęsny całą siłą swych muskularnych ramion powstrzymywał wijące się w jego rękach ciało Wolskiego. Był to bardzo ciężki atak nerwowy. Po chwili wbiegł wezwany lekarz, zrobił zastrzyk i wzruszył ramionami: - Za godzinę będzie zdrów. Połóżcie go w ambulatorium - zwrócił się do dwóch milicjantów. I wyszedł za nimi wraz z prokuratorem, który przerwał przesłuchanie.

- Ufff! - Daniłowicz wyciągnął chustkę i otarł pot z czoła. - Nie lubię tego. Psiakrew, rzygać się chce. - Sięgnął po papierosa. - No? - rzucił w stronę Szczęsnego, który stał na środku pokoju, rozcierając zaczerwienione palce. - Gadaj coś. Ale najpierw otwórz okno. Śmierdzi tu histerią. - Podniósł słuchawkę. - Kapralu, skombinujcie tam jakieśdwie duże kawy... Nie, zwyczajnie. To dla nas, nie dla gości... Może być w kubkach, co za różnica. Aby była mocna.

- Niewątpliwie on jest chory nerwowo - powiedział Biały Kapitan otwierając szeroko okno.

- Albo symuluje. Albo jedno i drugie, rozumiesz? Ponieważ wiemy już o jego chorobie, w niewygodnych momentach „dostaje" ataku.

- Nie. To nie była symulacja. Myślę, że uderzając Okołowicza stracił świadomość tego, co robi, prócz jednego: chce zabić, zemścić się za coś. Mieli przecież ze sobą, jak mówił, jakieś stare porachunki. Zobaczył pistolet w otwartej szufladzie - broń to dla

wojskowego bliska rzecz, znajoma... Strzelił i uciekł. Odzyskał świadomość dopiero gdzieś na postoju taksówek albo jeszcze później.

- A pistolet? Robotnicy znaleźli go w kanale na Filtrowej. To kawał drogi od willi. Wyrzucił go, zobaczywszy, co ma w ręku? A raczej chyba w kieszeni, bo z bronią w ręku nie łaziłby po ulicy.

- Nie wiem. Może wyrzucił ją, nie rozumiejąc, skąd się wzięła, przerażony i zdezorientowany tym wszystkim. Wyobraź sobie, Stefan, że tracisz w pewnej chwili świadomość czynów i nagle budzisz się z tego gdzieś na ulicy, z pistoletem w kieszeni, nie mając pojęcia, skąd on się tam wziął. Pamiętasz tylko, że w ataku gniewu uderzyłeś twego znajomego w głowę. Nie wiesz, co było potem. Dotykasz ręką włosów i na palcach zostaje ci trochę krwi. Skaleczyłeś się, ale nie pamiętasz uderzenia ani upadku. Ogarnia cię strach: co tam się właściwie stało? Chciałbyś wrócić do willi, aby się przekonać, ale nie masz odwagi. Wracasz więc do domu i resztę nocy bijesz się z myślami, co robić dalej. W końcu zdecydowałeś się na wyjazd gdzieś na prowincję, póki sprawa się nie wyjaśni. Wczesnym rankiem wyjeżdżasz do Nidzicy, gdzie mieszka twój dawny kumpel, kolega z wojska czy krewny, diabli go wiedzą. Zwierzasz mu się z całej historii, bo nie masz innego wyjścia. Naradzacie się, co robić. W najlepszym wypadku grozi ci pięć - sześć lat za zabójstwo w afekcie. Gdyby cwaniak adwokat wybronił cię, bo jesteś niepoczytalny, czekacię utrata posady pod byle pretekstem. Gdybyś siedział, po wyjściu czekają cię poważne trudności z otrzymaniem pracy. Wiesz, jak to jest z byłymi więźniami. Zresztą każdy się boi mordercy. To słowo i tak przylgnie do niego, rozumiesz, Stefan? Choćby go usprawiedliwiła choroba nerwowa. Tym gorzej nawet: morderca i wariat. Jednym słowem, facet dla wszystkich niepożądany.

Szczęsny umilkł, dokończył kawę i sięgnął po świeżą paczkę mazurów, dla których ostatnio porzucił giewonty.

- Powiedzmy, że Wolski decyduje się na ucieczkę za granicę - ciągnął dalej. - Ale do tego potrzebne są pieniądze, i to dużo. Albo coś, co w pewnym choćby stopniu zagwarantuje mu tam możność egzystencji. W ostatnich latach ludzie przekonali się, że uciekinierów z Polski wcale za granicą nie witają z otwartymi ramionami... Wolski decyduje się więc najpierw na powrót do Warszawy, po papiery, które ma zamknięte w swoim biurku. Jest to wielkie ryzyko, ale obaj nie widzą innego wyjścia. Kolega lekarz przewiązuje mu głowę i część twarzy, co wprawdzie zwraca uwagę, ale utrudnia rozpoznanie. Drobna uwaga: to zadraśnięcie, które miał na czole, wcale nie wymagało bandaża. Wolski wyjeżdża. Zabiera

papiery i przy okazji przekonuje się, że widocznie jeszcze milicja go nie podejrzewa, bo woźny Sarski nie okazuje żadnego specjalnego zdziwienia ani strachu. Więc...

- Wraca do Nidzicy i wpada w nasze ręce - dokończył major. - To już wiemy. Nie podoba mi się wersja z zagranicą. Trzeba ściągnąć tego lekarza, u którego on się zatrzymał. - Ujął za słuchawkę i wydał kilka poleceń, po czym zwrócił się znowu w stronę Szczęsnego. - No i co dalej? Za parę dni znów się wyprawia do Warszawy, aby z kolei zabić Nowaka?

- Nowaka nie zabił Wolski. To był ktoś, kto kapitalnie wykorzystał tę sprawę dla swoich porachunków. Albo dla zrobienia kariery.

Zapukano do drzwi. Wszedł porucznik Kręglewski.

- Ustaliłem - powiedział bez wstępów - z kim spotkał się Zabielski owej nocy na dworcu głównym. To nie był żaden przyjezdny, który wyjechał później w nieznane, tylko inspektor Nowak.

Daniłowicz i Szczęsny spojrzeli na małego porucznika ze zdziwieniem.

- Nowak? - powtórzył Biały Kapitan, marszcząc brwi. - Nie wiesz, po co się tam spotkali?

- Wiem - odparł Kręglewski z odrobiną dumy w głosie. - Zabielski kupuje „na lewo" zagraniczne zegarki i ich części, które potem montuje w swoim warsztacie. Nowak pośredniczył w tych transakcjach. Spotkali się właśnie na dworcu, a nie w kawiarni, żeby nie ściągać podejrzenia. Dworzec, zwłaszcza w nocy, pełen jest...

- Wiemy, co jest w nocy na dworcu - przerwał major niecierpliwie. - Chodzi mi o co innego: czy Zabielski miał powód, dla którego chciał wykończyć swego pośrednika.

Kręglewski gryzł przez chwilę dolną wargę, medytując nad czymś usilnie. Nozdrza jego niedużego, lekko zadartego nosa drgały jak u psa, który „łapie wiatr".

- Cholera go wie - powiedział wreszcie, bez żadnego respektu dla zwierzchnika. - Rozmowa na dworcu była krótka, ale dość gwałtowna. Zabielski wrócił po niej mocno zdenerwowany, o czym mówił Trześniak, czwarty do brydża.

- Sielnicki - rzekł nagle Szczęsny, ujmując za słuchawkę.

- Co za Sielnicki? - Daniłowicz nie lubił skrótów myślowych.

- Inspektor z 17 Wydziału Finansowego. Kontroluje warsztat Zabielskiego - wyjaśnił Kręglewski. - Mówiłem już z nim, podobno wszystko w porządku. Może Inspektorat KontrolnoRewizyjny będzie coś wiedział.

- Nie ma go - Szczęsny odłożył słuchawkę. - Kazik, Sielnicki musi coś wiedzieć, więc albo kryje Zabielskiego, albo jest skończonym osłem. Pogadaj z Kowalewskim w

Inspektoracie KR. A ja... - urwał. Do gabinetu milicjant wprowadzał Wolskiego. Za nimi szedł prokurator.

- Kontynuujemy przesłuchanie - rzekł cierpko. - Podejrzany czuje się na tyle dobrze, że może odpowiadać na py tania.

W dwa dni później, w tym samym gabinecie, naprzeciwko biurka zajął miejsce doktor Edmund Lisiecki z Nidzicy, mocno posiwiały, przygarbiony pan o twarzy spłowiałej i pełnej zmarszczek.

- Byłem przyjacielem rodziców Zbyszka Wolskiego - powiedział na wstępie - jego samego znam od małego dziecka i mówię z góry, że nie dowiecie się ode mnie nic, co by mogło mu zaszkodzić.

- Czyli stwierdza pan tym samym, doktorze, istnienie czegoś, co trzeba zataić, bo by go obciążało, tak? - podchwycił prokurator.

Lekarz zmieszał się.

- Nic podobnego - odparł. - Chciałem powiedzieć, że gdyby coś takiego istniało, ja bym o tym nie powiedział.

Dojrzał w oczach Żeleckiego błysk ironicznego uśmiechu i zrozumiał, że zaszkodził Wolskiemu już tym pierwszym, niezręcznym zdaniem. Przygryzł wargi, klnąc w duchu wszystkich prokuratorów.

- Kiedy inżynier Wolski do pana przyjechał? - spytał Żelecki udając, że nie zauważył zmieszania lekarza.

- We wtorek, pierwszego czerwca. Późnym popołudniem.

- Czym wytłumaczył ten swój nagły przyjazd?

- Wcale nie tłumaczył. Jestem jego przyjacielem i może mnie odwiedzić w każdej chwili, bez potrzeby bliższych wyjaśnień.

- Jest pan lekarzem; czy nie zauważył pan u niego stanu podniecenia nerwowego? Niepokoju?

- Zawsze był nerwowy. A o tej porze roku wszyscy ludzie pracy są zmęczeni i zdenerwowani, bo dopiero wybierają się na urlop.- Więc twierdzi pan, że inżynier Wolski był taki, jak zwykle?

Doktor Lisiecki zawahał się przez parę sekund.

- Zbyszek był kontuzjowany w czasie działań wojennych - odparł - i ranny w głowę. Od tego czasu miewa okresowo stany wzmożonego zdenerwowania, gdy jest przemęczony. Z natury jest impulsywny. Otwarta, szczera natura, panie prokuratorze! Mógł uderzyć w porywie gniewu, ale zabić?

- Zabić można doskonale jednym uderzeniem - rzucił niecierpliwie Żelecki. - Nie wiedział pan o tym, panie doktorze?

- Ale nie strzelił w plecy! - krzyknął stary lekarz, trzęsąc się z oburzenia. - Zbyszek nie jest tchórzem. Gdyby chciał go zabić, to by strzelił prostu w twarz. I gdyby to zrobił, to by nie ukrywał. To by... - urwał.

- No, przecież właśnie u pana się ukrywał - odparł prokurator ze znużeniem w głosie. - Zabił i uciekł, prosta sprawa. Znalazła go milicja. Sam się nie zgłosił. Nie ma pan racji.

- Mam. Mnie chodzi o to, że gdyby go zastrzelił, to by powiedział: zastrzeliłem. A on mówi, że go tylko uderzył przyciskiem. Panowie twierdzą, że ten kierownik został zastrzelony. Prosta sprawa: inżynier Wolski go nie zabił.

- Tylko kto? Tajemniczy morderca, który czyhał za oknem i po wyjściu inżyniera zrobił pifpaf, tak? - spytał drwiąco Żelecki. - Panie doktorze, rozumiem, że u pana grają rolę pobudki uczuciowe, przywiązanie do rodziców Wolskiego itede. Ale my musimy myśleć logicznie i obiektywnie. Inżynier twierdzi, że do willi przyszedł sam, że wiedział, iż kierownik posiada pistolet i trzyma go w otwartym biurku...

- Jak to, powiedział o tym? - przerwał mu gwałtownie Lisiecki. - Cóż za idiota!

- Tak - prokurator popatrzał na lekarza i pokiwał głową. - Przecież sam pan mówił, że to taka szczera, otwarta natura... No i jak ja mam z panem dalej rozmawiać, doktorze? Czy będzie pan mówił prawdę, czy tylkoto, co - według pana słów - nie zaszkodzi inżynierowi Wolskiemu?

- Wcale nie będzie pan ze mną rozmawiał, bo ja już nic więcej nie powiem - odparł lekarz z zaciętością w głosie. I dotrzymał słowa. Nie odpowiedział już na żadne pytanie, milcząc z uporem i tylko obrzucając prokuratora raz po raz nieprzyjaznym spojrzeniem.

Żelecki wzruszył ramionami i popatrzył na Daniłowicza wymownie. Ten machnął ręką. Prokurator nacisnął dzwonek.

- Proszę wprowadzić podejrzanego - powiedział, ocierając pot z czoła. Dzień był gorący, słońce zalewało pokój. Szczęsny wstał i zaciągnął zasłony.

Wszedł Wolski. Stary lekarz, nie pytając o zezwolenie, podbiegł do niego i uścisnął serdecznie, mimo oporu eskortującego milicjanta.

- Źle wyglądasz, Zbyszku - szepnął z troską. - Głodzą cię tu pewnie. Czy mogę mu podać paczkę żywnościową? - zwrócił się oficjalnym tonem do oficerów.

- Nie jestem głodny - powiedział Wolski, uprzedzając odpowiedź. - Nie trzeba żadnych paczek.

Zajął krzesło przed biurkiem, zgarbił się i milcząc patrzał gdzieś w kąt pokoju.

- Proszę wprowadzić kierowców - rzekł prokurator do milicjanta. - Doktor Lisiecki niech poczeka na dole.

Weszło dwóch mężczyzn. Stanęli w progu, lekko nadrabiając miną. Mieli czyste sumienie, lecz atmosfera gabinetu podziałała na nich trochę przygnębiająco. Wyższy spojrzał na Wolskiego, trącił drugiego w bok i pokazał mu oczami inżyniera. Niższy wzruszył ramionami i potrząsnął przecząco głową.

- Panowie jesteście kierowcami miejskich taksówek? - spytał dla formalności prokurator.

- Tak jest - odparł wyższy.

- Poznajecie tego obywatela? - wskazał na inżyniera.

- Żeby tak na mur, to nie powiem - odezwał się wyższy po chwili namysłu. - Noc była, i po prawdzie, to wiele się nie przyglądałem. Ale podobny jest do tego, co w nocy na pierwszego czerwca chciał wsiąść do mojego wozu.- I wsiadł?

- Nie, rozmyślił się. No, ja to już z pięć razy mówiłem, na milicji. Co tam ciągle w kółko...

- A pan poznaje? - zwrócił się prokurator do drugiego kierowcy.

- Nie. Może to ten, a może i nie. Tylu pasażerów co dzień wożę. Kto by ich tam pamiętał.

- Dziękuję, to wystarczy. Proszę wyprowadzić... Proszę wprowadzić obywatelkę Kretz.

Kapitan Szczęsny szybko zapalił papierosa i otoczył się kłębami dymu. Daniłowicz spojrzał na wchodzącą, potem rzucił przelotne spojrzenie na śniadą twarz Szczęsnego, która pokryła się ledwo dostrzegalnym rumieńcem, i uśmiechnął się.

- Pani Danuta Kretz? - spytał prokurator, wskazując jej krzesło. Bezwiednie przygładził włosy i sięgnął po krawat, który wisiał na poręczy.

Ale Danuta Kretz nie patrzała ani na prokuratora, ani na żadnego z oficerów. Stała nieruchomo na środku pokoju, wpatrując się w przygarbioną sylwetkę Wolskiego. Inżynier odczuł widać ten natarczywy wzrok, bo uniósł głowę. Oczy ich spotkały się. I nagle piękna sprzedawczyni zbladła, cofnęła się o krok, zacisnęła ręce na białej plastykowej torebce.

- To jest ten człowiek - powiedziała niskim, ochrypłym głosem łamiącym się ze wzruszenia. - Ja go poznaję!

- Jaki człowiek? - spytał prokurator, zapominając o krawacie.

- On był tamtej nocy w naszej willi. Wybiegł przez furtkę, był w jasnym płaszczu... To on zabił Okołowicza! - krzyknęła nagle przeraźliwie, aż chorąży Cieślak wzdrygnął się i złamał znowu ołówek.

- Spokojnie - Żelecki postukał ołówkiem w biurko. - Niech pani siada. Na jakiej podstawie twierdzi pani, że inżynier Wolski zabił Okołowicza?

- On był wtedy u niego, późnym wieczorem, kłócili się, potem zastrzelił go i wybiegł - widziałam, jak biegł od furtki... to na pewno on, nikogo więcej nie było!- Chwileczkę - powiedział Szczęsny, podchodząc do pani Kretz. - Słyszała pani kłótnię? Jakieś podniesione głosy?

- Tak.

- Czyje głosy?

- Okołowicza i jego - wskazała ruchem głowy na nieruchomo siedzącego inżyniera.

- Od jak dawna zna pani inżyniera Wolskiego?

- Odkąd zaczął przychodzić do willi. Nie znam go osobiście, ale spotykałam parokrotnie w hallu.

- Czy pan zna tę panią? - zwrócił się prokurator do Wolskiego.

Wolno odwrócił twarz w jej kierunku. Spod opuchniętych, zaczerwienionych powiek długim, zmęczonym spojrzeniem obrzucił sylwetkę Danuty Kretz. Potem z wysiłkiem potrząsnął głową.

- Nie znam - odparł cicho, lecz wyraźnie.

- Nigdy jej pan przedtem nie widział? Chwila milczenia.

- Nie.

- Nie spotykał pan jej, przychodząc do kierownika Okołowicza? Przecież słyszał pan, co ta pani przed chwilą powiedziała: że widywała pana w hallu.

Wolski wzruszył ramionami.

- Możliwe. Nie pamiętam.

- Chwileczkę - zwrócił się Szczęsny do Danuty - skąd pani wobec tego wie, że ten pan to właśnie inżynier Wolski?

- Okołowicz mi powiedział - odparła bez wahania. - Pytałam go kiedyś, kto to jest ten, mrukliwy, dziwny człowiek, co się czasem tak zachowuje, jakby... - urwała wymownie.

Ramiona Wolskiego drgnęły. Nisko opuścił głowę.

- To znaczy: jak się zachowuje? - spytał prokurator, zły, że musi zadać to pytanie.

- Mój Boże - w głosie jej było trochę współczucia. - Mówi do siebie, patrzy, jakby nikogo nie widział, gestykuluje. Oczy miał czasami jak nieprzytomne. Pytałam nawet Okołowicza, czy ten jego znajomy nie jest chory.

- I co odpowiedział?- Że to widocznie pozostałość po kontuzji i ranie z czasów wojny.

- Tak... - prokurator spojrzał na oficerów, a widząc, że nie zdradzają chęci dalszego przesłuchiwania, polecił wyprowadzić sprzedawczynię, co milicjant uczynił nader skwapliwie.

- Panie inżynierze - Żelecki wstał, przeszedł się parę razy po gabinecie i zatrzymał tuż przed siedzącym, usiłując napotkać jego wzrok. - Doprawdy, chciałbym bardzo usłyszeć wreszcie od pana całą prawdę. Doskonale rozumiem, że uraz, jaki odniósł pan na wojnie, mógł spowodować u pana Okresowe stany... hm, braku świadomości, pewnej hypomnezji - to znaczy, osłabienia pamięci. W stanie chwilowej utraty przytomności czy też zamroczenia traci się zdolność zapamiętania faktów, jakie w tym czasie zaszły. Wskutek tego człowiek nie jest później w stanie przypomnieć sobie, co się właściwie stało. Pan przecież wie, że u pana takie stany się zdarzały...

- Nie! - powiedział nagle Wolski bardzo stanowczo. - Niech pan nie robi ze mnie wariata. Zdarzało się, że pod wpływem wyjątkowo przykrych okoliczności traciłem opanowanie, siłę woli. Ale nigdy nie traciłem świadomości swych czynów! Nigdy. Słyszy pan? Pamiętam doskonale, że uderzywszy Okołowicza, wybiegłem z willi.

- I nie wrócił pan do niej? - szybko zapytał prokurator.

- Nie. Poszedłem do domu.

- Ale pańscy gospodarze twierdzą, że do domu przyszedł pan gdzieś około drugiej nad ranem. Więc co pan robił przez ten cały czas?

Wolski potarł czoło i przymknął oczy.

- Chodziłem po ulicach - odparł, ale z mniejszą pewnością w głosie.

- Po co?

- Którymi ulicami pan chodził? - wtrącił Szczęsny.

- Szedłem... chyba Filtrową. Nie, nie Filtrową - poprawił się zaraz. - Alejami Ujazdowskimi, Belwederską... i po parku.

- Parki o tej porze są zamknięte. Jakie ubranie miał pan na sobie tego wieczoru?- Brązowe. Nie, szare. Nie pamiętam.

- I nie uderzył pan się o płytę chodnika przed willą, kiedy pan z niej wybiegał?

- Nie.

- A przecież miał pan skaleczone czoło tej nocy.

- Widocznie gdzieś... zresztą, może i upadłem na chodniku. Tam było ciemno.

- A jak pan wrócił do willi, nie spotkał pan Zabielskiego?

- Nie. Nikogo nie spot... Przecież ja wcale nie wracałem! - wybuchnął z gniewem i zacisnął palce, aż pobielały kostki u rąk.

- Zna pan ten typ broni? - prokurator podsunął mu leżący na biurku pistolet.

Wolski spojrzał niechętnie, ale odruchowo wziął pistolet do ręki. Obejrzał pobieżnie, na chwilę twarz jego przybrała wyraz normalnego zainteresowania.

- Sauerka - mruknął, odkładając broń z powrotem. -7,65. Miałem taki... - umilkł. Wszystko, co powiedział, świadczyło przeciw niemu i obecni zdawali sobie z tego sprawę.

- Dlaczego pan zabił takiego wartościowego, porządnego człowieka - rzekł nagle Daniłowicz ze szczerym wyrzutem. - Porachunków osobistych nie załatwia się pistoletem. Cokolwiek by między wami było.

Po długim milczeniu, którego nikt z przesłuchujących umyślnie nie przerywał, inżynier wyprostował się na krześle i spojrzał na prokuratora. Twarz jego wyrażała teraz jakieś postanowienie.

- Może to wy macie rację - powiedział cicho. - Może ja rzeczywiście straciłem wówczas świadomość. Nie pamiętam przecież niektórych szczegółów, plączę je... Jedno wiem na pewno: ja nie chciałem zabić Okołowicza. Tego jestem pewien. I jeżeli to się stało, to bez udziału mojej woli. Nie jestem zbrodniarzem. Jestem - tu uśmiechnął się ironicznie - zabójcą „mimo woli”... I tak mnie sądźcie. A teraz proszę mi już dać spokój.

- Dobrze - odparł trochę niepewnym tonem prokurator. - Proszę odprowadzić aresztowanego.Gdy wyprowadzono inżyniera, major i Żelecki spojrzeli na siebie, przy czym prokurator gniewnie zmarszczył nos.

- Wcale mi się to wszystko nie podoba - mruknął Daniłowicz, pakując ręce w kieszenie spodni.

- Artykuł siedemnasty albo osiemnasty - westchnął Żelecki, sięgając po krawat. - „Zakłócenie czynności psychicznych”. Zwolnią go. Przy siedemnastce otrzyma najwyżej rok, dwa. Z zawieszeniem. Za jakiś czas znów dostanie ataku i zabije następną ofiarę. Jaką pan mi da gwarancję, że tak się nie stanie? - stanął przed majorem i uśmiechnął się drwiąco. - Do nas należy ochraniać obywateli przed ludźmi, którzy „nie wiedzą, co czynią”.

- No to go wpakujcie do Tworek i spokój! - rzucił major opryskliwie. - W każdym razie na obserwację.

- Oczywiście, że tak zrobię. Muszę mieć opinię specjalistów.

- Bzdura! - wybuchnął nagle Szczęsny. - Przecież ten człowiek od czternastu lat normalnie i wydajnie pracuje, załatwia szereg transakcji handlowych, jest całkowicie przytomny i normalny.

- I całkowicie przytomnie zabija, tak? Kapitanie, ktoś z nas tutaj musi myśleć logicznie.

- Właśnie to robię. Wmówiliście mu, że jest nienormalny i uwierzył wam.

- Kto wmówił? - krzyknął prokurator. - Ja?

- Pan!

- Kapitanie! Żebym nie zapomniał o...

- Cicho! - mocny bas Daniłowicza zagłuszył obu. Wymownym ruchem major pokazał na chorążego, który z przejęciem, ale dziwnie powoli zbierał swoje kartki i ołówki. Prokurator sapnął i odwrócił się tyłem. Szczęsny nerwowo zapalał papierosa. Oczy miał jak czarne, żarzące się bryłki węgla.

- O co chodzi? - mitygował ich Daniłowicz. - Prosta sprawa. Wolskiego absolutnie trzeba wysłać na obserwację, nie ma dwóch zdań. Czego się rzucasz? - to odnosiło się do Szczęsnego.

- Idź do diabła - warknął cicho Biały Kapitan. Major przyglądał mu się ze zdziwieniem. Dawno nie widział swego zastępcy w stanie takiego wzburzenia. Próbował skojarzyć pewne fakty, ale nie dawało to rezultatu.

- Przepraszam cię, Stefan - usłyszał po chwili. Pokwitował przeprosiny krótkim mruknięciem. Był jedynie zaciekawiony.

- „Ofiarę”... - było w tym słowie tyle ironii, na ile tylko było stać kapitana. - „Następną ofiarę”. To się jeszcze okaże, kto tu jest naprawdę ofiarą!

I mruknąwszy „do widzenia”, wyszedł z gabinetu.

- No, czego jeszcze sterczycie?! - krzyknął Daniłowicz do chorążego, który w ciągu dwu sekund znalazł się na korytarzu. - Widzi pan, prokuratorze... - zaczął, gładząc się po siwiejącej czuprynie. - Prawdę mówiąc, to i ja nie jestem w stu procentach przekonany, że Wolski zabił.

- No, więc kto? Duch święty? Proszę bardzo, znajdźcie tę tajemniczą osobę, która strzeliła do Okołowicza i zdematerializowała się. Czy był jakikolwiek ślad, wskazujący na to, że prócz Wolskiego przyszedł tej nocy jeszcze ktoś inny? Nie. Prawda? No widzi pan. Więc to jest tylko hipoteza kapitana Szczęsnego. Na tym nie możemy się opierać. Wolski tam był, Wolski uderzył, nitki z jego ubrania znaleziono na krzaku róży, on miał porachunki z Okołowiczem, analiza wykazała ten sam typ włosów, co na znalezionym skrzepie, w dodatku

chorych na grzybicę; wreszcie, Wolski to człowiek chory psychicznie, ulegający atakom szału...

- To za mocne. Powiedzmy, że wybuchom gniewu, którego nie potrafi opanować.

- A według mnie, i utracie świadomości, na pewien czas. Zresztą, to rzecz lekarzy. Obserwacja musi potrwać ze trzy tygodnie. Potem zobaczymy, co się da zrobić. Ja w każdym razie przesłucham skrupulatnie wszystkich mieszkańców willi, wezmę pod uwagę wszelkie okoliczności i możliwości.

- Zabielskiego kazał pan zatrzymać?

- Tak. Zbyt niewyraźne jest to spotkanie na dworcu, rzekomo ze znajomym, który potem odjechał, a w rzeczywistości z Nowakiem. Chyba że wasi wywiadowcy coś pokręcili.Major chrząknął lekko, ale nic nie powiedział.

- Zabójstwo Nowaka - ciągnął dalej Żelecki, zamykając teczkę - to odrębna sprawa. Nie obciążałbym tym Wolskiego. Być może, że zrobiła to jedna z licznych kochanek inspektora.

- Sąsiedzi widzieli tej nocy kogoś, kto z rysopisu bardzo przypomina inżyniera Wolskiego. Ale i mnie się nie chce wierzyć, aby on tak kursował wte i wewte, między Nidzicą a Warszawą... To byłoby ogromne ryzyko. Chyba że wróciwszy po dokumenty, pozostał w Warszawie aż do drugiego zabójstwa. To by się nawet zgadzało z pańską teorią o następnej ofierze.

Był wieczór. W „Delikatesach" na Marszałkowskiej tłoczyły się przy ladach ostatnie, spóźnione kolejki. Zmęczone ekspedientki w stoiskach z wędlinami zdejmowały z haków resztki „myśliwskiej" i Jałowcowej". W garmażeryjnym, na dole, była już tylko gęś i konserwy. W owocowym sprzedawano jeszcze truskawki. Nad wszystkimi stoiskami krzyżowały się niecierpliwe pytania i zdenerwowane odpowiedzi. - Biały ser jest? - Nie ma. - A kiedy będzie? - Może jutro. Ile żółtego, ćwierć? - Pani da ten dżem. - Pan tu nie stał. - Stałem, tylko poszedłem do masła. - Co mi pani tu wsadziła, przecież to sam tłuszcz i skóra! To ma być szynka? - Jaką dostajemy, taką sprzedajemy. - Dziecko, nie depcz po nogach...

Szczupły mężczyzna o czarnych, wąskich oczach stał przy stoisku, w którym sprzedawano kawę, czekając na zmielenie kupionej przed chwilą, półkilowej paczki. Gdy odbierał białoniebieską torebkę z napisem „Delikatesy", ktoś lekko dotknął jego ramienia. Odwrócił się i uśmiechnął.

- Dobry wieczór, kapitanie - powiedziała Danuta Kretz, wyciągając do Szczęsnego swą silną, opaloną rękę. - Czy nie za dużo tej kawy? A może pan mnie zaprosi na jedną filiżankę?

- Nawet na trzy - odparł. - Czy ma pani teraz chwilę czasu? Moglibyśmy wstąpić do „Niespodzianki”, tam mają włoski ekspres i dobrą kawę.Zastanawiała się przez kilka sekund, podczas gdy on przyglądał jej się z widoczną przyjemnością. Miała na sobie prawdopodobnie jedną z kreacji salonu mód „Zofia”, żółtą, głęboko wyciętą, z czarnym wąskim paskiem i czarnymi koralami.

Wreszcie wyraziła zgodę i po chwili siedzieli już w kącie kawiarni, w miękkich, ciemnoszafirowych fotelach.

- Nie widzę obrączki, więc pan pewnie nieżonaty - powiedziała Danuta, ujmując w palce jego rękę, czym zmusiła go do szybkiego odstawienia filiżanki. - Czemu się pan nie ożenił?

- Nie miałem czasu - odparł Szczęsny z uśmiechem. - Poza tym, żadna mnie nie chciała.

- W to to już nie uwierzę.

- Nie chciała za męża, oczywiście. Zbyt wielu z nas ginie - na chwilę twarz jego spoważniała. - Ale nie będziemy o tym mówić. Muszę przyznać, że podziwiałem pani opanowanie i szybką orientację, gdy rozpoznała pani wczoraj inżyniera Wolskiego.

Danuta wyraźnie posmutniała.

- Ach, to taka przykra historia... Biedny człowiek, żal mi go. Więzienie to chyba straszna rzecz! - wzdrygnęła się. - Milicja nie powinna dopuszczać do żadnego przestępstwa - uśmiechnęła się. Wyglądała teraz jak mała, narwana dziewczynka. Jej duże oczy koloru morskiej wody zamgliły się wzruszeniem.

Szczęsny podsunął jej papierosy.

- Tak, więzienie to rzeczywiście mało przyjemne miejsce pobytu - rzekł, zapalając zapałkę. - Ale cóż... zbrodnia musi być ukarana. Zginął bardzo wartościowy człowiek, uczciwy, sprawiedliwy.

- Okołowicz? - skrzywiła się lekko. - Nudna, stara piła. Trudno było z nim wytrzymać, ciągle mu coś przeszkadzało. I skąpy! Za każdy telefon kazał sobie płacić pięćdziesiąt groszy.

- Do ręki? - zdziwił się Biały Kapitan.

- No nie. Kładło się na biurku, obok aparatu.- Ach, teraz rozumiem, skąd się wzięła u niego w szufladzie taka duża ilość drobnych - zaśmiał się Szczęsny.

- Ten woreczek aksamitny, prawda? To jeszcze jego żona uszyła. Dobrali się... - urwała. Twarz jej na chwilę znieruchomiała.

- Jak w korcu maku - dokończył kapitan. - Dlaczego pani nie je? Tu są zupełnie możliwe ciastka. No proszę chociaż skosztować.

Machinalnie wzięła łyżeczkę, wciąż nad czymś się zastanawiając.

- Czy nie będę niedyskretny, jeżeli zapytam, jak dawno pani rozeszła się z mężem?

Spojrzała na niego ostro. Wąskie brwi tworzyły teraz niemal prostą linię.

- Z mężem? - powtórzyła zdziwiona. - Nigdy nie byłam mężatką, nie mogłam więc wziąć rozwodu. Skąd to panu przyszło do głowy?

Roześmiał się i położył rękę na jej ręce. - Znikąd, piękna pani. Chciałem w ten piekielnie podstępny sposób dowiedzieć się coś niecoś o pani stanie cywilnym. A ponieważ lubię jasne sytuacje, zapytam również: czy mam jakieś szanse?...

Popatrzyła mu wymownie w oczy.

- Być może - odparła, przeciągając słowa.

- Kiedy się znowu spotkamy? - szepnął, nie odwracając od niej wzroku. - Proponuję jakiś dobry film. W ładnym, nowym kinie „Wars" na Rynku Nowego Miasta. Jutro, o wpół do szóstej. Dobrze? Będę czekał z biletami.

- O tej godzinie jeszcze pracuję.

- Więc o ósmej. Przyjdzie pani, prawda? Podniosła się z fotela, spojrzała na zegarek.

- Dobrze - odparła. - Ale teraz muszę już iść.

Pożegnali się, przy czym pocałunek, jaki kapitan złożył na jej ręce, trwał dobrych parę sekund. Gdy wychodziła, patrzał za nią lekko zamglonymi oczami. Potem osunął się w fotel i zapalił papierosa. Odłożywszy zapałkę do popielniczki, nieznacznym ruchem zgarnął dwa niedopałki ze śladami różowej szminki i schowałdo kieszeni. Jego kształtne usta wykrzywił ironiczny grymas.

Gdy wychodził, jakiś mężczyzna otarł się o niego w drzwiach i szepnął kilka słów. Szczęsny ledwo dostrzegalnie skinął głową.

Na straganie z książkami, które sprzedawca chował już do walizki, dostrzegł nową powieść swego ulubionego autora, Steinbecka - „Na wschód od Edenu". Szybko przeliczył w myśli zawartość portfelu i z westchnieniem odłożył biało oprawne tomy. Książka była droga.

- Jest jeszcze jeden egzemplarz „Ulicy nadbrzeżnej" - powiedział sprzedawca.

- To już mam, dziękuję.

- A może chce pan jakiś kryminał?

Szczęsny skrzywił się. Kryminałów miał dość na co dzień.

- Będzie pan tu jutro? - zapytał. Sprzedawca był wyjątkowo uprzejmy, tak uprzejmy, że wprost nie wypadało odejść od niego bez słowa.

- Jestem zawsze w tym samym miejscu. Mogę panu coś odłożyć. O ile pan naprawdę chce kupić.

- Oczywiście, że chcę. O, to - pokazał na dwa tomy Steinbecka. - Jeżeli może pan mi je zatrzymać, to bardzo proszę.

Porucznik Kręglewski siedział skrzywiony za biurkiem i ręką przyciskał prawy bok. To trwało już od pół godziny, nieznośny i uparty ból wątroby.

- Wściekłe jajko! - mruczał, popijając gorącą herbatę. - Nienawidzę jajek na miękko... Och, mój Boże. I na twardo też.

- Wstrętny obżartuch - rzekł Szczęsny surowo. - Wiesz, że przy wątrobie nie wolno jajek. Masz jeść węglowodany.

- Co? - jęknął mały porucznik zbolałym głosem.

- Kasze, ryż, pieczywo, marmoladę, mleko... czosnek, jabłka.

- Ty naprawdę chcesz, żebym jadł czosnek? - zainteresował się nagle Kręglewski.

- Wyrzucę cię na drugi koniec gmachu. Słuchaj, gdzie jest protokół z rewizji u Zabielskich?- W szafie, na górnej półce.

- A co z odciskami?

- Bolą. Będzie deszcz.

- Twoje nogi mnie nie interesują. Co tam, sierżancie?

Otoczko zameldował, że w biurze przepustek czeka niejaki obywatel Kliczek, magazynier z Centralnego Zarządu Dostaw Materiałów Rolnych. Chce się widzieć z oficerem, który był ostatnio w Zarządzie.

- Dajcie go tutaj - zdecydował Szczęsny.

Podszedł do okna. Bawiąc się sznurkiem od zasłony, szepnął ni stąd, ni zowąd:

- „Ojczyzna moja jest pieśnią ze stali, melodią oręż, a siła jej słowem..."

- Co to jest? - zdziwił się porucznik. - Układasz wiersze? Szczęsny roześmiał się.

- Ośle, to nie mój wiersz.

- Czytujesz poezje? Szczęsny, ty jesteś zwariowany milicjant. W życiu swoim, poza szkołą, nie czytałem ani jednego wiersza. Jak to się zaczyna o tej ojczyźnie?

Ojczyzna moja jest wysoką górą" u stóp jej stojąc nie dostrzegasz szczytu, pierś jej oddycha ogniem i wichurą, a w piersi bije serce z dynamitu...*

- Podoba ci się?

- A wiesz, że to fajny kawałek. Mój Boże, żeby tak człowiek miał więcej czasu, to by się trochę podciągnął kulturalnie. Ja czytam tylko gazety. Powiedz... - urwał. Do pokoju Szczęsnego wszedł magazynier Kliczek, wprowadzony przez milicjanta.

- Ja tu przyszedłem - zaczął, siadając po drugiej stronie biurka i obracając nerwowo w palcach przepustkę - bo to się tak nie może skończyć. To ja mam odpowiadać, a inni nie? Mnie wyrzucili, a sami to co? Niewinne baranki?

* Z wiersza Zb. Bieńkowskiego: „Dwie ojczyzny".Głos mu się trząsł z tłumionej pasji, oczy błyszczały. Kapitan mocniej wciągnął nosem powietrze i powiedział ostro:

- Mógłby pan chociaż nie pić, przychodząc do milicji. Został pan wyrzu... usunięty z posady za nadużycia w magazynie. Do kogo ma pan pretensje?

- Ja dla siebie nie brałem. Pomagałem tylko ludziom, co się kafli do pieców nie mogli doprosić.

- Za darmo pan pomagał? Kliczek wzruszył ramionami.

- Trzeba z czegoś żyć, nie? - odparł. - Jak mi kto daje za przysługę; to mam nie brać? No, brałem, przyznaję. Panie, taka rzecz to wciąga człowieka... Mnie jeden to mówił: frajer jesteś, z państwowego można brać, bo państwo od tego nie zubożeje. No, ja nie wiem... Ale dyrektorzy u nas, to... - zaciął się.

- Więc pan twierdzi, że kradną dyrektorzy w Centralnym Zarządzie Dostaw Materiałów Rolnych? - kapitan ujął kartkę papieru i pióro. - Proszę powiedzieć wszystko, co pan wie.

Nieoczekiwanie magazynier zmieszał się. Spojrzenie jego uciekło gdzieś w bok.

- Tak dokładnie, to ja nie wiem. - Siedział teraz wyraźnie osowiały. - W biurze mówią... niejedno się słyszy. Mówią, że ten inspektor, co go zabili czy sam się zabił, no, ten Nowak - to właśnie za dużo wiedział i dlatego go sprzątnęli.

- Panie Kliczek, pytam pana wyraźnie, po polsku: czy ma pan jakikolwiek dowód na to, że ktoś z dyrekcji kradnie? Przecież nie mogę się opierać tylko na pańskich przypuszczeniach, chyba pan to rozumie. Kto panu o tym mówił? Który dyrektor kradnie?

- Za rękę, to żadnego nie złapałem, no przecież oni nie tacy głupi, żeby się dać złapać. Tam musi pójść ktoś, kto nie weźmie w łapę. Ten Nowak brał.

- Od Lewieckiego?

- Podobno nie. Od Skolagi, tego z administracji. I od głównego księgowego. Niech pan się ich zapyta, co się stałoz wagonami, które stały w kwietniu na bocznym torze i miały iść w Lubelskie. Tam była cegła z żerańskich prefabrykatów. Albo gdzie się podziały ogumienia do wozów chłopskich. I obręcze. Oni na wszystko mają kwity, ale to „lipa".

Wziął podsuniętego mu papierosa i zapalił. Twarz jego miała teraz twardy, zdecydowany wyraz.

- A co się stało z zaginionymi dokumentami?

- Tymi, co miał je zabrać inżynier Wolski? Nie wiem. Sarski coś tam mówił. Ale... - uśmiechnął się - niech pan pamięta, że on niedowidzi. Jedno oko ma ślepe. Ja bym tam... - znowu urwał. Machnął ręką. - Wolski to był porządny człowiek.

- Dokąd poszły wagony z cegłą? Kliczek zawahał się.

- Ja nie wiem - rzekł ostrożnie. - Kiedyś słyszałem... pod Warszawą, w Wołominie jest taka pomocnicza spółdzielnia pracy. Wielobranżowa. - Znów się zawahał. - Jak pan chce, to może pan czasem zajrzeć do „Bristolu" albo do „Grandu", wieczorem. Oni tam siedzą.

- Ci ze spółdzielni?

- I ci, i tamci. Razem. No, dosyć! - zadecydował nagle, wstając z krzesła. Spojrzał na Szczęsnego nieufnie. - Wie pan co? Wolałbym teraz dać się zamknąć, choćby na pół roku. Wolę za kratami niż w grobie. Dla tych z Wołomina zarżnąć człowieka, to tak jak kurę.

- Oni pana znają?

- Ba! Mało to razy przychodzili do magazynów? Będę musiał prysnąć - powiedział szczerze. - Za wiele widziałem.

Biały Kapitan zastanawiał się przez chwilę.

- Za tamte kwity odpowiada pan z wolnej stopy? - spytał.

- Tak. Ale ja się przed wami nie ukrywam. Tylko przed tamtymi. Może pojadę do Białegostoku, mam tam krewnych. Też Kliczki - uśmiechnął się. - Szewce.

- Niech pan jedzie. Proszę tylko zawiadomić prokuratora.

- Nie. On mnie nie puści poza Warszawę.

- Puści - rzekł kapitan bez przekonania. - Jak mu pan powie... Zresztą jedź pan, i tyle. Najlepiej jeszcze dziś. Mógł ktoś widzieć, że pan przyszedł do komendy.Gdy magazynier wyszedł, Szczęsny zredagował notatkę do Komendy Wojewódzkiej w Białymstoku i polecił przekazać ją dalekopisem. Kliczek rzeczywiście trochę za wiele wiedział.

Biały Kapitan nie chciał czekać. Mimo to sekretarka dyrektora Lewieckiego oznajmiła stanowczo, że nikt, ale to nikt nie może teraz wejść do jego gabinetu, bo ma pilną konferencję. Nie pomogła legitymacja Komendy Miasta MO ani stanowcze, twarde spojrzenie, jakim Szczęsny obrzucił zwiędłą postać panny Leokadii. Zrezygnowany, usiadł pod ścianą, i postanowił, że po dziesięciu minutach bez żadnych ceregieli wejdzie do gabinetu.

Nie upłynęło jednak tych minut nawet pięć, gdy drzwi otworzyły się i ukazał się w nich inspektor Antoni Bielecki, a tuż za nim dyrektor. Bielecki, kończąc jakieś zdanie, miał głowę odwróconą i nie od razu zauważył oficera. Był uśmiechnięty i wyraźnie z czegoś

zadowolony. Na widok Szczęsnego zatrzymał się jak wryty. Jego duża, czerwona twarz przybrała nieoczekiwanie wyraz niepokoju i jakby niechęci.

- Dzień dobry, kapitanie! - Lewiecki był w świetnym humorze. - Proszę pogratulować naszemu wspólnemu znajomemu: inspektor Bielecki został wczoraj mianowany kierownikiem 17 Wydziału. Trzeba to oblać, inspe... o, przepraszam, naczelniku! Od dawna należał się panu awans.

Przez kilka sekund kapitan przyglądał się Bieleckiemu bez słowa. Potem wyciągnął do niego rękę i rzekł:

- Winszuję panu. To było, zresztą, do przewidzenia.

- Jak mam to rozumieć? - spytał nowy kierownik jakimś głuchym, lekko zachrypniętym głosem.

- Tak, jak powiedziałem. Zgadzam się z dyrektorem Lewieckim, że od dawna należał się panu awans. Można teraz, dyrektorze?

Weszli we dwóch do gabinetu. Szczęsny poprosił o kilka informacji, dotyczących inżyniera Wolskiego. W trakcie rozmowy do pokoju weszła sekretarka i położyła przed Lewieckim jakieś papierki.- Są bilety? - ucieszył się dyrektor. - Leokadio, pani jest nieoceniona! Doprawdy, nie wiem, co bym bez pani zrobił...

Obrzucił ją czułym spojrzeniem, pod którym twarz starszej panny pokryła się słabym rumieńcem.

- Tu są sypialne, a tutaj kolejowe. Legitymacja pana dyrektora. I reszta: sześćdziesiąt dwa złote.

Podsunęła pieniądze, poprawiła kwiaty w wazonie na biurku i wyszła z miną człowieka, który czuje, że tkwi na mocnej pozycji.

- Wybiera się pan na urlop? - spytał kapitan, kątem oka dostrzegając nazwę „Jastarnia” na jednym z biletów.

- Nie, na razie wysyłam rodzinę. Mam urlop dopiero w połowie lipca. Wynająłem dla żony i dzieci dwa ładne pokoje u rybaka. Nawet niezbyt drogo... Tak. Czym jeszcze mogę służyć, kapitanie?

- Dziękuję, to wszystko. Ciekaw jestem, czy znalazł pan już nowego magazyniera?

- Nie, jeszcze nie. Zresztą, zajmuje się tym dyrektor Skolaga. Jeżeli to pana interesuje... - wyciągnął rękę w stronę telefonu. Ale kapitan wstrzymał go, mówiąc, że w gruncie rzeczy nic go to nie obchodzi, a pytał tylko z prostej ciekawości.

Pożegnali się i Szczęsny po wyjściu z budynku Centralnego Zarządu wsiadł w tramwaj „19”, który jechał na Puławską. Siedząc pod oknem i patrząc w zamyśleniu na

rozkopaną jezdnię - na Puławskiej zakładano właśnie rurociąg do elektrociepłowni - wciąż miał w pamięci wyraz twarzy Bieleckiego tam, w sekretariacie. Przypomniała mu się również pierwsza rozmowa z inspektorem i jego słowa: „Gdybym ja był sam, może bym z panem inaczej, szczerzej... Aleja mam dwoje dzieciaków".

Awans. To było to, na co Bielecki czekał od bardzo dawna. Awans kosztem dwóch zbrodni. A więc: za każdą cenę? - Przetarł ręką czoło. Nie zauważył, że siedząca naprzeciwko młoda kobieta przygląda mu się z wyraźnym zainteresowaniem. - Trzeba by do Wołomina... Dobrze znał te wielobranżowe, pomocnicze spółdzielnie pracy, zaktórych szyldem jakże często kryły się ciemne afery spekulanckie. „Znajdzie ich pan w „Grandzie" albo w „Bristolu"..." Ich? Niezwykle proste do zrozumienia: ktoś z kierownictwa Centralnego Zarządu i ktoś z wołomińskiej spółdzielni. I niezwykle trudne do udowodnienia. Z rąk do rąk, czasem w restauracji, czasem w taksówce albo w prywatnym mieszkaniu... Prezent na urodziny dla żony, dla teściowej, dla pięciorga dziatek... Wagon na boczny tor, kolejarzom w łapę, kontrolerowi premię, konwojent musi „z czegoś żyć". Wartownik zarabia tyle, co sprzątaczka, i w dzień pracuje na swoich morgach, a w nocy przychodzi do instytucji - no, przecież kiedyś musi spać. To takie proste: nie rozliczyć się z pobranego materiału, przepisać na straty, krzykacze dostaną w mordę albo do portfelu - co kto woli.

Ocknął się z zamyślenia, spojrzał przez okno i wyskoczył w biegu. Młoda kobieta popatrzyła za nim i westchnęła.

- Jeszcze nogę złamie - powiedziała do konduktorki. Tamta wzruszyła ramionami.

- Jak złamie, przestanie skakać - odparła filozoficznie. Szczęsny wszedł do gmachu Komendy Głównej MO, okazał wartownikowi legitymację i skierował się od razu na piętro. Tam odnalazł chorążego Ryszarda Kowińskiego i wdał się z nim w dłuższą rozmowę.

W kilka godzin później do dyrektora administracyjnego w Centralnym Zarządzie Dostaw Materiałów Rolnych zgłosił się wysoki, barczysty mężczyzna. Okazał plik doskonałych świadectw z różnych stron Polski i poprosił o stanowisko magazyniera. Jednocześnie w gabinecie dyrektora Skolagi zadźwięczał telefon. Pewna, dość wysoko postawiona osobistość polecała dyrektorowi owego magazyniera - jak mówiły dokumenty: Jana Kowalczyka - jako człowieka tej osobistości znanego i godnego zaufania. Rezultatem tego telefonu było przyjęcie Kowalczyka na stanowisko magazyniera, od zaraz.

- Dzień dobry, Krystynko... Tak, poznaję twój głos. Masz coś nowego?... Tak... Tak... Słuchaj, ja chcę wiedzieć, kto to jest. Koniecznie, słyszysz?... No, ale przecież oni muszą się gdzieś spotykać, do diabła ciężkiego... Przepraszam cię, Krystynko kochana, to jest dla mnie niesłychanie ważne... Wiem, willa jest przecież pod naszą obserwacją. Ale może w jakiejś

małej kawiarni, w parku, no czy ja wiem - może pod Warszawą?... A jak wygląda sprawa tego eksmęża?... Wojskowy? To upraszcza sytuację. Może dać ci kogo do pomocy?... Nie? No dobrze. Do widzenia.

Rzucił słuchawkę i zajrzał do drugiego pokoju. Porucznik Kręglewski, postękując z przejęcia, studiował grubą teczkę z aktami jakiejś sprawy.

- Kazik, nie widziałeś Metelskiego? - Szczęsny siadł swoim zwyczajem na brzegu biurka.

Mały porucznik spojrzał na niego błędnymi oczami.

- Hemothoraks... co to za diabeł? - sapnął niechętnie.

- Krwiak opłucnowy. Nie męcz się, te rzeczy należą do doktora Sterna. Nie wiesz, czy Metelski już wrócił z Wołomina?

- To on tam pojechał? Po co? - zdziwił się, trąc zmęczone oczy. - Do Wołomina! - parsknął ironicznie. - Żeby chociaż do Budapesztu. Albo do Pragi. No, ostatecznie - do Radomia. Ale Wołomin?... Pojechał do tej spółdzielni? - spytał już innym, rzeczowym tonem.

- Tak. Od wczoraj tam siedzi. Nie telefonował?

- Nie.

- Gdyby dzwonił, zanotuj. Ja wrócę za dwie godziny.

- Znamy te twoje „dwie godziny”... Jak nic, będzie cztery. Ej, Szczęsny! - zawołał nagle. - A hipotermia?

- Ohydny nudziarz. Sztuczne obniżenie - ach, daj mi spokój.Trzasnęły drzwi, Kręglewski westchnął, wyciągnął spod teczki świeży „Przekrój” i zaczął studiować ostatnią stronę.

Przy ulicy Polnej, w maleńkiej, ustronnej kawiarni o dźwięcznej nazwie „Arabica”, siedział inspektor Krygier, pił kawę i co chwila spoglądał w stronę wejścia. Gdy Szczęsny ukazał się w progu, inspektor odetchnął z ulgą.

- Spóźniłem się, bardzo przepraszam - kapitan spojrzał w stronę bufetu, na palcach pokazał,jedną małą” i rozejrzawszy się dokoła uważnie, pochylił w stronę Krygiera. - Nie chcę zająć panu dużo czasu i lepiej, aby nas nikt razem nie widział. Czego pan się dowiedział?

- Udało mi się stwierdzić z całą pewnością - mówił inspektor cicho, przysłoniwszy usta ręką - że Nowak został odwołany przez Okołowicza dlatego, iż kierownik stracił do niego w ostatnim czasie zaufanie. Mówiąc ściślej: Okołowicz podejrzewał, że Nowak bierze w Centralnym Zarządzie łapówkę za milczenie.

- Od kogo?

- Podobno od głównego księgowego. Zdaje się, że i dyrektor administracyjny Skolaga maczał w tym palce.

- A Lewiecki?

- Nie. Chyba nie. Ech, ja już wszystkim przestałem wierzyć. Okołowicz coś przeczuwał, bo na kilka dni przed swoją śmiercią powiedział przy mnie do Malinowskiego, wie pan, tego, co siedzi ze mną w pokoju: „Niech tam teraz idzie Bielecki, ale jak tylko skończę z budową tej knajpy - miał taką jedną sprawę, bardzo zawikłaną, do rozszyfrowania, przy budowie restauracji - to sam się zajmę «Cezetem»„. To znaczy, Centralnym Zarządem.

- Kto był jeszcze przy tym?

- Przy rozmowie z Malinowskim? Ja byłem. Więcej chyba nikt. Tylko że... - skrzywił się. - Malinowski potem powtórzył to Nowakowi. W gniewie, bo tamten mu przygadał od „starych dziadów", a Malinowski ma już pięćdziesiątkę z hakiem.

- Czyli, że Nowak o tym wiedział - Szczęsny zamyślił się. - Tak, to by się zgadzało. A teraz macie nowego kierownika?Krygier lekko wzruszył ramionami.

- Bielecki to dobry fachowiec - powiedział bez zawiści w głosie. - Tyle lat pracuje... Należał mu się awans.

- A jak pan myśli, kto zostałby kierownikiem, gdyby Nowak żył?

Inspektor popatrzył kapitanowi prosto w oczy.

- Myślę, że właśnie on - odparł. - Tak, wiem, co pan chciał przez to... myśmy też się nad tym zastanawiali. Ale to do Bieleckiego nie pasuje. Tyle że gdyby Nowak był kierownikiem, ci dwaj by się pogryźli w ciągu tygodnia. Bielecki go nie znosił.

- Rozumiem. Jak się nazywa główny księgowy Centralnego Zarządu?

- Wisławski. To szwagier dyrektora Skolagi. Popatrzyli na siebie.

- Tak, kapitanie - Krygier uśmiechnął się. - W moim zawodzie człowiek albo prędzej czy później bierze łapówki, albo staje się cynikiem. Czasem myślę sobie: przecież jest w Polsce wielu, bardzo wielu uczciwych ludzi. Tylko że ja ich jakoś nie spotykam... No, żartuję, rzecz jasna. Znam całą kupę dżentelmenów. - Wstał, położył obok filiżanki pieniądze i wyciągnął rękę do Szczęsnego. - Lepiej, żeby nas nie widzieli wychodzących razem.

Szczęsny mocno i serdecznie uścisnął mu dłoń.

- Nie wypił pan kawy i ostygła - powiedziała miła, czarnowłosa pani za bufetem.

- Och, nic nie szkodzi. Może być zimna. Czy jest tutaj telefon?

Wskazała mu aparat na stoliku, przy wejściu. Połączył się z komendą. Nie, Metelski nie wrócił jeszcze i nie dzwonił. Zmarszczył brwi i powoli odłożył słuchawkę.

Dochodziła jedenasta wieczór. Kapitan Szczęsny i major Daniłowicz siedzieli jeszcze w komendzie, czekając na wiadomość od Metelskiego. W popielniczce rósł stos niedopałków, kapitan już dwukrotnie zaparzał nową porcję kawy, a telefonu jak nie było, tak nie było.- Widocznie coś znalazł i nie chce się odrywać - powiedział major, przerzucając nowy numer tygodnika milicyjnego „W służbie narodu". - Popatrz, jakie dobre zdjęcie!

Szczęsny rzucił okiem na tygodnik i mruknął coś pod nosem. Był niespokojny. Brak wiadomości z Wołomina wstrzymywał mu całą robotę.

- Dlaczego to bydlę nie dzwoni? - wybuchnął, obrzucając gniewnym spojrzeniem czarne pudło aparatu.

- No, ja idę do domu - Daniłowicz ociężale podniósł się z krzesła. - Obiecałem Basi, że dziś wcześniej wrócę, a tu... - Machnął ręką. - U nas to zawsze tak.

Zapiął mundur, zgarnął do szuflady papiery, tygodnik włożył do teczki.

- Zostaniesz tu czy u siebie? - spytał.

Ale Biały Kapitan nie zdążył odpowiedzieć. Drzwi gabinetu otworzyły się gwałtownie, na progu stanął Kręglewski. Jego wesoła, pogodna twarz z lekko zadartym nosem i kpiącymi oczami była zmieniona nie do poznania. Na rękawach munduru i na policzkach widniały smugi błota czy brudu, oddychał ciężko, usta mu drżały. Patrzał, jak by nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

- Kazik! - Szczęsny podszedł do niego blisko i potrząsnął za ramiona. - Co ci jest? Kazik!

- Poruczniku, opanujcie się - major odłożył trzymaną w ręku czapkę i również zbliżył się do Kręglewskiego. - Co się stało?

- Lucek... - szepnął mały porucznik, ledwie poruszając ustami.

- Metelski? Gdzie on jest? Gadajże, do diabła!

- Znaleźliśmy go - odparł cicho.

Nastała chwila ciszy. Obaj, major i kapitan, zrozumieli od razu, co znaczą w życiu pracownika milicji te dwa proste słowa: „znaleźliśmy go". Daniłowicz pochylił głowę. Szczęsny patrzał na Kręglewskiego nieruchomym wzrokiem.

- Leżał w kotłowni jednego domu na Jasnej. Musieli go tam wrzucić przez okienko. Ściana wysoka na cztery metry. Na dole beton.- Zastrzelony?

- Nie. Czaszka pęknięta i... zmasakrowany, żebra połamane. - Porucznik trzęsącą się ręką z trudem zapalił papierosa. - Bez broni, bez dokumentów.

- Gdzie jest?

- Na dole. Przywiozłem go, bo... - urwał. Odwrócił głowę w bok. Szybkim, szorstkim ruchem starł coś z policzków. Ramiona dygotały mu wstrzymywanym szlochem.

- Chodźmy - mruknął Daniłowicz, sięgając po czapkę. W milczeniu zeszli po schodach do pustego zazwyczaj o tej porze biura przepustek. Stało tam już kilku oficerów i milicjantów, z odkrytymi głowami, w milczeniu śledząc ruchy doktora Sterna, który, równie milczący, pochylał się nad czymś, co leżało ma szerokiej ławce. Na widok majora stojący odsunęli się pod ścianę. Dwóch milicjantów w płaszczach nieprzemakalnych i w paskach, służbowo zasuniętych pod brodę, zasalutowało, po czym starszy rangą powiedział ściszonym głosem:

- Obywatelu majorze, melduje się plutonowy Gajęcki z Komendy Dzielnicowej Stare Miasto. Znaleźliśmy... - zaciął się, odchrząknął - zwłoki porucznika Lucjana Metelskiego, rozpoznane przez...

- Dobrze, to później - major machnął ręką. Zbliżył się do ławki. Stern wyprostował się i odkrył twarz leżącego.

Długo wpatrywali się w znajome, straszliwie okaleczałe rysy. W końcu major delikatnym ruchem nasunął z powrotem płaszcz, którym okryto zwłoki. Popatrzył na obecnych. Odpowiedzieli mu wzrokiem, w którym nie było strachu, lecz głucha nienawiść. Wiedział, że i on, i ci wszyscy, i cała komenda nie spocznie, póki sprawcy śmierci nie zostaną wykryci i ukarani.

- Jeszcze jeden... - mruknął. Trzeba było zawiadomić pułkownika i Komendę Główną. A później rodzinę. Metelski był żonaty, miał dwoje dzieci. Major wiedział, że jego obowiązkiem jest ta ciężka misja, drugi już raz w tym roku.

Rozdzwoniły się telefony, w gmachu Komendy Miasta w wielu oknach do rana paliło się światło. O drugiej w nocy pułkownik zwołał naradę, na którą przybyli oficerowiez Komendy Głównej. Porucznik Kręglewski zmęczonym, ochrypłym głosem powtarzał - tym razem telefonicznie, generałowi MO - jak wracał do domu i napotkał patrol z Komendy Stare Miasto, jak wiedziony zawodową ciekawością poszedł z nimi do owej kotłowni i rozpoznał w zamordowanym porucznika Lucjana Metelskiego.

- Czy łączycie, kapitanie, to morderstwo ze sprawą Okołowicza i inspektora Nowaka? - spytał pułkownik Szczęsnego.

Kapitan znużonym ruchem powiódł ręką po czole.

- Nie wiem jeszcze - odparł. - Pojadę jutro z samego rana do tej spółdzielni. Wątpię, żeby to była ich robota. Chcę powiedzieć: bezpośrednio ich robota. Jeżeli w spółdzielni robili jakieś kanty na grubszą skalę i zorientowali się, że Metelski to wykrył, mogli posłużyć się

zawodowymi bandytami, którzy przy tej okazji zrabowali pistolet i dokumenty. Może to być jednak zupełnie odrębny napad, właśnie w celu zabrania broni. Mieliśmy już taki wypadek...

- Niejeden, w skali krajowej - pułkownik przerzucał raz jeszcze akta, opatrzone kryptonimem: „Dwa włosy blond". - Dobrze, kapitanie. Prowadźcie dalej tę sprawę, a specjalna grupa zajmie się wykryciem morderców naszego kolegi.

W dwa dni później na cmentarzu Powązkowskim odbył się pogrzeb porucznika Lucjana Metelskiego. Żegnała go kompania honorowa milicji, żegnały dźwięki marsza żałobnego, wieńce i skromne wiązanki kwiatów składane przez towarzyszy broni. Wiedzieli, że każdego z nich - każdej chwili - spotkać może to samo.

Gdy wracali z cmentarza, Szczęsny zabrał Kręglewskiego do swego mieszkania i, choć sam nie pił, wmusił w niego całą szklankę wódki.

- Pij - rzekł surowo. - To ci dobrze zrobi. Jesteś w tej chwili jak galareta.

- Widzisz, kiedy ja ciągle...

- Wiem - przerwał mu szorstko Biały Kapitan. - Nie gadaj tyle. Musisz się posklejać, czeka nas robota.Po półgodzinie, gdy Szczęsnemu zdawało się, że Kręglewski, rozciągnięty na tapczanie, dawno zasnął, porucznik odezwał się nagle, zupełnie trzeźwym głosem:

- Słuchaj, jak to było? Wiesz, o tej ojczyźnie. Mówiłeś, że to ma tytuł „Dwie ojczyzny". Jaka jest ta druga?

- Druga? - mruknął Szczęsny zamyślony. I bezwiednie zaczął mówić:

Ojczyzna moja jest głębokim dołem, schyl głowę przed nim, bo w dole tym leżą z umilkłym sercem, przestrzelonym czołem ciała, zabrane poległym żołnierzom...

- Ach, do diabła! - krzyknął nagle gniewnie. - Do diabła z wierszami. Wszystko gówno warte.

- Masz rację - odparł sennie mały porucznik.

Nazajutrz rano Szczęsny dowiedział się od Krystyny, że piękna pani Danuta wyjechała do Krynicy. Otrzymała w salonie mód „Zofia" kilka dni zaległego urlopu, a od kierowniczki adres jednego z domów wczasowych, gdzie jeszcze były wolne miejsca. Dom ten nazywał się „Mimoza".

Krystyna nie mogła wyjechać. Szczęsny, po krótkim namyśle, postanowił sam zrobić trzydniowy wypad do Krynicy. Miał niejasne przeczucie, że wyjazd pani Danuty łączy się w jakiś sposób z prowadzoną przez niego sprawą „Dwóch włosów blond". Wiedział zaś z doświadczenia, że niejasne przeczucia bywają równie ważne i owocne, jak pracowicie skonstruowane teorie.

Krynica powitała go trzydziestostopniowym upałem, co, jak na czerwiec i tę podgórską miejscowość, było zjawiskiem nader rzadko spotykanym. Tłumy kuracjuszy i urlopowiczów, od wczesnego ranka pracowicie wydeptujące ścieżki i asfalty w centrum uzdrowiska, rozgadane, wesołe, wpierw zirytowały go, potem jednak uległ ich pogodnemu nastrojowi. Było to odprężenie dla nerwów, porządnie nadszarpniętych wypadkami ostatnich tygodni.Zatrzymawszy się w sanatorium Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, spytał swego współlokatora - kapitana milicji z Krakowa - o dom wczasowy „Mimoza".

- „Mimoza"? - kapitan uśmiechnął się i przymrużył oko. - Rozumiem. Pewnie ta piękna brunetka, co tam wczoraj przyjechała. Znam ten ból! - westchnął. - Na warszawskim bruku nie ma gdzie się spotkać. Robota, koledzy, zazdrosny mąż...

- Co wy... - Szczęsny zmieszał się i rozgniewał. - Ja tu nie przyjechałem na romanse.

- Terefere! - roześmiał się kapitan. - Jak pytacie o „Mimozę", to ręczę, że dziś jeszcze zobaczę was razem na deptaku albo w kawiarni, przyznajcie się, kolego: przecież dla niej tu przyjechaliście, prawda? Ja jestem dyskretny jak płyta grobowa. No? Prawda, że mam rację?

- I tak, i nie - odparł Szczęsny, nie chcąc bliżej wyjaśniać.

- Muszę was zmartwić - ciągnął dalej krakowski kolega, niezrażony małomównością Białego Kapitana. - Ona tu nie pierwszy raz przyjeżdża, a za każdym razem zaraz potem zjawia się w Krynicy pewien stuprocentowy facet, wiecie, taki, za którym kobiety się oglądają i wzdychają: „żeby z nim choć raz..." Pieniędzy ma, zdaje się, więcej niż wy i ja razem, i jeszcze ze dwóch takich, jak my.

- Blondyn?

- Ciemny blondyn. Jakiś ważniak z Warszawy. Pewnie ma w domu brzydką żonę i ze dwoje dzieciaków, więc tu się „odświeża", jak to mówią.

Szczęsny zamyślił się. Kapitan klepnął go po ramieniu.

- Nie martw się, chłopie. Może tym razem nie przyjedzie. Z taką twarzą, jak twoja, masz pełne szansę u brunetek. Tadeusz mi na imię, mówmy sobie „ty".

- Dobrze. Słuchaj, Tadek, ja tu naprawdę nie przyjechałem prywatnie. Czy chcesz mi trochę pomóc?

- Zrobi się. Tylko że ja jestem w groźnych łapach naszych eskulapów. Uwzięli się, żeby mnie wyleczyć, no i teraz męczą. Więc wiele nie będę mógł, ale co się da, to się zrobi. Chodzi ci o tę z „Mimozy"?- Tak. Ja ją trochę znam, dlatego wolałbym kierować akcją, nie ruszając się z sanatorium. Znasz tutejszego komendanta? Co to za gość?

- Do rzeczy. Możesz na niego liczyć. Ma też paru sprytnych chłopaków. A w czym ja ci mam pomóc?

- Miej ją jutro na oku. Chciałbym wiedzieć, kiedy przyjedzie ten ktoś z Warszawy, z którym, jak mówisz, parokrotnie już się tu spotykała. Potrzebne mi jest bardzo ich wspólne zdjęcie. Ale to załatwię chyba przez komendanta.

- Zadzwonię do niego, żeby tu przyszedł. Znam go tak dobrze, że poproszę go po prostu do nas, na pogawędkę. Chyba że chcesz załatwić to ściśle służbowo?

- Nie, nie! - żywo przerwał Szczęsny. - Lepiej będzie tak, jak mówisz. Cała sprawa jest krucha, jak chińska porcelana i trzeba z nią delikatnie, bo trzaśnie, zanim cośkolwiek będę wiedział.

Późnym wieczorem połączył się telefonicznie z Kręglewskim i dał mu kilka poleceń, a następnie rozmawiał jeszcze chwilę z Krystyną. Dowiedział się, że grupa, wyznaczona do schwytania morderców porucznika Metelskiego wpadła już na trop i spodziewa się lada godzina jakichś konkretniej szych wyników. Szczęsny połączył się więc z kolei z Komendą Główną, odszukał znajomego oficera i poprosił, aby zawiadomiono go natychmiast po schwytaniu sprawców zbrodni.

Ani tego dnia, ani następnego „stuprocentowy facet" nie przyjechał. Danuta Kretz spacerowała trochę po deptaku, ściągając na siebie tęskne spojrzenia nudzących się mężczyzn, odwiedziła kawiarnię, parę sklepów, a poza tym wypoczywała przykładnie na tarasie „Mimozy".

Dopiero późnym wieczorem przed pensjonatem zahamował duży, czarny samochód, bardzo zakurzony, z warszawskimi znakami rejestracyjnymi. Siedzący niedaleko „Mimozy" niepozorny jegomość z białą laską niewidomych, podniósł się w tym momencie ociężale z ławki i wolnym krokiem zbliżał się w stronę auta. Gdy był w odległości kilku metrów, z samochodu wysiadł wysoki mężczyzna w sportowej czapce, prochowcu i w dużych ciemnych okularach. Zabrał z tylnego siedzenia grubo wypchaną teczkę, zatrzasnął drzwiczki i wszedł do hallu.

Niewidomy zatrzymał się na chodniku i stukając laską dokoła, szukał czegoś na brzegu trawnika. Po paru minutach wysoki mężczyzna wrócił do wozu, wsiadł i zapuścił motor. Widocznie zamierzał odprowadzić auto do garażu.

Jegomość z białą laską znalazł już to, czego szukał, i szybkim krokiem ruszył w stronę jezdni. Czarny wóz zahamował o parę centymetrów od niego. Kierowca wychylił się i krzyknął ostro:

- Ślepy czy co?

A dojrzawszy teraz dopiero, w ostrym świetle reflektorów, białą laskę, mruknął coś pod nosem, przeczekał, aż tamten dotrze do przeciwległego chodnika, po czym dodał gazu.

W dwie godziny później, do drzwi pokoju, w którym spali: kapitan z Krakowa i Szczęsny, ktoś delikatnie zapukał. Otrzymawszy odpowiedź: - proszę wejść! - wśliznął się do środka i nic nie mówiąc położył przed Szczęsnym, na kołdrze, kilka mokrych jeszcze odbitek fotograficznych.

- Niezbyt wyraźne - mruknął, jakby do siebie - ale nie mogłem podejść bliżej. Byłby mnie przejechał.

- Wystarczające - powiedział Biały Kapitan z uśmiechem. - Dla mnie zupełnie wystarczające.

- Znasz go? - spytał sennie Tadeusz.

- Tak. Słuchaj, o której odjeżdża najbliższy pociąg do Warszawy?

- Gdzieś koło szóstej. Zobacz, tam leży rozkład jazdy.

Ranek był chmurny, miało się na deszcz. Szczęsny, wciśnięty w kąt przedziału, machinalnie przerzucał stary numer „Przekroju", ale myśli jego błądziły zupełnie gdzie indziej.

W portfelu miał zdjęcia człowieka, który poprzedniej nocy przyjechał samochodem z Warszawy do Krynicy. Ściślej zaś mówiąc: do pani Danuty Kretz.

- Ciekaw jestem... - szepnął i zmarszczył brwi. Kelner w białym kitlu odsunął drzwi przedziału.- Kawa, herbata? - spojrzał pytająco na samotnego pasażera.

- Daj pan kawę. I dwie kanapki - zdecydował. Był głodny.

- No, jesteś! - ucieszył się na jego widok Kręglewski. - Złapali tamtych...

Nie trzeba było bliższych wyjaśnień. Od paru dni w komendzie myślano tylko o jednym: czy grupa specjalna znajdzie zabójców porucznika Metelskiego. I kiedy tylko pułkownik otrzymał krótki, suchy meldunek: „zadanie wykonane" - w chwilę później, nie wiadomo jakim sposobem, wiedziała o tym niemal cała komenda.

Stało się to w kilka godzin przed powrotem Szczęsnego z Krynicy. Przy schwytanych znaleziono pistolet Metelskiego i papierośnicę. Pierwsze przesłuchanie poszło nadspodziewanie łatwo. Obaj mężczyźni, zawodowi przestępcy, wielokrotnie karani za złodziejstwo i rabunek, bynajmniej nie ukrywali, że zabili „na polecenie i za pieniądze". Jak dotąd jednak, nie chcieli wyjawić żadnych nazwisk.

- Dał nam forsę i powiedział, żeby gościa sprzątnąć, bo rozrabia - powiedział starszy z bandytów. - No to się zrobiło.

- Kto dał wam pieniądze? - spytał pułkownik.

- Taki jeden... Nie znamy go.

- Ile wam dał?

- Po patyku. Myśmy nie wiedzieli, że chodzi o kogoś z milicji - mruknął drugi. - Był w cywilu. Tamten mówił, że to kontroler.

Podprowadzono obu do stołu, na którym leżało kilkadziesiąt zdjęć. Wśród nich były fotografie członków spółdzielni w Wołominie.

- Który to? - spytał Daniłowicz.

Ale obaj mężczyźni oglądali zdjęcia bez widocznego zainteresowania. Młodszy robił wrażenie załamanego i na nim skupiła się uwaga przesłuchujących.

- Grozi wam sąd doraźny i kara śmierci - powiedział pułkownik. - Tylko szybkie, szczere przyznanie się dowiny i wskazanie tego, kto was namówił, może złagodzić karę.

Późnym wieczorem młodszy - wzięty oddzielnie na rozmowę - podszedł raz jeszcze do stołu, wskazał na jedną z fotografii i rzekł krótko:

- Ten.

Oficerowie pochylili głowy nad zdjęciem. Nie przedstawiało ono żadnego z członków spółdzielni w Wołominie, lecz znanego milicji, dwukrotnie już karanego przestępcę podatkowego, Sieczkę. Trochę zdziwieni, zastanawiali się nad powiązaniem faktów i już byli skłonni przypuszczać, że zabójstwo porucznika nie miało związku ze sprawą Centralnego Zarządu Dostaw Materiałów Rolnych, gdy sierżant z posterunku w Wołominie zbliżył się, popatrzał na fotografię i powiedział:

- Sieczka to brat prezesa tej spółdzielni. Myśmy... - urwał, obejrzał się wymownie na młodszego bandytę. Pułkownik kazał wyprowadzić przesłuchiwanego. Wtedy sierżant dokończył: - Myśmy od dawna, razem z inspektorem finansowym, podejrzewali, że Sieczka robi dla spółdzielni całą „lewą" robotę podatkową.

- Ale prezes wcale nie nazywa się Sieczka? - zauważył Daniłowicz.

- No, bo jego braciszek zmienił parę lat temu nazwisko, zanim jeszcze obaj przyjechali tu z Krakowa.

Aresztowanie Sieczki odwlekało się, gdyż „finansista" znikł jak kamień w wodę. Zatrzymano więc prezesa, który stanowczo twierdził, że o niczym nie wie, a z bratem od dawna nie utrzymuje stosunków. Kontrola z wydziału finansowego przyjechała zaś do spółdzielni w momencie, gdy dopalały się zwęglone szczątki ksiąg, rozliczeń i rachunków... pożar wybuchł jakoby wskutek nieuwagi jednego z pracowników, który do kosza z papierami wrzucił niedogaszonego papierosa.

Kapitan Szczęsny wszedł do małego pokoiku, w którym prócz prostego, ciemnego stołu i paru krzeseł nie było nic więcej. Wprowadzający go strażnik więzienny rzekł w

zadumie:- Dziwny z niego aresztant... Dawnom takiego nie widział. Nie wiem, czy on aby zdrów na umyśle. Zresztą pan kapitan sam się przekona. Zaraz go sprowadzę.

Szczęsny został sam. Zapalił papierosa i wolnym krokiem przemierzał małą przestrzeń, zastanawiając się nad rozmową, którą miał teraz przeprowadzić. Mimo woli rzucił okiem na zakratowane okienko - i nagle poczuł tak przemożny, niczym nie uzasadniony lęk, że gromiąc się w duchu za „idiotyzmy", uchylił drzwi. Nie były zamknięte. Odetchnął, zaciągnął się głęboko papierosem. - Klaustrofobia? - zastanowił się przez, chwilę. Nie znał dotąd tego uczucia strachu przed małą, zamkniętą przestrzenią. Raczej był to chyba czysto ludzki odruch istoty zagrożonej - na pozór - w swej swobodzie.

Na dalsze filozofowanie nie było już czasu, bo drzwi otworzyły się i stanął w nich inżynier Wolski.

- Proszę wejść - powiedział strażnik. Spojrzał na kapitana znacząco i dodał ciszej: - Ja będę na korytarzu.

- Dzień dobry - Szczęsny wyciągnął rękę do inżyniera. Tamten odwzajemnił uścisk niechętnie i jakby z przymusem. Usiadł na jednym z krzeseł, wciągnął w płuca trochę dymu, oczy mu zabłysły. Kapitan podsunął mu pudełko mazurów. Wolski zawahał się, spojrzał pytająco, a potem szybkim ruchem wyciągnął jednego papierosa i zapalił.

Przez chwilę palili w milczeniu. Szczęsny, swoim zwyczajem, usiadł na brzeżku stołu i w zamyśleniu przyglądał się wychudłej, przygasłej twarzy inżyniera.

- Zacznę od tego - rzekł wreszcie - że nie wierzę, aby cierpiał pan na hipomnezję. Jestem głęboko przekonany, że nie istnieje żadna luka w pańskiej pamięci jeśli chodzi o tamtą noc.

- To sprawa lekarzy - odparł Wolski. - Za parę dni wysyłają mnie na obserwację do zakładu. Potem... - urwał, po chwili dodał ciszej: - potem zrobią ze mnie wariata i... po wszystkim.

- Nie. O ile uda mi się wyjaśnić do końca - Szczęsny zawahał się. Nie miał prawa mówić dalej. Dokończył niezgrabnie: - pewne rzeczy. Chciałbym, aby odpowiedział pan na kilka pytań. To mi pomoże.

- Proszę bardzo - odparł inżynier. Coś jakby lekki błysk nadziei pojawił się w jego oczach.

- Pan zawierał w imieniu Centralnego Zarządu umowę o cement?

- Tak, ja.

- W jakim momencie odebrano panu tę sprawę? Wolski zerwał się nagle z krzesła. Patrzał przez chwilę na Szczęsnego, oddychając ciężko.

- Byłem wtedy bardzo zdenerwowany - rzekł z wolna. - Miałem nawrót swojej choroby... Mogłem źle przeprowadzić transakcję.

- Przypuśćmy. A dostawy z fabryki w Starołęce, w marcu? Pan podpisywał umowę? Czy doprowadził pan tylko do chwili, kiedy... No? Dlaczego pan milczy, majorze? Do chwili, kiedy powiedziano panu, że znów powraca atak choroby. Tak?

- Byłem... rzeczywiście wtedy byłem zdenerwowany. Ja...

- A umowę na eternit, z zagranicą, przeprowadzał inżynier Wolski, ale nie do końca, prawda? Bo zachorował. Tak było?

- Tak. Ale...

- Wszystkie! Rozumie pan? Wszystkie transakcje, jakie pan przeprowadzał dla Zarządu, były panu odbierane w bardzo interesującym momencie: w chwili kiedy zaczynały się rozmowy natury, powiedziałbym, raczej prywatnej. W każdym razie takie, w których nie mógł brać udziału uczciwy urzędnik państwowy.

- Ależ ja byłem wówczas naprawdę chory! - wybuchnął Wolski, patrząc na Szczęsnego w osłupieniu.

- Bzdura! - krzyknął kapitan. Jego czarne oczy płonęły, jak węgle. - Pańska kontuzja dawno została wyleczona! Dał pan sobie wmówić za każdym razem, że... zresztą, zaraz panu to zademonstruję. Niech pan usiądzie. Niech pan się uspokoi. Dlaczego pan na mnie patrzy tak dziwnie? Wszystko jest w porządku, tylko musi pan się zacząćleczyć, bo nerwy ma pan nie do pozazdroszczenia. O, proszę - ręce się trzęsą, blady pan jest, spocony. Niechże pan sobie wytrze pot z czoła... Nie, chustka jest w lewej kieszeni, przecież zwykle pan ją tam nosi. Coś z pamięcią niedobrze. Wczoraj pomylił pan datę na jednym dokumencie, trzeba było wszystko przepisywać. A może odpocząłby pan przez parę dni w domu, co?...

- Dosyć! - Wolski był blady, po czole ciekły mu strugi potu, ręce drżały. - Dosyć tego.

Szczęsny odetchnął głęboko. Zapalił papierosa i spojrzał na inżyniera z ironicznym uśmiechem.

- Jemu pan nie powiedział wtedy: dosyć. A szkoda.

- Komu?

- Pan dobrze wie, komu. Milczeli dłuższą chwilę.

- To jeszcze nie wszystko - rzekł szorstko Biały Kapitan.

- Co pan chce jeszcze wiedzieć?

- Dlaczego pan się rozszedł z żoną. I dlaczego nie poznał pan jej przy konfrontacji.

Wolski zakrył twarz rękami. Był już u kresu sił. Ale Szczęsny stał nad nim jak kat nad ofiarą i mówił uparcie:

- Oboje dobrze rozegraliście tę scenę. Ostatecznie to nie moja sprawa. Wolno udawać, że się nie poznaje swej byłej żony. Jeżeli rozstaliście się w gniewie. Ale to było przesłuchanie, a nie towarzyska rozmowa. Wprowadzenie w błąd prokuratora i tak dalej. Mniejsza z tym, niech prokurator się nad tym męczy. Ja chcę wiedzieć, dlaczego pan ją zostawił.

Wolski wybuchnął nerwowym, głośnym śmiechem.

- Ja ją zostawiłem?! Ja? A to paradne! Rozumuje pan jak szczeniak.

Szczęsny przezornie udał, że nie dosłyszał ostatniego słowa.

- Dobrze, więc to ona pana zostawiła. Dlaczego?

- Co to pana obchodzi?!

- Głupcze! Czy nie widzisz, że chcę ci pomóc? Potrzeba mi jeszcze tylko paru dowodów, paru... - urwał. Puste pudełko od zapałek poleciało w kąt. Śniade, mocne palceuchwyciły ramię inżyniera. - To ja panu powiem. Bo pani Danuta potrzebowała dużo pieniędzy, a pan Wolski tych pieniędzy miał niewiele. Tak? Tamten nisko pochylił głowę.

- Tylu waszych znajomych umiało jakoś się „urządzić", a pan nie umiał. Tylu kradło na państwowych posadach, a pan nie. Idiota! Miał jeszcze takie... żołnierskie sumienie. Major! Oficer „od Waltera". Kontuzjowany, dekorowany przez samego generała. No cóż... był okres, kiedy kobietom imponowały wstążeczki na mundurze. Przyszedł okres, kiedy imponuje mercedes i komisowy garnitur. Na diabła wam, majorze, zdały się baretki i kontuzja!

- Milcz!

- Nie. O co pan się pokłócił z Okołowiczem?

- O nic.

- Majorze!

- O nic...

- Dobrze, ja panu i to powiem: bo Okołowicz wiedział, że pańska była żona, Danuta Kretz, powiększa swoje zarobki wpływami z Centralnego Zarządu Dostaw Ma...

Błyskawicznie uchylił się i skoczył w bok, unikając ciosu. Wolski stracił równowagę i runął na stół. We drzwiach ukazał się strażnik, ale Szczęsny jednym ruchem ręki odesłał go z powrotem.

- W ten sposób - powiedział do inżyniera z uśmiechem - odegraliśmy scenę, jaka odbyła się w willi owej pamiętnej nocy. Dobrze, że nie ma tu żadnego ciężkiego przedmiotu, bo bym znalazł się w sytuacji Okołowicza, tuż przed... tak, mniejsza o to.

- Przepraszam pana - rzekł Wolski, pocierając sobie stłuczone ramię. - Ma pan rację. Tak to właśnie było.

- A potem?

- Zobaczyłem, że upadł głową na biurko. Byłem przekonany, że go zabiłem. Wybiegłem na ulicę. Na płytach chodnika przed willą potknąłem się, upadłem, stłukłem kolano. Głową uderzyłem o coś, zostało mi małe skaleczenie. Wróciłem do domu.- A w tym czasie, do willi... ach, majorze, nie nadaje się pan do pracy w Centralnym Zarządzie! Nie z przyczyn zdrowotnych, lecz zupełnie innych. Co panu powiedział Okołowicz?

- Mniej więcej to samo, co pan przed chwilą. Dodał tylko, że to ja kryję ich nadużycia.

- Pańska była żona przybrała panieńskie nazwisko swej matki, prawda?

- Tak.

- Jeszcze ostatnie pytanie: czy nie wie pan, kiedy pani Danuta kupiła willę na Mokotowie?

- Nic o tym nie wiem - odparł Wolski, szczerze zdziwiony. - Kupiła willę? Gdzie?

- Na Tynieckiej.

- Swego czasu załatwiałem dla kogoś z Zarządu kupno jednorodzinnej willi na Tynieckiej, ale...

- Pod jedenastym?

- Tak! Przecież chyba... - urwał, twarz jego znieruchomiała na chwilę. - To niemożliwe - szepnął. - Nie. Nie wierzę.

- W różne rzeczy pan jeszcze uwierzy, panie Zbigniewie - powiedział Szczęsny, podsuwając mu pudełko papierosów. - Niech pan to schowa. Znowu przekraczam przepisy, do diabła. Zapałki pan ma? To proszę. I niech pan przemyśli to, co powiedziałem. Do zobaczenia!

Przywołał strażnika, szepnął mu coś na ucho, tamten skinął głową. Kapitan wyszedł.Anna Zabielska wyłożyła z siatki włoszczyznę, ziemniaki i pół kilograma wołowiny na rosół. Obejrzała mięso i skrzywiła się. Wydawało jej się nieświeże. Chwilę stała tak w kuchni, z wołowiną w ręku, dumając nad gospodarskimi sprawami. W końcu umyła mięso pod kranem, włożyła do garnka i sięgnęła po zapałki, gdy usłyszała kroki na schodach. Zdziwiła się. O tej porze mąż nigdy nie wracał, a pani Kretz dopiero przed półgodziną wyszła do pracy.

Odłożyła zapałki i stanęła we drzwiach kuchni.

- To pan? - szepnęła ze zdumieniem na widok kapitana Szczęsnego. - Mąż jest w sklepie... w warsztacie - poprawiła się.

- Dzień dobry - powiedział Biały Kapitan. - Przyszedłem do pani Kretz, ale zdaje się, że pomyliłem godziny. Ona już wyszła, prawda?

- Tak.

- O, młode kartofelki. Pozwoli pani, że pomogę obierać. Strasznie lubię zajęcia domowe, a nigdy nie mam na to czasu. Tym nożem?

Zaskoczona i rozbawiona, podała mu mały nożyk w czarnej oprawce. Widząc zaś, że na serio zabiera się do roboty, zauważyła nieśmiało:

- Ale młodych ziemniaków się nie obiera, tylko lekko skrobie. Pobrudzi pan sobie marynarkę... - to mówiąc, w nagłym przypływie odwagi przepasała go swoim fartuchem. Wyglądał w nim tak zabawnie, że roześmiała się w głos.

- Proszę się nie śmiać - powiedział surowo. - Umiem smażyć wspaniałe naleśniki, ugotować rosół i jajka na miękko. Do czego wrzucać ziemniaki?

Przez parę minut gawędzili o drobnych kłopotach gospodarskich. Anna ośmieliła się tak dalece, że rozmawiała z zupełnie prawie obcym człowiekiem jak ze starym znajomym. A gdy zapytał o jej zdrowie, rozwiodła się szeroko nad jakimiś wspaniałymi pigułkami zagranicznymi, które jej lekarz przepisał i po których „śpi jak suseł", co jej się dawno nie zdarzało. Szczęsny obejrzał pudełko z lekarstwem i w odpowiedzi urządził jej mały wykład, zasilany obficie cytatami z podręczników medycznych i tym wszystkim, czego nauczył się podczas swych dwuletnich studiów na medycynie.

W tym momencie uznał, że pierwsze lody zostały już przełamane.

- Cieszę się - rzekł - że wróciła pani do równowagi po takim przykrym przeżyciu, jakim była śmierć Okołowicza. Choć to był tylko dalszy znajomy, ale gwałtowna śmierć zawsze wywiera silne wrażenie.

- O tak - szepnęła, a twarz jej spoważniała. - Zresztą ja go mało wprawdzie znałam, ale lubiłam. Myślę, że to był dobry człowiek. Czy... czy wiadomo już, kto go zabił?

Spojrzała na Szczęsnego z trwogą, bojąc się, czy nie rozgniewa się za to pytanie. Ale on spojrzał na nią smutnie i tylko potrząsnął przecząco głową.

- Widzi pani - rzekł w zadumie - w takich wypadkach bardzo pomaga nam każdy, kto może wnieść do sprawy choć drobny, najdrobniejszy szczegół, który czasem bywa decydującym odkryciem. Jakiś na pozór nic nie znaczący ślad, niedopałek papierosa, urywek zdania, chronologia wydarzeń... Wszystko to ma olbrzymie znaczenie.

Na twarzy Anny pojawił się jakiś nowy wyraz. Otworzyła usta, jakby chcąc coś powiedzieć, ale szybko zamknęła je i odwróciła głowę w drugą stronę. Szczęsny, nie patrząc na nią, kontynuował od niechcenia:

- Chodzi przecież o to, aby morderca został schwytany i ukarany. Aby uniemożliwić mu dokonanie następnej zbrodni. Kto wie, co czai się jeszcze pod dachem tej willi? Kogo zabójca upatrzył sobie na kolejną ofiarę? Gdybym wiedział na przykład, czy pani naprawdę nie słyszała tamtej nocy żadnego strzału...

- To co? - zapytała ledwie słyszalnym głosem.- To może pomogłoby mi to tak dalece, że zbrodniarz nie dosięgnąłby już nikogo więcej. No, ale przecież powiedziała mi pani parokrotnie, i prokuratorowi również, że...

- Ja skłamałam! - zawołała nagle, patrząc na niego z rozpaczą.

- Dlaczego? - spytał prawie niedbale.

- Bałam się.

- Tego mężczyzny, który był u pani Kretz? Rzuciła mu zdumione spojrzenie.

- Pan wie? - wyjąkała. - Więc pan... więc - plątały jej się słowa, serce biło mocno. Z przyzwyczajenia sięgnęła po flaszeczkę z lekarstwem. Ale Szczęsny powstrzymał ją ruchem ręki.

- Nie warto - powiedział. - Niech pani zostawi to świństwo. Przecież pani wcale nie jest tak bardzo nerwowa. O, proszę lepiej zjeść truskawki - podał jej talerzyk. Machinalnie wzięła łyżeczkę i patrząc mu w oczy jak uległe dziecko, zaczęła jeść. Podsunął jej cukierniczkę.

- Chodzi mi tylko o to - mówił, skrobiąc ostatni kartofel - czy słyszała pani, jak on wychodził. I kiedy to było.

- Najpierw usłyszałam kroki na schodach - zaczęła mówić, opuściwszy talerzyk na kolana. - Ciche, jak by ktoś szedł w skarpetkach albo boso.

- Chwileczkę! - przerwał. - Czy przedtem pani nie spała?

- Myślę, że jednak spałam. I coś mnie zbudziło. Chyba nie te kroki, bo były bardzo ciche... Gdybym mogła sobie dobrze przypomnieć - tarła w zamyśleniu czoło. - Zbudził mnie jakiś stuk. Ale to na pewno nie był strzał. Tak, jakby stuknęły drzwi frontowe. A potem te kroki...

- Szły w dół, czy w górę?

- W dół. Ktoś schodził. Pomyślałam wtedy, że to pewnie wyszedł ten mężczyzna, który był u pani Kretz.

- Czy pani go widziała? Wówczas albo kiedykolwiek?

- Tylko z tyłu. Wysoki... zdaje się, w brązowym ubraniu. Jeszcze zanim zasnęłam, wyszłam do kuchni po herbatę do lekarstwa i wtedy... on właśnie zamykał za sobą drzwi do

jej pokoju, więc tylko przelotnie...- Czy widziała go pani kiedykolwiek przedtem? Albo potem?

- Potem nie. Przedtem... nie widziałam, ale słyszałam szepty na korytarzu, późnym wieczorem. To pewnie był on. Dwa albo trzy razy.

- Czy wszyscy znajomi pani Kretz zjawiali się i znikali tak tajemniczo?

- O nie. Dość często ktoś do niej przychodził. Raz nawet i myśmy byli, na jej imieninach. Jak ma gości, to w całej willi słychać.

- Dobrze. Wróćmy do tamtej nocy. A po cichych krokach w dół - co pani usłyszała?

- Właśnie wtedy... strzał. Bardzo wyraźnie, o wiele wyraźniej niż ten próbny strzał, wówczas gdy przysłał pan do nas milicjanta.

- Czy po strzale słychać było kroki w górę?

- Nie. W każdym razie ja już nie słyszałam. Tylko... jakiś czas potem skrzypnęły drzwi od pokoju pani Kretz.

- Powtórzmy to sobie jeszcze raz, w skrócie: najpierw budzi się pani na odgłos jak gdyby trzaśnięcia drzwi wejściowych na dole, potem słychać kroki po schodach - ktoś schodzi na dół, potem słychać strzał, a wreszcie zamknięcie drzwi od pokoju pani sąsiadki. Tak?

- Tak. O Boże... - spojrzała na niego przerażona - przecież pani Kretz nie zabiła?

Szczęsny wstał, odpasał fartuch i wytarł ręce w chusteczkę. Potem ujął Annę lekko za ramiona i patrząc jej w oczy, rzekł z całą powagą:

- Droga pani, proszę mi zaufać i zastosować się ściśle do tego, co teraz powiem: nikt, ale to absolutnie nikt nie powinien na razie usłyszeć tego, co mi pani opowiedziała. Proszę zdobyć się na taki rozsądek i opanowanie, na jaki tylko panią stać. Sprawa jest poważna. Proszę zapomnieć o tym wszystkim - aż do chwili, kiedy ja sam pani powiem, co dalej robić. Czy pani mnie rozumie?

- Tak - odpowiedziała nadspodziewanie trzeźwo i energicznie. - Inaczej ja mogę być tą następną ofiarą, prawda?- Obawiam się, że tak. Gdyby pani coś groziło albo gdyby chciała się pani ze mną zobaczyć, proszę zadzwonić do Komendy Miasta, pod wewnętrzny 316. Gdyby mnie nie było, ktoś inny mnie na razie zastąpi, względnie da mi znać. A teraz, jeżeli ktokolwiek zapyta panią, czyja tu dziś byłem, proszę powiedzieć, że tak. Byłem, szukałem pani Kretz, poszedłem. To wszystko.

Uścisnął jej rękę, uśmiechnął się i wyszedł. Słyszała jego lekkie, szybkie kroki na schodach. Gdy ucichły, wyjrzała przez okno na półpiętrze. Zobaczyła, jak zatrzymał się na chwilę obok dwóch robotników naprawiających od kilku dni jezdnię przed willą i zapalił

papierosa. Nie zauważyła jednak ledwo dostrzegalnego spojrzenia, jakie rzucił jednemu z robotników i nie usłyszała paru słów, które w zamian otrzymał.

Potem znikł na zakręcie ulicy. Westchnęła. Spojrzała na niedojedzone truskawki. Dosypała cukru, zaczęła jeść.

- Może ci opowiedzieć pewną interesującą historię? - spytał Kręglewski, siadając przy swym biurku. Miał minę zbyt pewną siebie, toteż Szczęsny rzucił niedbale:

- Byle krótko. Śpieszy mi się.

- Chcesz krótko? Jeden łobuz kombinował, drugi brał procent. Kropka. Wsio.

- Zaraz, zaraz... - Biały Kapitan popatrzał na niego, mrużąc oczy. - Jeden łobuz to Zabielski, bo ty nim się zajmujesz. „Na lewo", to chyba zegarki. Pewnie z przemytu. Drugi łobuz to ten, co się z nim spotkał na dworcu, a więc Nowak. Brał procent?

- Teraz rozumiesz, skąd miał tak dobrze wyposażoną garderobę.

- Więc Nowak żył, że tak powiem, z trzech pensji...

- Dlaczego trzech? Brał forsę z 17 Wydziału i procent od Zabielskiego. Co jeszcze?

- Jeszcze co nieco, jak mawiał Kubuś Puchatek.

- Co to za facet?

Szczęsny wybuchnął śmiechem.- Nie czytałeś „Puchatka"? Przyniosę ci jutro obie książki. Przecież... - urwał. Dzwonił telefon. - Słucham, kapitan Szczęsny... Aha, tak... No cóż. Trudno... Rozumiem, panie prokuratorze, chociaż ja bym tego nie zrobił... Ależ naturalnie, że pan ma rację... Do widzenia.

Odłożył słuchawkę i przez chwilę gryzł w zamyśleniu dolną wargę.

- Co mówił Żelecki?

- Wysłał Wolskiego do Tworek.

- No to czego się gryziesz? Dali go na obserwację. Tak trzeba. Tam są dobrzy specjaliści. Dlaczego powiedziałeś prokuratorowi, że ty byś tego nie zrobił?

- Bo Wolski jest zdrów.

- To jeszcze gorzej. W takim razie sprzątnął Okołowicza z pełną świadomością tego, co robi?

- On go nie zabił.

Mały porucznik przyglądał mu się z natężoną uwagą.

- Słuchaj, Szczęsny... masz jakiekolwiek dane, że tam był jeszcze ktoś inny?

- Mam. Ale nie mam, jak dotąd, żadnych danych, że ten ktoś zabił Okołowicza. Rozumiesz? Cały szkopuł polega na tym, że brak mi jeszcze motywu zbrodni. Szukam go, gdzie tylko mogę, ale to śliskie jak żaba. Wciąż wylatuje z rąk.

- I na żaby są sposoby - zauważył filozoficznie Kręglewski. - Według mnie motyw może być tylko jeden: ktoś miał na sumieniu zbyt wielkie machlojki, o których wiedział kierownik 17 Wydziału.

- Ach, to jasne! - żachnął się Szczęsny. - Ale udowodnij, że tak było. A potem udowodnij, że ten ktoś zabił. Motyw nie udowodniony nie ma znaczenia.

Zapukano do drzwi.

- Proszę - powiedział Szczęsny, zsuwając się z biurka. Wszedł niski, tęgawy mężczyzna z teczką. Miał okrągłą twarz, mile uśmiechniętą i różową. Z tą różowością i uśmiechem kontrastowały małe, szare oczy, patrzące ostro i przenikliwie.

- Kapitan Szczęsny, o ile się nie mylę? Jestem starszy inspektor Guziński z Najwyższej Izby Kontroli. Byłem właśnie u pułkownika, który poprosił mnie, abym panu przedstawił pewne... hm, osiągnięcia na niwie Centralnego Zarządu Dostaw Materiałów Rolnych - uśmiechnął się. Oczy Białego Kapitana zabłysły.

- Nareszcie NIK się zjawił - rzekł, wpatrując się w starszego inspektora, jak gdyby chciał przeniknąć jego myśli. - Te „osiągnięcia" niesłychanie mnie interesują. Proszę, niech pan usiądzie.

Guziński siadł obok biurka, rozłożył teczkę i zaczął wyjmować z niej różne dokumenty. Pochylili głowy nad papierami. Kręglewski na palcach wyszedł do drugiego pokoju.

Był zły. Można przecież było się domyślić, że nie ma w Polsce człowieka, który by się nazywał Kubuś Puchatek.

Około dziewiątej wieczorem Szczęsny wprowadził do swego mieszkania magazyniera Jana Kowalczyka vel chorążego Ryszarda Kowińskiego.

Zaciągnąwszy story, posadził gościa w głębi pokoju, wyciągnął pudełko mazurów, sam ulokował się na brzegu biurka, po czym spojrzał na chorążego pytająco.

- Wiecie, kapitanie - zaczął Kowiński przyczesując ciemne, gładkie włosy, które kiepsko zakrywały dużą szramę na ciemieniu - nie sądziłem, że natrafię na takie brudy... Wiele się już w życiu widziało i słyszało, ale tutaj to dosłownie wlazłem w jakieś bagno złodziejskie. Sto razy wolę mieć zresztą do czynienia z prawdziwym złodziejem - uśmiechnął się - takim, wiecie, zawodowym, niż z tymi tam... To straszna banda.

- Fakty - powiedział Szczęsny niecierpliwie.

- Fakty... Nie notowałem, pamiętam. Cement, ogumienie do kół u wozów chłopskich, kafle piecowe dla pegeerów, materiały izolacyjne i elektrotechniczne - wyliczał, rozstawiając palce. - To są te najważniejsze. Mają siuchtę w ministerstwie, nawet dość wysoko. Ci ze

spółdzielni w Wołominie dostali zamówienie na piece w szesnastu pegeerach, w Olsztyńskiem. Lewe zamówienie. Postawili takie piece, że się powywracały, w ogóle nie ciągły. Robotnicy klną w żywy kamień. Ci z Centralnego Zarządu jednemu w ministerstwie dali 120 tysięcy złotych łapówki, drugiemu 160 tysięcy. Temu drugiemu to nawet wiem, jak.

- No?

Chorąży uśmiechnął się znowu.

- W taksówce.

Biały Kapitan spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- Skąd wiecie?

- Jechali z moim bratem.

- Ach, psia...

Szczęsny wiedział, że brat Kowińskiego pracuje w Miejskim Przedsiębiorstwie Taksówkowym.

- Mieli pecha - mruknął współczująco. Obaj parsknęli śmiechem.

- Którzy to?

- Główny księgowy Wisławski i dyrektor administracyjny Skolaga. Bo to było tak: ten facet z ministerstwa spotkał się z księgowym w kawiarni, a stamtąd pojechali taksówką do mieszkania Skolagi. Ale forsę Wisławski dał mu w samochodzie. Rozumiecie, dlaczego?

- Jasne. W razie czego Skolaga jest kryty - nie ma żadnych świadków. Zapomnieli o kierowcy. Skąd wiecie, ile dostali ci z ministerstwa?

- Ba! - Kowiński wydął lekceważąco wargi. - Wystarczy, że o takich rzeczach wiedzą dwie - trzy osoby, a sprawa przestaje być tajemnicą. Tam kradnie całe kierownictwo. Tylko o Lewieckim jakoś nic nie mówią. Albo jest tak głupi i naiwny, że wszystko robią za jego plecami, albo...

- Albo co? - podchwycił Szczęsny. Chorąży zamyślił się.

- Czort jego wie - wzruszył ramionami. - Mówią, że jedynym uczciwym człowiekiem w kierownictwie to był inżynier Wolski. Ale jak próbowałem coś zaczepić o Lewieckim, to milkli.

- Boją się.

- Tak, to możliwe. Zatonęli tak głęboko, że teraz ten jeden ma ich wszystkich w ręku. Kapitanie, tam potrzebny jest ktoś z Najwyższej izby Kontroli. I to nie jeden, a całakomisja. Bo te mniejsze pionki kontrolne to... - machnął ręką. - Jak taki inspektor zarabia półtora tysiąca, a podsuną mu pod nos dwadzieścia kawałków, to mu oko zbieleje. Forsą i strachem można wielu ludzi wziąć za mordę. Cóż, człowiek nie anioł.

- Wam już proponowali?

- A czy raz?! - roześmiał się. - Będę musiał stamtąd wiać, bo zaczynam być dla nich podejrzany. Już raz zarobiłem u podobnych typów... - dotknął ręką szramy na głowie.

Milczeli przez chwilę.

- Dobrze - zdecydował Szczęsny. - Jutro zgłosicie się do tamtejszego wydziału kadr i poprosicie o natychmiastowe zwolnienie.

- A jak nie będą chcieli?

- Będą. Ktoś z nas zadzwoni, że jesteście podejrzani o notoryczne okradanie... boja wiem? kiosków z piwem czy coś w tym rodzaju. W każdym razie nie ma sensu, abyście tam dłużej tkwili. I nie ma potrzeby, bo NIK już się tym zajął. Przekażcie mi tylko na piśmie wszystko, co wiecie o Centralnym Zarządzie Dostaw... czego, bo zapomniałem?

- Materiałów Rolnych - dokończył chorąży Kowiński.

Do gmachu Komendy Wojewódzkiej MO w Gdańsku wszedł niewysoki, szczupły mężczyzna o bardzo jasnych włosach i śniadej cerze. Okazał wartownikowi swoją legitymację, zapytał o coś i skierował się w stronę schodów. Na półpiętrze schodzący z góry major zawołał na jego widok ze zdziwieniem:

- Szczęsny! Skąd tyś się tu wziął? Jesteś na urlopie?

- Bodaj to... - westchnął Biały Kapitan, witając się z nim serdecznie. - Do mego urlopu jaszcze cały miesiąc. Dobrze, Staszku, że cię spotykam. Jesteś mi potrzebny.

- Ale chodź wpierw ze mną do stołówki. Jestem piekielnie głodny.

Szczęsny poczuł nagle, że jego żołądek również domaga się czegoś, i to bardzo natarczywie. Prawdę mówiąc, nie jadł od poprzedniego południa, nie licząc jednego cukierka znalezionego w kieszeni.- Chodźmy. Może nareszcie zjem śniadanie.

W stołówce dostali kiełbasę na gorąco, świeże bułki i herbatę. Gdy zaspokoili pierwszy głód, kapitan sięgnął po papierosa i zapytał:

- Masz listę właścicieli jachtów na całym Wybrzeżu?

- Nie ma ich znów tak wielu - uśmiechnął się Stępiński. - Mają trochę „finnów", wiesz, te z ożaglowaniem typu ket i żaglem na dziesięć metrów kwadratowych...

- Wiem - przerwał Szczęsny niecierpliwie. - Wszystkie „finny" mają ket.

- Jest kilka „latających holendrów" z importu, sprowadził je dla kadry narodowej komitet olimpijski. No, co jeszcze... Aha, poczekaj. Może to cię zainteresuje.

Nacisnął dzwonek. Wszedł kapral milicji.

- Słuchajcie, kto jest właścicielem tego amerykańskiego „stara"?

- Główny księgowy z jakiegoś biura w Warszawie, Wisławski - odparł podoficer bez zająknienia. - Nie ma go teraz. Jacht jest w remoncie.

- Amerykański „star”? - spytał Szczęsny ze zdziwieniem. - Myślałem, że nie ma ich w wolnej sprzedaży. Przecież to cholernie droga rzecz.

- Około siedemdziesięciu tysięcy złotych. Wisławski kupił go z drugiej ręki i dał, o ile się nie mylę, siedemdziesiąt trzy kawałki.

- Nie znam „starów”. Powiedzcie mi coś więcej o tym jachcie.

- No, to jest łódź dwuosobowa, balastowa. Ożaglowanie grot i fok. Piękna łódź.

- Czy można do niej założyć motor?

- Można, jak by kto chciał.

- O jakiej sile?

- No, powiedzmy: dwadzieścia KM. Szczęsny zamyślił się.

- Znacie tego Wisławskiego, kapralu? Podoficer potrząsnął głową.

- Tak mi się wydaje, że go tu jeszcze nie było - odparł. - Bo zeszłego lata to na tym „starze” pływał ktoś inny. Znajomy Wisławskiego.- Wysoki, ciemny blondyn, też z Warszawy - powiedział kapitan.

Kapral uśmiechnął się lekko.

- Trochę wiecie, obywatelu kapitanie, ale nie wszystko. Ten blondyn nie był sam.

- Był z bardzo ładną brunetką, zgrabną i ubraną jak gwiazda filmowa, tak?

Major i kapral spojrzeli na Szczęsnego ze zdziwieniem.

- Wszystkiego oczywiście nie wiem - pocieszył ich. - Dałbym wiele, żeby już dziś wiedzieć. W jakim stanie jest jacht?

- Musiałbym sprawdzić. Ale to chyba nic wielkiego. Może tylko go malują, bo był już trochę odrapany.

- Czy są powody, dla których chcesz, abyśmy zwrócili uwagę na ten jacht? - spytał Stępiński.

- Są. Jak najbardziej. Chciałbym tylko, aby absolutnie nikt w warsztacie remontowym nie zorientował się, że jacht jest obserwowany. - Wstał i spojrzał na zegarek.

- To się rozumie. Szkoda, że na tak krótko przyjechałeś.

- Taki już mój los - odparł żegnając się.

Do odejścia pociągu miał jeszcze trzy godziny. - Zdążę popływać - pomyślał z radością.

Woda była ciepła, spokojna. Wypłynął daleko przewrócił się na wznak i pozwalał kołysać lekkim falom. Wypoczywał.

W tydzień po powrocie Szczęsnego z Gdańska, wczesnym rankiem, zbudził go ostry dźwięk telefonu. Dzwonił porucznik z grupy specjalnej, która zajmowała się sprawą zamordowania Lucjana Metelskiego.

- Mamy Sieczkę - powiedział zmęczonym, zachrypniętym głosem.

Biały Kapitan otrząsnął się z resztek snu. Chciał o coś zapytać, ale porucznik, nie słuchając ciągnął dalej:

- Mówię wam, sypie jak siewnik ziarno. Wrabia swego braciszka prezesa, głównego księgowego z Centralnego Zarządu i dyrektora Skolagę... może jeszcze tam kogoś, już mi się we łbie plącze, bo siedzimy z nim od sześciu godzin.Szczęsny spojrzał na leżący przy tapczanie zegarek. Dochodziło wpół do piątej.

- Czy mówi coś o naczelnym dyrektorze, Lewieckim?

- Nie. Twierdzi, że go nie zna. Pieniądze za zabójstwo dał mu brat. Podobno Sieczka nie wiedział, że chodzi o kogoś z milicji. Prezes powiedział mu: „Trzeba sprzątnąć kontrolera, bo za dużo wie". Myślę, kapitanie, że ci dwaj bandyci i Sieczka to narzędzie w czyimś ręku. Prawdopodobnie w ręku tych z Centralnego Zarządu.

- O co Sieczka oskarża dyrektora Skolagę?

- O kanty gospodarcze, robione za pośrednictwem wołomińskiej spółdzielni. Zdaje się, że w rezultacie posadzimy ze dwadzieścia osób.

- Ja w każdym razie muszę na pewno posadzić jedną - mruknął Szczęsny, na wpół do siebie. Usiadł na tapczanie, odrzucając kołdrę.

Porucznik powiedział jeszcze, że jest „cholernie zmęczony" i jeżeli Szczęsny chce, to protokół z przesłuchania Sieczki będzie gotowy na dziewiątą rano. Po czym obaj odłożyli słuchawki.

Kapitan przeszedł do łazienki, wziął zimny tusz i nastawił wodę na kawę. Otworzył szafkę, w której chował jedzenie i zadumał się. Prócz kromki bardzo starego chleba znalazł w niej jedynie paczkę makaronu, odrobinę masła i dwa pomidory. Sapnął z irytacją, długo i hałaśliwie grzebał na dnie szafki, aż wyciągnął litrowy garnek i małą patelnię. Po kwadransie na kuchennym stole stało gotowe śniadanie: makaron z pomidorami i duży kubek mocnej kawy. Na patelni skwierczały w resztkach masła grzanki z chleba.

O szóstej rano Biały Kapitan był już w komendzie. Zamknął się w pokoju i przez dwie godziny siedział przy biurku nad stosem notatek, dokumentów i luźnych uwag robionych na małych karteczkach. Pięć minut po ósmej wszedł do gabinetu swego szefa.

- Wiesz, że złapano Sieczkę? - spytał, siadając na parapecie.

Daniłowicz przytwierdził ruchem głowy.- Wydaje się - rzekł, szukając czegoś w biurku - że teraz cała afera zacznie nam puchnąć w rękach jak drożdżowe ciasto, aż urośnie do całego tłumu przestępców gospodarczych.

- Tak. Hm... Na czele tłumu często stoi jednostka. Najsprytniejsza i najbardziej winna.

Major siedział przez chwilę w milczeniu. Wreszcie podniósł oczy na Szczęsnego.

- Skolaga? - stwierdził raczej, niż zapytał. - Rozmawiałeś z nim kiedyś, co to za typ?

- Typ aferzysty. Młody, chciwy na forsę, sprytny, zdolny... Stefan, czy ty rozumiesz, dlaczego ja nie wierzę w to, że Wolski zabił Okołowicza?

- Co? - major nie był przygotowany na ten nagły skok myślowy. - Okołowicza? Tak, rozumiem. Uważasz, że taki człowiek jak Wolski nie strzela drugiemu w plecy. Powiedział ci to już zresztą ten stary lekarz z Nidzicy. Cała rzecz polegać może jednak nie na charakterze Wolskiego, lecz na jego chorobie psychicznej. Mógł to zrobić podświadomie lub na wpół świadomie. Widzę, że się ze mną nie zgadzasz.

- Nie.

Daniłowicz wymownie rozłożył ręce.

- W takim razie, kto go zabił?

Szczęsny zsunął się z parapetu i podszedł tak blisko, że major zobaczył tuż przed sobą jego wąskie, czarne oczy. Był przekonany, że na dnie tych oczu pobłyskują w tej chwili iskierki rozbawienia czy ironii.

- Posłuchaj, szefie - kapitan mówił cicho, choć drzwi były zamknięte. - Najdalej za tydzień w tym pokoju powiem ci, kto zabił Okołowicza. I Nowaka.

- Geniusz - mruknął major zgryźliwie. - Dam ci order. Chciałbym tylko za tydzień oglądać cię tutaj żywego i całego - dodał niespokojnie, znając wrodzoną lekkomyślność Białego Kapitana. - Żadnych prywatnych poszukiwań, żadnej „partyzantki" milicyjnej, pamiętaj. To się zwykle smutno kończy.

- Nie bój się. Ja umrę zimą, w największy mróz. Będziesz niósł wieniec, aż ci łapy pomarzną.- Żadnych wieńców. Posadzę ci na grobie pelargonię. No, dosyć głupstw. Czy te twoje przechwałki mam brać na serio?

- Jak najbardziej.

I Szczęsny, pogwizdując cicho, wyszedł z gabinetu.W cztery dni później major Daniłowicz obudził się rano w jak najgorszym humorze. Poprzedniego wieczoru otrzymał z Komendy Głównej coś, co można by nazwać łagodnie - wyrzutami. Bardziej zbliżone do prawdy byłoby jednak słowo: upomnienie.

Zbyt długo wlokło się już dochodzenie w sprawie noszącej kryptonim „Dwa włosy blond". Zaryzykował wtedy i powtórzył słowa swego zastępcy, że najdalej za tydzień morderca Okołowicza będzie w rękach milicji.

Gdy zbudził się teraz i przypomniał sobie owo zapewnienie, poczuł, że cierpnie na nim skóra. Dał się zasugerować Szczęsnemu. On, stary wyga w pracy śledczej, poszedł na lep gołosłownych przechwałek...

Wściekły i zmartwiony, sięgnął po słuchawkę i nakręcił numer telefonu Szczęsnego. O tej godzinie - była szósta rano - powinien być jeszcze w domu.

Sygnał długo, cierpliwie powtarzał swoje wezwanie, ale nikt nie podchodził do aparatu. - Znowu gdzieś łazi - pomyślał Daniłowicz odrzucając słuchawkę na widełki. W tej samej chwili telefon zadzwonił.

- Co jest? - burknął zdziwiony. - Aaa, to ty. Skąd dzwonisz?... Co? - usiadł na łóżku. - Nie słyszę. Jak?... Ja cię bardzo proszę, bez głupich żartów! - krzyknął gniewnie. - Wczoraj miałem rozmówkę w Komendzie Głównej i wcale nie... Co? - nagle zmienił ton. - Kiedy?... Skolagę i Wisławskiego?... Tak. Za pół godziny będę w komendzie.

Odłożył słuchawkę i ze stęknięciem wygramolił się z łóżka.

- Stefek, nie idź bez śniadania - poprosiła żona, zrywając się i narzucając spiesznie szlafrok. - Zaraz ci coś przygotuję.- Owsa do worka - mruknął, wychodząc do łazienki. Było to ich utarte powiedzonko i oznaczało kilka kanapek, zapakowanych i włożonych do majorowej teczki. Czasami zdarzało się jednak, że „owies" wraz z „workiem" wracał nienaruszony do domu. Pani Barbara wiedziała wówczas, że mąż jej miał tego dnia wiele trudnej pracy.

Z westchnieniem zabrała się do krajania, smarowania i pakowania, podczas gdy major golił się nieuważnie, przerywając tę czynność co chwila i zamyślając się.

Szczęsny powiedział mu, że przed półgodziną aresztowano dyrektora Skolagę i Wisławskiego. Dziwne, że zrobiono to o tak wczesnej porze. Widocznie prokurator miał pewne obawy, czy obaj podejrzani nie będą usiłowali zbiec. Ale dlaczego starszy inspektor NIKu, Guziński, nie zawiadomił go wczoraj o wynikach swej kontroli?... Nagle przypomniał sobie, że przecież poprzedniego dnia był aż do późnej nocy na odprawie w Komendzie Głównej. Guziński mógł dzwonić i przychodzić, nawet parokrotnie.

- Herbata gotowa! - zawołała pani Barbara.- Chodź i PijPodszedł do stołu i spojrzał podejrzliwie na szklankę, z której dymiło.

- Gorąca - skrzywił się. Nie znosił gorących płynów.

- Nie gorąca. Przestudzona. Pij i nie grymaś. Szefem można było być w komendzie, ale nie w domu.

Tutaj rządziła żona. Posłusznie sięgnął po szklankę.

- Zbyszek śpi? - spytał, zaglądając do drugiego pokoju. Nie lubił wychodzić z domu, nie ucałowawszy swego ośmioletniego synka.

- Tato - doleciało go rozespane wołanie. - Tato, co to jest mumia?

- Taki... suszony człowiek w pudełku - odparł żartobliwie. - Skąd ci to przyszło do głowy?

- Bo Jurek mówił, że pani od geografii wygląda jak mumia egipska. To ona jest suszona?

- Widzisz, co za głupstwa wygadujesz dziecku - rozgniewała się pani Basia. - Gotów to powtórzyć w szkole.

- Tato, powiedz? Suszona?- Tata musi iść - wykręcił się major dyplomatycznie. - Pa, syneczku.

- Późno wrócisz? - spytała żona z lekkim westchnieniem. Od trzech tygodni wybierali się razem do kina. Już dwukrotnie od tej pory zmieniono program.

Przystanął w drzwiach i spojrzał na nią z troską w oczach.

- Nie wiem - odparł ostrożnie. Bał się, że właśnie dziś wróci bardzo późno. Potrząsnął głową. - Nie wiem... - powtórzył.

Dochodziła ósma wieczór. W gabinecie majora Daniłowicza, mimo otwartych okien, było szaro od dymu. Dwaj prokuratorzy - Żelecki i przedstawiciel stołecznej prokuratury, Sawiejko - rozmawiali ściszonym głosem w kącie pokoju. Prócz Daniłowicza i Szczęsnego był jeszcze major Polański z Komendy Głównej i starszy inspektor Najwyższej Izby Kontroli, Guziński. Daniłowicz zwrócił się nagle do Żeleckiego.

- Czy wie pan, że kierownik 17 Wydziału nie przyszedł dziś do pracy? - spytał, uchylając drzwi na korytarz, aby przeciąg rozwiał dym.

Żelecki spojrzał na niego z roztargnieniem. Był tak zmęczony, że nie zrozumiał pytania. Poprosił o powtórzenie i skinął głową. Tak, prokuratura wiedziała o tym. Bielecki podobno zachorował.

Sawiejko poruszył się niecierpliwie i spojrzał na zegarek.

- Ten jegomość mógłby już tu być - mruknął. W tej samej chwili na biurku zadzwonił telefon.

Szczęsny, siedzący najbliżej, schwycił słuchawkę. - Tak, słucham... - powiedział ze źle ukrywanym podnieceniem. - Wprowadźcie go.

- Kapitanie - rzekł Sawiejko ostrzegawczym tonem. - Raz jeszcze przypominam o wszelkich konsekwencjach, jakie mogą wyniknąć z tego oskarżenia. Miałem już cztery telefony z ministerstwa w sprawie Skolagi, a tym bardziej... - urwał.Drzwi otworzyły się i stanął w nich dyrektor Lewiecki. Był bardzo blady, ale w twarzy jego widniał spokój i opanowanie. Lekko zdziwionym wzrokiem obrzucił gabinet, skinął głową, w ten krótki sposób witając wszystkich obecnych i zajął ostatnie wolne krzesełko, obok szafy z książkami.

Sawiejko odchrząknął, raz jeszcze rzucił szybkie spojrzenie w stronę Szczęsnego, po czym chciał coś powiedzieć, ale Biały Kapitan go uprzedził.

- Poprosiliśmy pana, dyrektorze - zaczął, przysiadając na samym brzegu biurka - aby wspólnie zastanowić się nad sytuacją w Centralnym Zarządzie. Jak pan zapewne już wie, prokurator wydał dziś nakaz aresztowania dyrektora Skolagi i głównego księgowego Wisławskiego.

- Tak - odparł Lewiecki z westchnieniem. - Ja sam bym zresztą tutaj przyjechał. Mam wiele na sumieniu - uśmiechnął się blado.

Obaj prokuratorzy wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia. Daniłowicz poruszył się niespokojnie.

- Przyznaję się do bardzo poważnych zaniedbań. Karygodnych zaniedbań na stanowisku, jakie zajmuję - ciągnął dalej Lewiecki. - Nie tylko tolerowałem nadużycia, ale patrzyłem przez palce na rozkradanie dobra państwowego z naszych magazynów. Jestem bardziej winien niż Skolaga i Wisławski, gdyż jako dyrektor naczelny zaufałem im w sposób naiwny i lekkomyślny. Za tę lekkomyślność muszę teraz zapłacić.

Przerwał i odetchnął, jak by zrzucił z siebie jakiś ciężar.

- W Centralnym Zarządzie - mówił teraz raczej do obu prokuratorów, odwróciwszy się w ich stronę - działy się rzeczy złe. Kradzieże, nieprzestrzeganie przepisów, niedbalstwo... powodowało to poważne nadużycia finansowe. Ja jestem za to odpowiedzialny. Na pewne sprawy zwracał mi już uwagę inspektor Nowak, ale nie przykładałem do tego wagi. Zdawało mi się, że to nadgorliwiec. Był zresztą bardzo młody, myślałem, że nie ma doświadczenia. Wierzyłem Skoladze, wierzyłem księgowemu, magazynierowi. Gotów jestem ponieść wszelkie konsekwencje swego postępowania - zakończył niemal szeptem. Zwiesił głowę.Przez chwilę trwało milczenie. Lewiecki podniósł oczy i przesuwał wzrok od jednej postaci do drugiej. Gdy napotkał spojrzenie Guzińskiego, zmarszczył brwi. Starszy inspektor uśmiechał się drwiąco, tak wyraźnie, że nie sposób było tego nie zauważyć.

- O pańskiej roli w nadużyciach Centralnego Zarządu - zaczął Szczęsny z namysłem - wiemy już tyle, że możemy odpowiednio ocenić to, cośmy przed chwilą usłyszeli. Mnie jednak interesuje inna sprawa.

- Tak? Słucham. - Ton głosu był chłodny i spokojny.

- Pewnego majowego wieczoru do willi, w której na parterze mieszkał kierownik 17 Wydziału Finansowego, Stanisław Okołowicz, przyszedł jego znajomy, inżynier Zbigniew Wolski. Pański dobry znajomy, dyrektorze.

- Pracownik naszego Zarządu - uzupełnił Lewiecki. Zapalił papierosa i słuchał dalej, bez zdziwienia.

- W tej samej willi na piętrze mieszka do dziś dnia pani Danuta Kretz, ekspedientka z firmy „Zofia". Była żona inspektora Wolskiego.

Lewiecki drgnął i przymknął na chwilę oczy. To było pierwsze, niespodziewane uderzenie.

- Obok niej zaś mieszkają Zabielscy. Tuż nad gabinetem kierownika Okołowicza. Ściany willi są dość cienkie, głosy z dołu słychać niewyraźnie, ale - słychać. Owego wieczoru inżynier Wolski był zdenerwowany. Nie więcej niż każdy z nas, gdy ma kłopoty czy przykrości. W dodatku usłyszał od kierownika Okołowicza kilka zdań, które go - co jest zresztą zrozumiałe - wyprowadziły z równowagi. Chwycił marmurowy przycisk i nie zastanawiając się uderzył nim Okołowicza w głowę. Kierownik upadł na fotel, opierając się głową o biurko. Wolski pomyślał wówczas: - zabiłem go. Przerażony, wybiegł z willi, w ciemności potknął się o wystającą płytę chodnika, przewrócił, skaleczył sobie skórę na skroni, rozerwał spodnie na krzaku róży. Wybiegł na ulicę, skierował się w pierwszym odruchu do postoju taksówek, ale zmienił zamiar i pieszo wrócił do domu. Przez całą noc zastanawiał się, co zrobić. Nad ranem postanowił wyjechać. Spakował rzeczy,o szóstej godzinie wyszedł na dworzec. Po południu tegoż dnia był już u swego dawnego znajomego, pewnego lekarza, w Nidzicy. Przez kilka dni nie wychodził z domu. Przyjaciel pokazał mu gazetę, w której był nekrolog Okołowicza. Obaj zastanawiali się, co zrobić. Lekarz radził zgłosić się na milicję, Wolski wahał się. Potem przestał się ukrywać, było mu wszystko jedno. Wiedział, że czeka go więzienie. Wtedy ktoś z naszych funkcjonariuszy rozpoznał go na ulicy. Przywieziono go do Warszawy. Obecnie przebywa na obserwacji w zakładzie psychiatrycznym.

Szczęsny umilkł, sięgnął po papierosa. Lewiecki patrzył gdzieś w bok. Siedział nieruchomo jak posąg. Sawiejko ssał dolną wargę, wpatrując się w kapitana z natężeniem.

- Wróćmy jednak jeszcze do owej nocy. Pani Danuta Kretz, wbrew temu, co nam powiedziała, nie była wówczas sama. Mężczyzną, który u niej się znajdował, był pan, dyrektorze Lewiecki.

- Nonsens - uśmiechnął się Lewiecki łagodnie.

- Całe życie składa się właśnie z takich nonsensów - Szczęsny pozwolił sobie na małą dygresję. - Już od dość dawna nawiązał pan z Danutą Kretz bliską znajomość. Bliską, choć starannie ukrywaną. Nic dziwnego, ma pan przecież żonę i dwoje dzieci. Spotykaliście się późnym wieczorem, w willi. Czasami w Krynicy. Kierowniczka pensjonatu „Mimoza" dobrze pana pamięta. No cóż... sprawy te nie interesowałyby milicji, gdyby nie fatalne skutki tej znajomości. Bo Danuta Kretz - piękna, elegancka pani - domagała się od swego znajomego coraz to większych sum pieniężnych. Na to zaś pensja dyrektorska nie wystarczała.

- Panie prokuratorze - powiedział Lewiecki, zwracając się do Sawiejki - ja proszę o skierowanie tego przesłuchania na właściwe tory. Myślę, że moja znajomość z panią Kretz absolutnie nikogo tutaj nie powinna obchodzić.

- O ile konsekwencje jej, jak powiedział kapitan, nie okażą się w dalszym przesłuchaniu fatalne - odparł za Sawiejkę inspektor Guziński. Prokurator skinął tylko głową.

- Pani Kretz - Szczęsny, mówiąc, chodził teraz miarowym krokiem po gabinecie - chciała mieć nie tylkopiękne suknie, biżuterię etcetera. Chciała mieć również jacht. I taki jacht - amerykański „star" - kupił pan, dyrektorze, dwa lata temu. Aby zaś uniknąć ewentualnych wypytywań, zapisał go pan w Gdańsku na nazwisko księgowego Centralnego Zarządu, Wisławskiego. Pieniędzy starczyło na coś więcej niż jacht. Pewnie że warto mieć i własną willę. Ma pan ją przy ulicy Tynieckiej numer jedenaście. Kupno tej willi załatwiał dla pana, dyrektorze, inżynier Wolski... eksmąż pańskiej kochanki.

- Protestuję! - krzyknął Lewiecki. - Willa na Tynieckiej została kupiona z własnych funduszy pani Kretz i jest zapisana na jej nazwisko. Ja nie miałem z tym nic wspólnego.

- Udowodnię panu później, że mam rację. Była więc własna willa, był jacht, samochód... To wszystko kupione z pensji?

Lewiecki nie odpowiedział. Patrzył teraz na prokuratora Żeleckiego, jak by od niego oczekiwał pomocy.

- Oczywiście, że nie - odpowiedział Szczęsny sam sobie. - Kontrola NIKu wykazała, że pańskie nielegalne dochody z fikcyjnych rachunków, nierozliczanie się z pobranych materiałów i inne tego typu transakcje, o których szerzej i dokładniej powie inspektor Guziński, wyniosły w ciągu ostatnich dwóch lat około sześciu milionów siedmiuset tysięcy złotych...

- Zgadza się - mruknął Guziński.

- Usłyszeliśmy tu przed chwilą z pańskich ust, że poczuwa się pan do winy za karygodny brak kontroli, za tolerowanie kradzieży, za zaufanie do ludzi... Ależ to pan kradł w tej instytucji najwięcej! Pan przeprowadzał najbardziej nielegalne transakcje, pan brał grube sumy przy podpisywaniu różnych umów, pańskim pomysłem były nadużycia, robione przy pomocy spółdzielni w Wołominie. Tylko że nigdy nie występował pan osobiście, o, nie! Na to był pan za ostrożny. Świetnie robili to za pana dyrektor Skolaga i główny księgowy Wisławski. Opowiedzieli nam już zresztą o wszystkim bardzo dokładnie.- Kłamią, aby się ratować - rzekł Lewiecki, wzruszając ramionami. - To bardzo łatwo zrzucić teraz winę na kogoś trzeciego.

- Aby udowodnić pańską winę, dyrektorze, nie trzeba być takim znów wielkim specem w księgowości - uśmiechnął się inspektor Guziński. - Mógł to doskonale zrobić i Nowak, i Bielecki. Tylko że i jeden, i drugi otrzymywał od pana dość znaczne sumy za milczenie. Co prawda, Nowaka zmuszono do milczenia raz na zawsze...

- Wróćmy jednak do owego wieczoru majowego - zaczął znowu Biały Kapitan. - Tego dnia wyszedł pan z domu około godziny wpół do jedenastej wieczór...

- Nieprawda - rzekł ostro Lewiecki. - Byłem przez cały wieczór i noc w domu.

Szczęsny podszedł do drzwi, uchylił je i przywołał kogoś z korytarza. Do gabinetu ciężkim krokiem wszedł jakiś mężczyzna. Spojrzał na obecnych, na chwilę zatrzymał wzrok na Lewieckim, który na jego widok nerwowo zacisnął ręce.

- Pan jest dozorcą domu, w którym mieszka siedzący tu w tej chwili dyrektor Brunon Lewiecki?

- Ano tak - odparł mężczyzna.

- Proszę powtórzyć, co zeznał pan podczas przesłuchania.

- Ano - zaczął dozorca - zeznałem, znaczy się, że wieczorem... to było ostatniego maja, przed jedenastą, może o wpół, a może tak za dwadzieścia jedenasta - siedzieliśmy z żoną na ławeczce w bramie, bo wieczór był ciepły i nie chciało nam się spać. Wtedy żona mówi: - Patrz, Franuś, idzie dyrektor Lewiecki. To ja spojrzałem i widzę, że pan dyrektor wychodzi z bramy na ulicę.

- Czy pamięta pan, o której wrócił? - spytał Sawiejko.

- No, to było w nocy. Bramę dawno już zamknąłem. Mogła być dwunasta godzina albo wpół do pierwszej. Pan dyrektor zadzwonił, ja otworzyłem i... - zawahał się.

Lewiecki spojrzał na niego wściekle. Na twarzy wystąpiły mu dwie czerwone plamy, oczy błyszczały.

- Dziadu... - zmełł w ustach jakieś niecenzuralne słowa.- Sameś dziad - rozgniewał się dozorca. - Masz! - wyjął coś z kieszeni i cisnął w dyrektora zmiętym w kulkę banknotem. - Autami się rozbija, a za bramę to... - umilkł. Szczęsny schylił się, podniósł banknot i rozwinął. Było to pięć złotych.

Guziński wybuchnął śmiechem. Obaj prokuratorzy spojrzeli na Lewieckiego, a potem na siebie.

- Pięć złotych za otworzenie bramy to mało? - spytał major Polański z lekką ironią.

- Jak od kogo - odparł dozorca bynajmniej niezmieszany. Ukłonił się, raz jeszcze spojrzał ze złością na Lewieckiego i wyszedł.

- Dozorca jest zły, że dostał za mało, w jego mniemaniu, i chce mnie wpakować. To chyba jasne - powiedział dyrektor.

- Przypuśćmy. I pan, i pani Kretz wiedzieliście wówczas, że w pokoju kierownika Okołowicza znajduje się inżynier Wolski. Gdy wybiegł z willi, pani Kretz zeszła na dół. Zajrzała do gabinetu, zobaczyła, że kierownik leży nieprzytomny w fotelu. Wróciła do swego pokoju i powiedziała panu, co się stało. Wtedy oboje powzięliście decyzję... Okazja była świetna. Zeszliście do gabinetu. Z szuflady biurka wyjął pan pistolet Okołowicza. Tak, strzał w plecy, z pewnej odległości, to do pana pasuje.

- To kłamstwo - powiedział Lewiecki zduszonym szeptem.

- Strzelił pan do nieprzytomnego. Zabił pan Okołowicza, dyrektorze Lewiecki. Potem, wraz z pistoletem, wyszedł pan z willi. Pistolet wrzucił pan do włazu na Filtrowej. Tamtędy wiedzie droga z willi do pańskiego domu.

- Dowody! - rzucił Lewiecki ostro.

Szczęsny znów skierował się do drzwi. Weszła Anna Zabielska. Była blada, ale twarz jej miała zdecydowany wyraz.

- Od pewnego czasu - zaczęła mówić cicho, lecz wyraźnie - wiedziałam, że do pani Kretz późnym wieczorem ktoś przychodzi. Robiło to wrażenie, jak by ten ktoś krył się przed innymi mieszkańcami willi. Tego wieczoru, kiedy zabito kierownika Okołowicza, zauważyłam, że w pokoju pani Kretz jest jakiś mężczyzna. Wychodziłam z kuchni, a on właśnie zamykał drzwi od jej pokoju. Twarzy nie dostrzegłam, ale był dość wysoki i miał ciemne ubranie, może brązowe. Potem... leżałam już w łóżku, kiedy usłyszałam stuk drzwi frontowych, jak by ktoś je za sobą zatrzasnął. Potem - kroki po schodach, w dół. W parę minut później, strzał.

- Czy nie myli pani kolejności? - spytał nerwowo Żelecki. - Czy na pewno wpierw było zamknięcie drzwi wyjściowych, a dopiero w parę minut później strzał?

- Na pewno - odparła stanowczo.

To było bardzo ważne zeznanie i obecni dobrze to rozumieli. Jeżeli strzał nastąpił po wyjściu Wolskiego...

- Dziękuję pani - zwrócił się Szczęsny do Zabielskiej i wyprowadził ją na korytarz, po czym wrócił z niską, przysadzistą kobietą w chusteczce na głowie. Była zażenowana, nerwowo splatała i rozplatała palce, głos jej trząsł się, gdy zaczęła mówić:

- Ja pracuję jako sprzątaczka w Centralnym Zarządzie. We środę rano, drugiego czerwca to było... sprzątałam biuro jak zwykle, ja i Kowalska, ona jedną stronę korytarza, ja drugą. Kiedy chciałam zetrzeć kurz z parapetu w gabinecie pana inżyniera Wolskiego, to... - zawahała się.

Lewiecki zaczął patrzeć na nią ze wzrastającym niepokojem,

- No, pani Wiśniewska, śmiało - zachęcił ją Szczęsny. - Co było na parapecie?

- Papierośnica - odparła ledwie dosłyszalnie. Lewiecki zerwał się z krzesła i zaraz usiadł z powrotem, usiłując opanować drżenie rąk. Na czole miał duże krople potu. Żelecki obserwował go uważnie, po czym powiedział coś cicho do Sawiejki. Tamten skinął głową.

- Jak wyglądała ta papierośnica? - pytał cierpliwie kapitan.

- Jakaś taka zagraniczna, bardzo lekka. Jakby z bursztynu. Ciemnobrązowa. O Jezu - zaczęła nagle płakać. - Pan mi obiecał, że nie będę karana - wołała wśród szlochów. - Ja to dla syna chciałam, jak z wojska wróci... Teraz mnie do więzienia wsadzą! Matko Boska, co ja narobiłam...- Niech się pani uspokoi - powiedział Żelecki. - Zabrała pani tę papierośnicę do domu?

Skinęła głową, ocierając łzy.

- Myślałam, że może kto obcy zostawił... - szepnęła. Szczęsny wyjął z kieszeni czworokątną, złotobrunatną papierośnicę, pokrytą delikatnym rysunkiem i chińskimi znakami.

- To ta? - spytał.

- A ta - odparła. - Przecież panu dałam.

- Poznaje pan, dyrektorze? - zwrócił się kapitan do Lewieckiego. - Czy mam poprosić pańską sekretarkę i jeszcze z pół tuzina osób, które świetnie pamiętają...

- Nie trzeba - przerwał mu szorstko. - To moja papierośnica.

Przez chwilę panowało milczenie. Sprzątaczka wyszła.

- Na korytarzu jest jeszcze jeden świadek - powiedział Szczęsny po chwili.

- Poproście - rzekł major Polański.

Do gabinetu wszedł młody, tęgi mężczyzna. Szczęsny podszedł do niego i rzekł ze znużeniem w głosie:

- Niech pan powtórzy, doktorze, swoje zeznania.

- Jestem lekarzem laryngologiem, moje nazwisko Wacław Dobrowolski - rzekł lekarz, przyglądając się przez chwilę z ciekawością chińskiej papierośnicy, która leżała na biurku. - Mieszkam na Przemysłowej, w domu, w którym mieszkał inspektor Nowak z 17 Wydziału Finansowego. We wtorek, pierwszego czerwca, gdzieś około godziny wpół do dwunastej w nocy wracałem od jednego z pacjentów, który dostał krwotoku z gardła. W bramie swego domu natknąłem się - prawie dosłownie, bo było ciemno - na jakiegoś mężczyznę, który tam stał. Wyciągnąłem szybko latarkę i poświeciłem. Był to człowiek wysoki, w jasnym gabardynowym płaszczu, ciemny blondyn. Oświetliłem mu twarz. To był ten pan - doktor Dobrowolski wskazał na Lewieckiego.

- Co on tam robił? - spytał Sawiejko.

- Zdejmował z twarzy bandaż.Obecni poruszyli się, Daniłowicz uderzył dłonią w poręcz krzesła, Polański zdusił na wpół wypalonego papierosa.

- Podszedłem bliżej - ciągnął dalej lekarz, nie zwracając uwagi na wrażenie, jakie wywołały jego słowa - i zapytałem, czy mu się coś nie stało. Powiedziałem, że jestem lekarzem i mogę udzielić mu pomocy. Ten pan potrząsnął tylko głową, schował bandaż do kieszeni i szybko wyszedł na ulicę.

- Szkoda, panie doktorze - rzekł z niezadowoleniem prokurator Żelecki - że nie powiedział pan tego zaraz po zamordowaniu inspektora Nowaka. Wiedział pan chyba o tym, czy nie?

- O morderstwie? A coś tam mówili, ale nie zwracałem uwagi. Mam tyle pracy... Przykro mi, ale doprawdy nie przyszło mi do głowy, że tamto spotkanie mogło mieć jakieś znaczenie.

- Ludzie powinni czytać powieści kryminalne - mruknął Sawiejko do majora Polańskiego. Ten uśmiechnął się.

- No dobrze. Dziękujemy panu, doktorze. Lekarz wyszedł.

- Inspektor Nowak - Szczęsny rozpoczął znów swoją wędrówkę po pokoju - stał się w pewnej chwili bardzo niewygodny. Zbyt wiele słyszał i widział, poza tym potrzebował coraz więcej pieniędzy. Cóż, do łatwego zarobku człowiek prędko się przyzwyczaja. Pewnego dnia przechodziłem w towarzystwie dyrektora Lewieckiego korytarzem w gmachu, gdzie mieści się Wydział Finansowy. Był z nami jeszcze inspektor Bielecki. Tuż przy schodach spotkaliśmy inspektora Nowaka. W dość kategorycznej formie zażądałem od niego, aby następnego dnia stawił się w Komendzie Miasta dla złożenia zeznań. Podkreśliłem przy tym, że właśnie jego zeznania są dla mnie bardzo istotne. Dyrektor Lewiecki był świadkiem tej

rozmowy... Następnego dnia czekałem na Nowaka, ale nie przyszedł. Nie mógł przyjść. Został otruty gazem, we własnym mieszkaniu. Jak zeznała sąsiadka, późnym wieczorem usłyszała pukanie do jego drzwi. Wyjrzała i zobaczyła - według jej słów - „mężczyznę w jasnym płaszczu, z obandażowaną głową". To był pan, dyrektorze Lewiecki.- Co pan odpowie na ten zarzut? - spytał prokurator. Lewiecki milczał.

- W jaki sposób dokonana została zbrodnia, to już swego czasu mówiłem. Kieliszek - jeden niewytarty, kartka z napisem: „Idę do ojca", wata we drzwiach i tak dalej. Wrócę jeszcze na chwilę do majowego wieczoru w willi. Pozostaje bowiem do omówienia rola pani Danuty Kretz. Jak podałem w raporcie służbowym, uderzyło mnie od razu wiele sprzeczności i niejasności w jej zeznaniach. A więc, dokładne - zbyt dokładne! określenie wyglądu człowieka, który wybiegł z willi w zupełną ciemność. Powiedzenie: „czytałam tę książkę około dwóch godzin, jest bardzo ciekawa" - gdy tymczasem przeczytała zaledwie cztery strony. Naturalnie, nie mogła więcej przeczytać, bo miała u siebie gościa. Pana dyrektora Lewieckiego. Tym tłumaczy się również fakt zaparzania późnym wieczorem całej maszynki kawy, mimo, iż - jak sprawdziłem - pani Kretz nigdy nie pija kawy po godzinie czwartej po południu, gdyż wybijają to ze snu. I nigdy więcej niż jedną małą filiżankę. Dalej. W rozmowie ze mną przyznaje, iż widziała aksamitny woreczek, w którym Okołowicz chował drobne pieniądze, otrzymane jako opłaty za rozmowy telefoniczne. Ten aksamitny woreczek nie leżał jednak nigdy na wierzchu, w żadnym widocznym miejscu - wiedziała o tym dawna gospodyni kierownika - Okołowicz zamykał go na klucz w jednej z szuflad biurka. Takie już miał dziwactwa. Słowa pani Kretz potwierdzały moje przypuszczenia, że szukając pistoletu w biurku, zobaczyła przy okazji i woreczek.

Przerwał, aby zapalić papierosa.

- Gdy pani Kretz przyszła do komendy na konfrontację z inżynierem Wolskim, zeznała, iż owego wieczoru rozpoznała głosy Okołowicza i inżyniera. Na moje pytanie jednak, czy znała tego ostatniego osobiście, zaprzeczyła. Skąd wobec tego mogła aż tak dobrze znać jego głos? Dziś to jest dla mnie jasne: zna się przecież głos własnego męża.

- Gdzie jest obywatelka Kretz? - spytał major Polański.

- W Gdańsku - odparł Szczęsny. - Nasi ludzie zatrzymali ją, gdy usiłowała wypłynąć jachtem na pełne morze.- Chciała zwiać do Szwecji jachtem? Sama? - wykrzyknął Żelecki ze zdziwieniem. - Zupełna wariatka!

- Ten jacht miał wmontowany silny motor - wyjaśnił kapitan. - Przygotowany był na podobną ewentualność. Udało się mi zawczasu o tym przekonać.

Dyrektor Lewiecki popatrzył na niego z nienawiścią.

- Pozostaje do wyjaśnienia sprawa najważniejsza: motyw zabójstwa Okołowicza. - Szczęsny nie odrywał teraz wzroku od Lewieckiego. - W notesie zamordowanego, który znalazłem w jego marynarce podczas oględzin, zaintrygowało mnie zdanie tej treści: „L. dorabia cudzymi rękami". Prócz tego była tam pewna notatka, dotycząca - jak się później przekonałem - inspektora Nowaka. Okołowicz zapisał, pod datą dwudziestego maja, następujące słowa: „Przerzucić N. na garbarnie. Bierze." Czyli: przerzucić Nowaka z Centralnego Zarządu do zakładów garbarskich, bo w Zarządzie bierze łapówki. Przyznaję, że dość długo nie kojarzyłem litery L. z osobą dyrektora Lewieckiego. Wydawało mi się to prawie niemożliwe... Przekonałem się jednak, że nawet wśród ludzi na pozór całkowicie godnych zaufania zdarzają się... no, mniejsza z tym. Właśnie tacy, jak Lewiecki. Gdy to zrozumiałem, miałem już motyw zbrodni. Okołowicz od pewnego czasu wpadł na trop nadużyć w Centralnym Zarządzie. Ten doświadczony, świetny kontroler zorientował się również, że motorem poruszającym wszystkie sprężyny jest naczelny dyrektor. Inni to pionki w jego rękach. Najwyższa Izba Kontroli ma na to niezbite dowody. To już zresztą nie moja sprawa. Moim zadaniem było wykryć mordercę Okołowicza i Nowaka. Obiecałem majorowi - tu zwrócił się do Daniłowicza z lekkim uśmiechem - że przed upływem tygodnia powiem mu, kto to jest. Dotrzymałem słowa.

- Tak - potwierdził major z lekkim westchnieniem ulgi.

- Nie bardzo tylko rozumiem - zaczął z wahaniem Sawiejko - po co dyrektor Lewiecki przychodził nocą do biura, aby zabrać papiery? A może on sam na to nam odpowie?Lewiecki milczał.

- Cóż, to bardzo proste - rzekł Biały Kapitan. - Raz rzuciwszy podejrzenie na Wolskiego, należało konsekwentnie brnąć dalej. A więc trzeba, aby inżynier Wolski zakradł się nocą do swego pokoju w Zarządzie, aby wykradł stamtąd papiery i dokumenty, bardzo ważne dla instytucji. Miało to albo zasugerować możliwość szpiegostwa, ucieczki za granicę, albo też - jeszcze bardziej obciążyć inżyniera, jako człowieka niepoczytalnego, który, o ile nie jest szpiegiem, to jest wariatem.

- Na czym opieraliście przekonanie, że Wolski nie zabił Okołowicza? - spytał Szczęsnego major Polański.

Kapitan spojrzał na niego swymi czarnymi oczami, w których tliło się jeszcze podniecenie nerwowe.

- Na tym - odparł zdecydowanym głosem - że taki człowiek, jak Wolski, nie strzeliłby w plecy, w dodatku - do nieprzytomnego. A również i na tym - dodał ciszej - że major Wolski... - urwał. Był rad, że w pokoju nie ma Kręglewskiego.

- No cóż - rzekł z uśmiechem Daniłowicz - kapitan Szczęsny ma pewną słabość do munduru. Podobnie, jak... - nie dokończył, bo Szczęsny rzucił mu wściekłe spojrzenie.

Żelecki wstał i wyjrzawszy na korytarz, przywołał dwóch milicjantów. Pod eskortą szaroniebieskich mundurów dyrektor Lewiecki w milczeniu opuścił gabinet.

- Ależ to łajdak - sapnął gniewnie Sawiejko.

- Ja mam jeszcze jedno pytanie - rzekł Polański. - Dlaczego sprawa nosi kryptonim „Dwa włosy blond"? Czy chodziło wam o ten skrzep, znaleziony na płycie chodnika?

- Początkowo tak - odparł Szczęsny. - Dochodzenie nadało jednak kryptonimowi nieco inny charakter. Jeden włos zdjąłem z szlafroka pani Kretz, podczas pierwszego przesłuchania, drugi - z marynarki Lewieckiego, gdy byłem u niego w biurze. Dałem oba włosy do analizy, która potwierdziła moje przypuszczenia, że tych dwoje zna się wzajemnie i odwiedza.- Widzi pan, jak to trzeba uważać podczas nieoficjalnej wizyty - rzekł Sawiejko z poważną miną do Żeleckiego. - Jeden włosek, i cała intymność przepadła.

- Panu już to nie grozi - mruknął Żelecki z przekąsem. Bo stołeczny prokurator był zupełnie łysy.

KONIEC

Nota redakcyjna

„Dwa włosy blond" Anny Kłodzińskiej jest dwudziestą siódmą pozycją, która ukazuje się w Serii z Warszawą. Jest to wznowienie trudnej dziś do zdobycia powieści wydanej w 1960 roku w serii „Labirynt".

Pomysł wydawania serii z Warszawą zrodził się na spotkaniach Klubu Miłośników Polskiej Powieści Milicyjnej MOrd. Dotąd wydaliśmy:

1. Helena Sekuła - „Tęczowy cocktail"
2. Helena Sekuła - „Kieliszek Bordeaux"
3. Helena Sekuła - „Wstęga Kaina"
4. Zygmunt ZeydlerZborowski - „Czwarty klucz"
5. Piotr Kitrasiewicz - „Sherlock Holmes i koledzy"

6. Zygmunt ZeydlerZborowski - „Nieudany urlop majora Downara”

7. Anna Kłodzińska - „Królowa Nocy”

8. Anna Kłodzińska - „Jak śmierć jest cicha”

9. Zygmunt ZeydlerZborowski - „Za dużo kobiet”

10. Jerzy Edigey - „Uparty milicjant”

11. Jerzy Edigey - „Czek dla białego gangu”

12. Helena Sekuła - „Złoty blues”

13. Jerzy Edigey - „Niech pan zdejmie rękawiczki”

14. Anna Kłodzińska - „Malwersanci”

15. Anna Kłodzińska - „Złota bransoleta”

16. Jerzy Edigey - „Ostatnie życzenie Anny Teresy”

17. Jerzy Edigey - „Trzy płaskie klucze”

18. Anna Kłodzińska - „Błękitne okulary”

19. Emil Zorr (Zygmunt ZeydlerZborowski) - „Sukces dr Gordona”

20. Jerzy Edigey - „BabaJaga gubi trop”

21. Anna Kłodzińska - „Zaułki”

22. Zygmunt ZeydlerZborowski - „Testament”

23. Zygmunt ZeydlerZborowski - „Dr Orłowski prowadzi śledztwo”24. Zygmunt ZeydlerZborowski - „Laska dyrektora Osieckiego”

25. Zygmunt ZeydlerZborowski - „Szantaż”

26. Zygmunt ZeydlerZborowski - „Śpiewający żółw”

Zapraszamy wszystkich zainteresowanych do naszego grona. Prowadzimy stronę internetową Klubu MOrd www.klubmord.com oraz na Forum Mordu www.klubmord.fora.pl

Nasza inicjatywa ma charakter pasjonacki i skierowana jest do miłośników starych polskich kryminałów.

Pozdrawiam

Grzegorz Cielecki (prezesikl3@wp.pl) prezes Klubu Miłośników Polskiej Powieści Milicyjnej MOrd

Wykaz książek Anny Kłodzińskiej

1. Śledztwo prowadzi porucznik Szczęsny (1957) Labirynt

2. Złota bransoleta (1958) Labirynt, (2010) Seria z Warszawą

3. Srebrzysta śmierć (1959) Labirynt

4. Dwa włosy blond (1960) Labirynt

5. Przegrana stawka (1962) Labirynt

6. Kim jesteś Czarny? (1963) Labirynt

7. Błękitne okulary (1965) Jamnik, (2011) Seria z Warszawą

8. Jedwabny krawat (1966) Jamnik

9. Nie bój się nocy (1968) Jamnik

10. Świetlista igła (1969) Jamnik

11. Potem przychodzi ktoś inny (1970) Jamnik

12. Nocny gość (1973) Labirynt

13. Wrak (1973) Jamnik

14. Pokolenie dłużników (1973)

15. Czy pan pamięta inżynierze (1975) Labirynt

16. Taniec szkieletów (1977) Labirynt

17. Trzeci gang (1979) Labirynt

18. Szukam tego człowieka (1979) Labirynt

19. Dzieci milionerów (1980, 1982) Labirynt

20. Złocisty przegrywa (1980) Labirynt

21. Grzęzawisko (1981) Labirynt

22. W pogardzie prawa (1983) Labirynt

23. Malwina przegrała milion (1984) Labirynt

24. Zdrajca (1984) Labirynt

25. „Nietoperze" (1985) Labirynt

26. Trzy ciosy sztyletem (1986) Labirynt

27. Sygnały śmierci (1988) Labirynt

28. Za progiem mroku (1988) Labirynt

29. Śmierć za karę (1990) Labirynt

30. Zemsta „Wilka" (1990) Labirynt31. Wynajęty morderca (pod pseudonimem Stanisław Załęski) (1991) Labirynt

32. Królowa Nocy (2009) Seria z Warszawą

33. Jak śmierć jest cicha (2010) Seria z Warszawą

34. „Malwersanci" (2010) Seria z Warszawą

35. „Zaułki" (2011) Seria z Warszawą

Książki wydawnictwa „Wielki Sen" do nabycia na stronie internetowej www.klubmord.eom

Pierwsza seta

Pierwszy tom serii, w której dokonujemy przeglądu wszystkich polskich powieści kryminalnych, jakie ukazały się od roku 1945 do początku lat 90. Staramy się zainteresować Czytelników gatunkiem. Oferujemy ogromną różnorodność podejścia do tematu: są tu teksty, które można uznać za klasyczne recenzje, są noty, luźne refleksje, analizy. Jednych interesuje sposób popełnienia zbrodni, inni oglądają tło społecznoobyczaj owe, zaglądają do lokali gastronomicznych - każdy z Klubowiczów zmaga się bowiem z gatunkiem na swój własny sposób.

Jeżeli jesteś pewien, że nie możesz żyć bez codziennej lektury polskich powieści milicyjnych, bez smakowania fabuły książek Heleny Sekuły, Anny Kłodzińskiej, Jerzego Edigey'a, Zygmunta ZeydleraZborowskiego czy Alberta Wójta - to jest to książka właśnie dla Ciebie, zakochasz się w „Drugiej secie" od pierwszego wejrzenia. O ile, oczywiście, nie zdążyłeś zakochać się w „Pierwszej secie", która podbiła rynek kilka lat temu.

Podobnie jak w „Pierwszej secie", analizujemy tu powieści kryminalne z epoki PRLu - każdy z nas robi to na swój własny sposób, każdy z nas szuka w nich czego innego. Warto przeczytać, bo w recenzjach nie brakuje i zjadliwego humoru, i trzeźwej oceny ówczesnej rzeczywistości.

Oczywiście są też bonusy - między innymi arcyciekawe wywiady z Heleną Sekułą i Maciejem Słomczyńskim. trzecia set*

Trzecia seta, jak sama nazwa wskazuje, zawiera kolejne sto recenzji powieści kryminalnych z PRLu. Nikt nie wie ile dzieł powstało w gatunku znanym jako polska powieść milicyjna, ale zamierzamy dotrzeć do wszystkich. Zadanie to niełatwe, ale zachwyt dotychczasowych Czytelników, których szeregi rosną z każdym dniem, uwierdza nas w przekonaniu, że podjęliśmy wysiłek zacny i oczekiwany.

Prosimy także o zwrócenie uwagi na teksty zawarte w bonusie na końcu książki. Jeden z nich jest naprawdę unikatowy. Po raz pierwszy w druku opowiadanie Barbary Gordon.

Zachęcamy do lektury „Trzeciej sety". Czy warto? Sprawdź sam. Przeczytaj losowo wybraną recenzję w tej chwili. Nie zwlekaj. Wszak w życiu liczą się tylko chwile (nie licząc momentów).

Po trzech latach oczekiwań mamy wreszcie Czwartą Setę. W książce jak zwykle 100 intrygujących recenzji. Ponadto oczywiście bonus z dodatkowymi tekstami m.in. o kobietach w powieści milicynej, humoreska o Annie Kłodzińskiej czy spacerek po lokalach warszawskich widzianych przez pryzmat twórczości Jerzego Edigeya.

Jak zwykle na książkę złożyły się teksty kilkudziesięciu autorów. Przed nami ponad 300 stron frapującej lektury.

„Serią po kryminałach” czyli Katalog konesera kryminałów z PRL

Miłośnicy powieści kryminalnych z epoki PRLu mieli do tej pory poważny problem z gromadzeniem ulubionych książek wydawanych w klasycznych seriach: Klub Srebrnego Klucza, z Jamnikiem, Labirynt, Różowa Okładka oraz wielu innych, nie było bowiem żadnego wykazu czy katalogu, grupującego w kompleksowy sposób te bezcenne dla koneserów pozycje. Nasz katalog wypełnia tę bolesną lukę informując, co, kiedy i w jakiej serii wydano, co z pewnością niejednemu ułatwi kompletowanie zbiorów.

Seria z Warszawą Helena Sekuła

„Tęczowy cocktail”

„Tęczowy coctail” ukazał się po raz pierwszy w roku 1962 w legendarnej serii kryminalnej wydawnictwa Iskry - Klub Srebrnego Klucza. Już w tej debiutanckiej powieści Heleny Sekuły można dostrzec wiele cech właściwych dla późniejszych dzieł pisarki. Warto zwrócić uwagę przede wszystkim na wielowątkowość fabuły, nagłe zwroty akcji, a przede wszystkim galerię intrygujących, mocnych postaci kobiet.

Helena Sekuła

„Kieliszek Bordeaux” może z powodzeniem uchodzić z „Tęczowym cocktailem” za dylogię. Łączy te dzieła czas powstania, trunkowy tytuł oraz osoba śledczego - majora Korosza - „jednego z najzdolniejszych oficerów dochodzeniowych Komendy Głównej Milicji”. Tym razem major Korosz musi odkryć, któż to był łaskaw otruć tytułowym kieliszkiem wina, wzbogaconym o stosowną dawkę cyjanku potasu, niejakiego Igora Ordona - z zajęcia producenta ceramiki, z zamiłowania zaś hurtowego łamacza serc niewieścich.

Helena Sekuła

„Wstęga Kaina”

„Wstęga Kaina” to trzeci tytuł, który ukazuje się w Serii z Warszawą. Napisana z epickim rozmachem, wypełniona wartką fabułą kryminalną i tchnąca wielkim światem, powieść Heleny Sekuły miała zostać opublikowana przez wydawnictwo Iskry w słynnej serii Klub Srebrnego Klucza. Niestety, nie miała szczęścia. Maszynopis zakwalifikowano do druku dopiero w roku 1990, kiedy seria przestawała istnieć. Dotąd zatem „Wstęga Kaina” jest znana jedynie tym Czytelnikom, którzy mieli szczęście zetknąć się z pierwodrukiem gazetowym.

Zygmunt ZeydlerZborowski

„Czwarty klucz”

Powieść kryminalna Zygmunta ZeydleraZborowskiego „Czwarty klucz” nie miała dotąd wydania książkowego. Była publikowana w odcinkach na łamach „Kuriera Polskiego” w roku 1981. Miłośnicy twórczości tego autora na pewno nie będą zawiedzeni. Wielkie emocje i zazdrości kulminują morderstwem przy użyciu sztyletu. Ginie piękna kobieta, a podejrzanych nie brakuje. Brawurowe zwroty akcji, cięte dialogi oraz szczypta erotyki, to niezaprzeczalne atuty „Czwartego klucza”.

Piotr Kitrasiewicz

„Sherlock Holmes i koledzy”

Książka Piotra Kitrasiewicza „Sherlock Holmes i koledzy” jest monografią o detektywach - począwszy od pierwszego, którego powołał do życia na kartach swoich powieści Edgar Allan Poe, poprzez wszystkich bardziej lub mniej znanych, aż po Jamesa Bonda. Autor omawia wprawdzie tylko rdzennych detektywów z Zachodu, ale nie wątpimy, że prędzej czy później napisze monografię poświęconą kapitanowi Glebowi, porucznikowi Szczęsnemu, majorowi Downarowi, majorowi Koroszowi i innym tuzom rodzimych organów ścigania.

Zygmunt ZeydlerZborowski

„Nieudany urlop majora Downam”

Prawdziwy oficer milicji jest na służbie zawsze. Jeżeli przebywa na urlopie, to też jest na służbie. Może o tym nie wiedzieć, ale rychło się dowie. Tak jest w przypadku majora Stefana Downara, któremu upragniony odpoczynek przerwał trup i to trup kobiety, znaleziony w sopockim pensjonacie, w którym Downar zamieszkał. Prywatne uciechy muszą poczekać - Downar rzuca się w wir dochodzenia.

Legendarna powieść Zygmunta ZeydleraZborowskiego „Nieudany urlop majora Downara” nie miała dotąd książkowego wydania. Pierwszy raz była publikowana na łamach „Kuriera Polskiego” na przełomie 1967 i 1968 roku.

Anna Kłodzińska

„Królowa nocy”

Legendarna powieść Anny Kłodzińskiej „Królowa nocy” nie miała dotąd książkowego wydania. Była jedynie publikowana na łamach „Dziennika Zachodniego” i „Wieczoru Wrocławia” w roku 1971.

Dyrektor Derbach miał stosowne stanowisko, odpowiednią do niego żonę oraz perspektywę na awans. Do pełni życiowego szczęścia brakowało mu tylko skoku w bok. Gdy nadarzyła się ku temu okazja, poszedł w nią jak w dym. Miał jednak pecha. Rychło po zaznaniu cielesnych uciech dyrektor Derbach dostał propozycję nie do odrzucenia. W zamian uzyskał obietnicę nierozpowszechniania pięknych zdjęć wiadomego rodzaju...

Anna Kłodzińska

„Jak śmierć jest cicha”

Legendarna powieść Anny Kłodzińskiej „Jak śmierć jest cicha” nie miała dotąd książkowego wydania. Była jedynie publikowana na łamach „Ilustrowanego Kuriera Polskiego” i „Kuriera Polskiego” w roku 1962.

Po Warszawie grasuje tajemniczy morderca. Najpierw śmiertelne strzały padają na Dworcu Warszawa Główna. Potem akcja przenosi się na prawą stronę Wisły. Kolejny trup na stacji Warszawa Wileńska. Z kolei w wykopie na Mokotowie odkryto czyjeś zwłoki. Czy coś łączy te trzy sytuacje? Kapitan Szczęsny, jeden z asów Komendy Stołecznej Milicji, staje przed najtrudniejszym zadaniem w swej karierze...

Zygmunt ZeydlerZborowski

„Za dużo kobiet”

Legendarna powieść Zygmunta ZeydleraZborowskiego „Za dużo kobiet” nie miała dotąd książkowego wydania. Była jedynie publikowana w odcinkach na łamach „Kuriera Polskiego” w roku 1986.

Co łączy pracownika spółdzielni krawieckiej i estradową szansonistkę, poza nagłą śmiercią? Jakby dwóch trupów było mało, mamy jeszcze aferę szpiegowską oraz narkotykową. Na okrasę zaś cały tłum kobiet zaciemniających milicji drogę do prawdy. Całe szczęście major Stachurski z kontrwywiadu to spec jakich mało. Sprosta każdemu wyzwaniu.

Jerzy Edigey

„Uparty milicjant”

Powieść Jerzego Edigeya „Uparty milicjant” nie miała dotąd książkowego wydania. Była jedynie publikowana w odcinkach na łamach „Głosu Pracy” w roku 1980.

Jak wynika z tytułu, ważną cechą dobrego milicjanta jest upór. Czasem śledztwo może ciągnąć się latami. Tak właśnie było w przypadku tajemniczego zaginięcia w Kętrzyńskiem. Mianowicie zawieruszył się pewien mężczyzna po weselu. Milicja nie dała wiary sugestiom, jakoby zaginiony wyjechał w Kieleckie i tam zszedł z pola widzenia organów ścigania. Latami trwa zmowa milczenia w rodzinnej wsi. Milicja jednak na wszystko znajdzie sposób.

Jerzy Edigey

„Czek dla białego gangu"

Warszawska afera cementowa zatacza coraz szersze kręgi. Milicja wyłapała już prawie wszystkich i właśnie wtedy w Alei Szucha zostaje napadnięty pracownik prokuratury. Nieznany sprawca kradnie niezwykle cenny tom akt, do którego dołączony był czek na 80 tys. dolarów - należność za opchnięty na lewo transport szybkoschnącego cementu 404.

Tę piekielnie trudną sprawę dostaje major Stanisław Krzyżewski. Właśnie zakończył w Zambrowie sprawę pewnego kowala. Afera cementowa to sprawa zupełnie innego kalibru. Wygląda na niezły kopniak w górę. Czy major sprosta wyzwaniu?

Wznowienie pierwszej opublikowanej książkowo powieści Jerzego Edigeya - smakowita lektura nie tylko dla wielbicieli kryminałów, ale również dla miłośników Warszawy.

Helena Sekuła

„Złoty blues"

Major Stefan Korosz znowu w akcji. Tym razem as oficerów śledczych Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej musi zmierzyć się z gangiem przemytników i wyjaśnić co się stało z drogocenną kolią oraz kogo i dlaczego pchnięto nożem w portowej knajpie. Oczywiście tam gdzie Korosz, tam i piękna, tajemnicza modelka. Czyżby miała coś wspólnego z kryminalną aferą?

Legendarna powieść Heleny Sekuły „Złoty blues" po raz pierwszy ukazuje się w formie książkowej. Pierwszy raz publikowana była w odcinkach na łamach „Kuriera Polskiego" w roku 1961.

Jerzy Edigey

„Niech pan zdejmie rękawiczki"

W peryferyjnej dzielnicy Warszawy grasuje morderca. Pierwsza ofiara zostaje znaleziona w wannie, we własnym mieszkaniu. Wkrótce giną kolejne dwie osoby. Nic nie

wskazuje na motywy rabunkowe. Milicja rzuca na ten trudny dochodzeniowo odcinek majora Polakiewicza. Wspiera go dzielnicowy Lipkowski. Czy to wystarczy?

Legendarna powieść Jerzego Edigeya „Niech pan zdejmie rękawiczki" nie miała dotąd książkowego wydania. Pierwszy raz była publikowana w odcinkach na łamach „Kuriera Polskiego" w roku 1970.

Anna Kłodzińska

„Malwersanci"

Legendarna powieść Anny Kłodzińskiej nie miała dotąd książkowego wydania. Tylko wytrawni znawcy kryminałów z PRL mogą znać wersję gazetową „Malwersantów". Powieść drukowano jedynie w odcinkach na łamach „Kuriera Polskiego" i „Ilustrowanego Kuriera Polskiego" w 1961 roku.

Pracownik zakładów garbarskich otrzymuje lukratywną, acz wiodącą ku bezprawiu propozycję: ma przejść z biura na produkcję i pomagać w tajnych machinacjach swoich szefów. Przestępczy proceder nielegalnego handlu skórami wyprowadzanymi z zakładu kwitnie w najlepsze do chwili, kiedy tropem szajki rusza porucznik Kręglewski, podwładny legendarnego „Białego Kapitana", czyli kapitana Szczęsnego.

Anna Kłodzińska

„Złota bransoleta"

Kapitan Szczęsny musi tym razem rozwikłać zagadkę dwóch morderstw - jednego w sklepie komisowym, drugiego zaś w szpitalu. Między tymi dwiema sprawami, jak się okazuje, istnieje bardzo bliski związek. Sprawca wydaje się zupełnie nieuchwytny. Czyżby był to przestępca o wielu twarzach? Wraz z kapitanem Szczęsnym i jego ludźmi przemierzamy ulice, lokale, placówki użyteczności publicznej oraz zakamarki Warszawy przełomu lat 50. i 60.

Legendarna powieść Anny Kłodzińskiej „Złota bransoleta" została wydana w roku 1958 w serii Labirynt i należy do wczesnego okresu twórczości autorki. Dziś kryminał ten jest niemal nieosiągalny i po prostu trzeba było go wznowić.

Jerzy Edigey

„Ostatnie życzenie Anny Teresy"

Legendarna powieść Jerzego Edigeya, która nie miała dotąd książkowej edycji. Tylko wielcy pasjonaci kryminałów z PRL mogą znać ten tytuł, który był publikowany w odcinkach m.in. na łamach „Kuriera Polskiego" w roku 1979.

Powieść z czasów schyłkowego Gierka należy do rzadko uprawianego w Polsce nurtu kryminału sądowego. Nie tylko dlatego jednak warta jest dziś uwagi. Uważny czytelnik znajdzie tu specyficzny koloryt epoki, dostrzeże wzmiankę o działającej do dziś w Warszawie kawiarni, a nawet pozna szczegółowo zawartość torebki pewnej damy. Większość akcji rozgrywa się oczywiście na sali sądowej, a rozpatrywana sprawa dotyczy szczególnego morderstwa.

Jerzy Edigey

„Trzy płaskie klucze*

Ze skarbca Powszechnego Banku Rzemiosła zniknęło 10 min zł. Kto mógł dokonać tak zuchwałej kradzieży? Czyżby ktoś z dyrekcji, dysponującej tytułowymi kluczami? A może jakiś pracownik księgowości? Kradzieży bowiem dokonano akurat w dniu zamykania bilansu miesięcznego i księgowi pili ostro. Kapitan Piotr Jarkowski oraz porucznik Roman Widera stają przed najtrudniejszą w swej karierze sprawą.

Legendarna powieść Jerzego Edigeya „Trzy płaskie klucze", została wydana w roku 1965 i reprezentuje wczesny okres twórczości autora. Kryminał ten jest cały czas marzeniem wielu miłośników powieści milicyjnej. Cieszymy się, że możemy je spełnić. Zdobycie bowiem egzemplarza pierwszego wydania graniczy z cudem.

Anna kłodzińska

„Błękitne okulary"

Inżynier, księgowy, magazynier, referent i właściciel warsztatu samochodowego. Cóż może łączyć przedstawicieli tak rozmaitych profesji? Hazard, rzecz jasna. Jeżeli jeszcze wspomnimy o tajemniczym zgonie młodego prawnika i tropie wiodącym do szulerni przy ul. Nowogrodzkiej w Warszawie, to staje się jasne, że kapitan Szczęsny będzie miał ciężką sprawę do rozwikłania.

Legendarna powieść Anny Kłodzińskiej „Błękitne okulary" została wydana w roku 1965 w serii z Jamnikiem (były to piękne czasy Jamnika kolorowego). Dziś kryminał ten jest niemal niemożliwy do zdobycia. To kwestia nie tylko niskiego nakładu, ale i kiepskiego kleju używanego przez drukarnię. Całe szczęście mamy wreszcie wznowienie.

Emil Zorr (Zygmunt ZeydlerZborowski)

„Sukces dr Gordona”

W Londynie zamordowano dyrektora sławnego cyrku. Głównym podejrzanym jest poskramiacz dzikich zwierząt, Marvan, który od dawna miał z dyrektorem na pieńku. W podejrzeniach utwierdzają policję niezwykłe ślady, znalezione przy zwłokach. Scotland Yard prosi o pomoc sławnego londyńskiego psychiatrę, który znany jest z rozwiązywania niezwykłych zagadek.

Legendarna powieść Zygmunta ZeydleraZborowskiego z 1948 roku napisana pod pseudonimem Emil Zorr nie miała dotąd książkowego wydania. Drukowana była jedynie w prasie lokalnej - czasopiśmie „Naprzód” i „Głosie Pomorza”. Po 63 latach od chwili premiery trafia do rąk Czytelników pierwsze wydanie książkowe.

Jerzy Edigey

„BabaJaga gubi trop”

Zamożny „badylarz” pada ofiarą szantażu. Zwraca się o pomoc do milicji, ale przebiegły przestępca zna każdy jego krok. Śledztwo prowadzi kapitan Stefan Kowalczyk. Ma dwunastu podejrzanych i tylko jeden trop. Czy uda mu się zdemaskować szantażystę?

Wznowienie znakomitej, poszukiwanej powieści Jerzego Edigeya, która posłużyła za podstawę scenariusza jednego z odcinków serialu „07 zgłoś się”. Wielką niespodzianką dla miłośników twórczości Jerzego Edigeya jest po raz pierwszy publikowane w formie książkowej opowiadanie „Pierwsze golenie”, które zostało pomieszczone w tym tomie.

Anna Kłodzińska

„Zaułki”

W Warszawie grasuje banda okradająca mieszkania. Wysyłają na wabia atrakcyjną dziewczynę, a po pewnym czasie lokatorzy zastają w mieszkaniu wyłącznie puste szafy. W dodatku na Grochowie ktoś w tajemniczy sposób zamordował młodego mężczyznę, a inny młody człowiek zniknął z domu w niewyjaśnionych okolicznościach.

Przed kapitanem Szczęsnym i jego współpracownikami kolejna trudna sprawa. Nie mają żadnego pubktu zaczepienia, a przełożeni naciskają.

Znakomita powieść Anny Kłodzińskiej nie miała dotąd książkowego wydania, była jedynie publikowana w odcinkach na łamach „Ilustrowanego Kuriera Polskiego” i „Kuriera Polskiego” w 1964 roku.

Zygmunt ZeydlerZborowski)

„Testament”

Edward Bonder po długoletnim pobycie w Ameryce wrócił do Polski jako bardzo bogaty człowiek. Postanowił sporządzić testament i cały swój majątek zapisać swojej pierwszej żonie, z którą rozwiódł się przed wielu laty. Nazajutrz po sporządzeniu testamentu Edward Bonder został zamordowany. Śledztwo w tej zagadkowej sprawie prowadzi major Downar, a wspiera go dzielnie porucznik Olszewski.

Jest to pierwsze książkowe wydanie powieści Zygmunta ZeydleraZborowskiego, która dotąd była jedynie publikowana na łamach „Głosu Pracy” w 1974 roku i „Wieczoru Wrocławia” w 1975 roku.

Zygmunt ZeydlerZborowski)

„Dr Orłowski prowadzi śledztwo”

W Warszawie odbywa się międzynarodowy kongres psychiatrów. Nazajutrz po inauguracji zwłoki sławnego psychiatry z Londynu zostają znalezione w hotelowej wannie. Nieszczęśliwy wypadek czy morderstwo? Przed kapitanem Downarem kolejne trudne śledztwo. Dzielnie go wspiera znany warszawski psychiatra, doktor Orłowski.

Pierwsze książkowe wydanie powieści Zygmunta ZeydleraZborowskiego, która dotąd była publikowana jedynie w odcinkach w „Expressie Wieczornym” w 1963 roku.

Zygmunt ZeydlerZborowski)

„Laska dyrektora Osieckiego”

Dyrektor Osiecki wybiera się samolotem do Berlina. Na lotnisku zostaje zatrzymany - ktoś doniósł milicji, że będzie przemycał materiały szpiegowskie. I rzeczywiście, w jego wydrążonej lasce milicja znajduje mikrofilmy. Dyrektor zostaje aresztowany, a do stadniny koni, którą prowadził, wyrusza as kontrwywiadu, Stasiak, żeby rozwikłać tajemniczą sprawę.

To pierwsze wydanie książkowe powieści Zygmunta ZeydleraZborowskiego. Dotychczas powieść publikowano w odcinkach na łamach „Expressu Wieczornego” (1967), „Dziennika Łódzkiego” (1968), „Sztandaru Ludu” (1968) i „Dziennika Zachodniego” (1969).

Zygmunt ZeydlerZborowski

„Szantaż”

Doktor Paweł Szrot, znakomity chirurg, ma ostatnio złą passę. Umierają mu kolejni pacjenci, chociaż operacje były udane i wydawało się, że rychło wrócą do zdrowia. Na dodatek zostaje sfotografowany z przypadkowo poznaną młodą dziewczyną i musi zapłacić

sporą sumę, by zdjęcia te nie dotarły do jego żony. Downar i Stasiak - dwaj znakomici detektywi - zaczynają się interesować kłopotami doktora Szrota.

Powieść Zygmunta ZeydleraZborowskiego publikowano dotychczas w odcinkach na łamach „Głosu Koszalińskiego" (1964), „Kuriera Polskiego" (1964), „Dziennika Łódzkiego" (1964), „Głosu Olsztyńskiego" (1964), „Ilustrowanego Kuriera Polskiego" (1964) i „Dziennika Zachodniego" (1965). Teraz mamy wreszcie pierwsze wydanie książkowe.

Zygmunt ZeydlerZborowski

„Śpiewający żółw"

Pierwsze książkowe wydanie znakomitej powieści Zygmunta ZeydleraZborowskiego, publikowanej dotychczas jedynie na łamach „Expressu Wieczornego" (1968), „Wieczoru Wrocławia" (1968, 1969), „Dziennika Łódzkiego" (1969) i „Dziennika Wieczornego" (1968).

Znany autor kryminałów wraz z żoną wybrał się do Zakopanego, by w spokoju oddać się pracy twórczej. Z powodu kontuzji kolana musiał zrezygnować z uprawiania sportów zimowych i większość czasu spędzał w pensjonacie, dotrzymując towarzystwa uroczej pani z nogą w gipsie. Rychło okazało się, że mimo kontuzji udało mu się wplątać w ciąg dziwnych i tajemniczych wydarzeń...

Wejdź na www.klubmord.com zgłoś akces do Klubu MOrd

Mmw.kluinnord.com i kupuj następne książki w Serii z Warszawą po cenie klubowej